

2.42.6.57

WARSZAWA

W 1794 R.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Ł. BOLESŁAWITĘ.

Sunt lachrymae rerum....



POZNAŃ.

Nakładem Tygodnika Wielkopolskiego.

1873.

1 tal. 10 sgr.



Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebuski) w Poznaniu.

Bronisławowi Zaleskiemu

jako pamiątkę przyjacielską
posyła

AUTOR.

11 marca 1873.





Są w życiu narodów chwile gorączki i podbudzenia, które, nie patrząc na ich skutki, (bo te wielce różne bywają) same przez się wlewają nowe siły w całą społeczność, spotęgowują jej władze, spajają i zbliżają ludzi i na długie lata zostawiają po sobie nie tylko pamięć przeżytych dni ale jakby woń uczuć, któremi rozkwitały.

Często po nich następują godziny pokuty i cierpienia, znużenia i wyczerpania — a mimo to jak iskrą elektryczną działa nawet wśród tego stanu przypomnienie przeszłości.

W dziejach naszego kraju takich chwil jasnych naprężenia, rozbudzenia, podniesienia ducha liczymy kilka w ostatnim stuleciu. Epoka sejmu czteroletniego, powstania kościuszkowskiego, krótki moment pierwszy wskreszenia Królestwa, rok 1812, 1830 i 1863 do nich należą. Każdy z tych momentów miał właściwy sobie charakter, ale wszystkie razem wzięte braterskimi rysy są do siebie podobne. Ludzie naówczas jakby siłą jakąś nie swoją, zaczerpniętą z tajemniczego źródła, mienili się, rośli, nabierali siły, szlachetniali i w ich życiu potem przeżyty rok także zostawał wiekuistą gwiazdą, ku której się wszystkie myśli zwracały.

Któż z nas nie znał tych niedobitków przeszłości, chodzących potem jak obcy wśród nie swojego świata i żyjących jedną godziną, w której się skupiło całe ich życie?

Pamiętam, było to w szczęśliwych dniach młodości, poznałem na wsi w jednym z spokrewnionych z nami domów pana kapitana Syrucia. Był on pono

dalekim jakimś kuzynem samój pani domu i, z tego tytułu nazywany przez nią wujaszkiem, przesiadywał na Litwie u państwa B.

Był to rodzaj rezydenta, ale tytuł krewnego i szacunek, jaki dlań mieli wszyscy, przykre to położenie czynił znosnym. Kapitan Syruć bardzo niechętnie pokazywał się w towarzystwie, zwłaszcza gdy w domu byli goście; że zaś dom ten w nich zawsze obfitował, rzadko go można było namówić do salonu. Zajmował parę pokoiów w oficynie, miał rodzaj małego swego gospodarstwa, chłopaka do posługi, konia i wózek i w domu niemal jak gość wyglądał.

Mając mały kapitałek, nie potrzebował właściwie żadnej łaski, bo się z niego mógł utrzymać, — lecz w miasteczku nie rad był mieszkać, lubił ciszę i samotność; tu był panem swego czasu i kochał państwo B..., więc zgodził się na ofiarę pary pokoiów w oficynie. Nie łatwo jednak pono do tego przyszło z razu i musiano pozwolić mu próbować tego życia, nim się z niem oswoił. Kapitan bał się wszelkiego rodzaju niewoli, poddaństwa, służebności, lękał się być rezydentem śmiesznym, jeszcze bardziej stać się komuś ciężarem i dopiero najmocniej przekonawszy się, iż mu tu będzie dobrze i ludziom z nim nie gorzej — osiadł stale w Wierzbowni.

Tak milczącego człowieka nie zdarzyło mi się w życiu spotkać... oszczędnym był w słowach aż do śmieszności, a niekiedy przez całe dnie ledwie kto od niego parę wyrazów półgębkiem wyrzeczonych po cichu usłyszał.

Powierzchnowość była przyzwoita i miła... Na pierwszy rzut oka poznałeś starego wojskowego w dobrej wytresowanego szkole. W późnym już wieku trzymał się prosto, chodził krokiem mierzonym, choć nie bez pewnego wdzięku w poruszeniach, nosił się nadzwyczaj starannie i czysto, prawie elegancko i twarz miał poważną, serdeczną a miłą i słodczy pełną, jaka rzadko na starość po życiu zostaje. — Oprócz wyrazu pewnej wstydlivosti i obawy, gdy się w liczniejszym gronie znajdował, nigdy się nic nie malowało na obliczu starego wojaka prócz tęsknego jakiegoś zamy-

ślenia... Lubił dosyć czytywać, szczególniej rzeczy historyczne, ale czytał powoli — z uwagą, długo i, gdy mu się książka z pierwszych kart nie podobała, wołał już nie mieć do czytania jak się do niej przymuszac...

Zresztą żadnych szczególnych namiętności i nałogów nie miał — polował czasem, ale się nie zapalał do łowów, grywał nie tęskniąc za grą, jeździł konno nie pasjonując się do koni. Człowiek był widocznie zubożniały i wyżyty, choć to mu serca nie odjęło do ludzi i miłości ku nim.

Przywiązywał się do niego każdy, co dłużej z nim pobyl. On ze swęj strony nie narzucał się nikomu, nie łatwy był do spoufaleń, chłodny na pozór, ale gdy raz do kogo przystał, choć słowami mu nie okazywał przyjaźni, czuć było, iż jęj serce miał pełne.

W Wierzbowni nauczyli się już stósować tak do jęgo obyczajów, że mu jak największą zostawiano swobodę. Kapitan przychodził, gdy chciał, odchodził, gdy mu się podobało, wyjeżdżał, wracał a czasem tygodniami całemi, choć był w domu, nie pokazywał się we dworze. Miał w ciągu roku kilka takich napadów jakięjs melancholii, w ciągu której od ludzi uciekał...

W poufałém zupełnie gronie i gdy go nie wyciągano na słowo, bo to był najgorszy sposób dopytania u niego częgokolwiek, gdy sám się powoli rozgadał, opowiadał w sposób bardzo miły przygody ze swojęgo życia i służby. Znał ludzi bardzo wielu, w przyjaźni był z najznakomitszymi i ze stósunków z nimi pozostały wspomnienia daleko żywsze niż innym. Chwytał znać stronę życia i fizyognomii prawdziwszą i głębięj umiał wnikać w charaktery. Ale te zwierzęnia się jęgo półgłosem były rzadkie, ostrożne, bojaźliwe i lada najdrobniejsza przeszkoda, dysharmonijna nuta, niezręcznie wtrącone słowo... usta mu zamykało.

To tęż gdy kapitan mówić zaczął, milęzało wszystko... bano się odetchnąć i słudzy nauczyli się chodzić na palcach.

Zamieszkawszy w Wierzbowni, przywiązał się tu i do starszych i do dzieci. Szczęgólnięj tęż je lubił... i nas, cośmy naówczas dorastali.

Młodzież była dlań jakby przedmiotem ciekawych studyów, przedsiębranych widocznie z pewnym celem i myślą, bo szczególną zwracał uwagę na uczucia jój, na słowa, które objawić mogły żyjącą pamięć przeszłości kraju i obowiązków dla niego.

Z wyjątkiem tych nadzwyczajnych chwil rozbudzenia, rzadkiej rozmowy i uśmiechu Syruć prowadził życie samotne, zamknięte, spokojne i zwrócone więcej ku przeszłości niż ku teraźniejszości. . .

Mała gromadka ludzi zwabiała go czasem do dworu, od tłumu szczególnież wrzawliwego uciekał. W dniach imienin, w zapusty, w wigilią, pożegnawszy gospodarzów, wyjeżdżał gdzieś w okolicę i nie wracał, aż gdy się uspokoiło.

Dobyć z niego coś, gdy nie miał ochoty opowiadania, było niepodobieństwem. . .

Na zapytania odpowiadał ruszaniem ramion, składaniem ust dziwném a naostatku pospieszną ucieczką z placu.

Ja miałem do niego dosyć szczęścia, ale nigdy nie o nic nie pytał, mimo gorącej ciekawości. . . Chodziliśmy razem na przechadzki w milczeniu, zbierali kwiatki, które lubił, patrzyliśmy siedząc w lesie na obalonych kłodach w zielone gąszcze, z po za których zachodzące niebo jaskrawo przeblyskiwało, i wracaliśmy do dworu czasem dopiero po dwóch godzinach medytacyi, rozmawiając nieco żywiej.

Kapitan mówił (gdy mu się na to zebrało) z pewnym słów doborem, z wolna, namysławiając się, cicho i śledząc, jakie czynił wrażenie. Nie lubił, by mu przerywano.

Jak w innych rzeczach tak do kieliszka Syruć nie miał pociągu namiętnego, nie odmawiał ani wódki przed obiadem, ani wina dobrego nie wiele, — pijałką zaś brzydził się niewymownie. Jednakże gdy wieczorem w małym kółku podano butelkę starego węgryzna i małe do niej naparstki a lubownicy tego napoju, *con amore*, powoli sączyli go rozkoszując się, Syruć chętnie dotrzymał placu i . . . naówczas usta mu się rozwiązywały, przychodziła nawet wesołość i do wci. — A nazajutrz powracał do swego mrukownictwa

i, jakby się wstydził wczorajszego wywnętrzenia, smutny był i ponury. Już mu tego przypominać się nie godziło.

Wszystkie jego wspomnienia zwykle do jednej odnosiły się epoki — reszta życia już jakby nie istniała, zabytą była i osłoniętą — jeśli mówił to tylko o kościuszkowskiej... Wiedzieliśmy, że rok ten 1794 przeżył pomiędzy Warszawą a obozem — dla niego była to godzina jasna, jedyna godzina, w której wyczerpał wszystko, co życie dać może. — Z rzezią Pragi skończył się dlań ten żywot a rozpoczęło rozmyślanie i pokuta... Rok ten umiał na pamięć dzień po dniu, godzina po godzinie...

Ale też oprócz losów żołnierza i kraju, w tym roku pono rozstrzygnęły się losy jego serca i szczęścia nadzieje.

Przez dość długi przeciąg czasu widywałem Syrucia co kilka miesięcy. Nie zmienił się nic a nic, nie starzał, zawiądł tak, że już się zdawał jakby piękną mumią zasuszoną na zawsze. Ja miałem czas skończyć szkoły i rozpocząć uniwersytet... byliśmy z nim teraz w najlepszej przyjaźni. W r. 1829 jadąc do Włna, na parę dni wstąpiłem do Wierzbowni... Kółka osób znalazło się tam właśnie, lecz z najpoufałszego kółka naszego... Drugiego wieczora... gospodarz kazał przynieść po wieczery butelkę omszonego węgryna... rozpoczęła się przy niej niezmiernie ożywiona gawędka.

Syruc był tego dnia w usposobieniu, w jakim go nigdy nie widziałem jeszcze, uśmiechał się, fajkę po fajce nakładał i dowcipował, a miał właściwy sobie sposób podżartowywania, z cicha strzelał jak z za płotu konceptem i milknął. — Sam się nigdy nie rozśmiał, owszem przybierał minę człowieka jakby zafrosowanego niezmiernie.

Przytomni żartowali sobie z zakochanego pana Pawła, pan Syruc nawet dopomagał.

— A! co mi to dziwnego, że wy sobie ze mnie żartujecie, panie kapitanie — zawołał Paweł — taki sucharek, co się nigdy w życiu nie uśmiechnął do kobiety i w oczy jej nie spojrzał, któremu też żadna ko-

bieta nie uśmiechnęła się nigdy, co nie zna miłości tylko ze słuchu. . . .

Syruc usta wydał.

— Tak pan sądzi? spytał.

— Nie inaczej.

Zamilkł kapitan i popił.

Dopiero po północy odezwało się w nim, że mu zadano — jakby człowiekiem nie był, i winniśmy temu rozdrażnieniu nadzwyczajnemu, iż nam swoją opowiedział historią pod najmocniejszym zapewnieniem zachowania jej w tajemnicy. . . . Ale — ale kapitan Syruc dawno już nie żyje. . . .

Miałem później zręczność z innych źródeł dopełnić to, co mi o sobie opowiedział — i z tego stworzyło się następne opowiadanie . . . najzupełniej historyczne.

„Urodziłem się, mówił kapitan, w pamiętnym roku pierwszego podziału Polski. . . . Mogę powiedzieć, że od kolebki żył tym jękiem, który gwałt popełniony wywołał. Być może, iż w innych kołach oswojono się wprędce z nieszczęśliwą dolą kraju, w ubogich szlacheckich dworach na Litwie pamięć tego najazdu i niecnego sejmu Ponińskiego, który uprawnił zabory, — żyła ciągle obudzając oburzenie, żalność, pragnienie odwetu. . . . Rodzice moi mieli maleńką wioseczkę w Lidzkiem, na którą nas dwoje, siostra i ja, i dosyć długów było w dodatku. Szczęściem dla mnie, z przeszłości zostało nam koligacyi i krewnych majątnych wielu, a w owych czasach obowiązki krwi zupełnie inaczej były pojęte. Dzisiaj pękły te węzły nie obchodzące nikogo, naówczas nie ważyłby się najzimmniejszy człowiek obojętności okazać dla uboższego krewniaka.

W tym świecie naszym szlacheckim, któremu tyle wad i przywar zarzucić można, pojęcie solidarności całego ciała było jeszcze silne i niezachwiane. Stanowiło ono potęgę. — Cała szlachta była jedną rodziną mocno związaną tysiącem węzłów krwi i połączeń. — Smiało powiedzieć można, iż nie było dwóch rodzin

szlacheckich, któreby się z bardzo dalekiego między sobą powinowactwa wywieść nie mogły. Dla tego szlachcie, jadąc bodaj od Bałty do Gniezna, nie potrzebował nigdzie gospody, zajeżdżał wprost do dworu do pana brata, a gdzie nie znalazł szlachcica, zawracał do klasztoru lub na probostwo. I było rzeczą niesłychaną, by mu się gdzie drzwi zamknęły. Przez lat dwadzieścia można było krewnych nie widywać, prawie ich nie znać; gdy przyszła potrzeba się do nich odezwać, szlachcie zaprzęgał do kalamażki kobyłę i ruszał wprost do pałacu, pewien, że się go tam nie zaprą. Posadzano go tam w szarym końcu często, to prawda, lecz go krewny wyściskał i zrobił, co mógł, aby pocziwa krew nie przepadała.

Ojciec mój rodził się z Niesiołowskiej a rodzina to była można i senatorska... Wiedzieliśmy, iż między żyjącym panem wojewodą a nami jest blizki krwi stósunek, i choć nigdyśmy go w życiu nie widzieli, gdy czas był już z domu mnie gdzieś dać dla nauki, ojciec wprawdzie jechać się zaważał do Wilna — ale list do pana Wojewody napisał, szczerze i otwarcie mu zeznając, iż mi wychowania, jakiegoby pragnął, dać nie może, zatem do laski jego się udaje.

Czekaliśmy odpowiedzi, na której intencją nieboszczka matka modliła się codzień...

Zwlekło się kilka tygodni, co na owe czasy wcale dziwnem nie było, bo i poczty chodziły opieszale i ludzie pisać nie bardzo lubili. Okazało się téż, że list ojca w Wilnie pana wojewody nie zastał.

Naostatek z wielką pieczęcią przyszła wyglądana odpowiedź. Pamiętam dobrze — iż ojciec ją na stole położył, nie bardzo spiesząc z rozpieczętowaniem, a matka odmawiała po cichu Zdrowaśki.

Gdy do czytania przyszło, okazała się daleko lepszą, niżbyśmy spodziewać się mogli. List był serdeczny, czuły, pocziwy, wojewoda cieszył się, że młody Syruc z synem jego prawie tego samego wieku wychowywać się może...

Radość była w domu wielka ale i kłopot nie mniejszy, bo do Wilna wyprawując należało dać przyzwoitą wyprawę. Krawcy, szewc, szwaczki miały

wiele do roboty. Gdy wszystko było gotowe, pobłogosławiony przez matkę, spłakawszy się gorzko, siadłem z ojcem do bryczki i pojechaliśmy do Wilna. Biło mi serce ze strachu... łzami zachodziły oczy... nie wiem widział i słyszał, co się koło mnie działo, gdy ojciec wprowadził na pokój pana wojewody — leż wszystko to przeszło wprędce, gdy głos posłyszał łagodny starego Niesiołowskiego i poczuł w mojej dłoni rękę przyjacielską jego syna, który mnie witał jak nieznanego brata.

Nie wiem, czy byli dumnymi dla drugich, to pewna, że dla mnie okazali się najlepszymi w świecie. W domu tym znalazłem rodzicielską troskliwość i serdeczność. Ojciec mój upłakał się z radości i wdzięczności. Na mnie nie zrobiło to może takiego wrażenia jak na nim, bo jako dziecko świat sobie wystawiałem w jasnych barwach, on znał go lepiej i zdziwił się znajdując lepszym, niż marzył.. Dom też Niesiołowskiego był pewnie wyjątkiem szczęśliwym.

Pańsko-szlacheckie dwory tylekroć już opisywano, że je z tych tradycji znają wszyscy; wojewody też do wielu innych był podobny. Polski żywioł zaniższany z francuzkim w nim panował; pierwszy mu dawał szlachetne podstawy, drugi oglądę i formy europejskie. Wojewoda nosił się jeszcze po polsku, ale mówił po francuzku wybornie i maniere miał ludzi wyższego towarzystwa. Sama pani głównie francuszezyzną tu szezepiała i trzymała. Dla tego i syn wychowywany był przez Francuza na wpół z Polakiem.

Tegoż dnia wzięto mnie na egzamin i okazało się, że moja pijarska francuszezyzna tak była śmieszna, iż ją z gruntu wykorzenić potrzebowano a nową na jej miejscu zasadzić.

Wychowywałem się tedy z panem Julianem, dogoniwszy go w nauce i jak on sposobiąc do stanu wojskowego. Ta tylko była różnica między nami, iż on miał jeszcze odbyć podróż po Europie i zatrzymać się dłuższy czas w Strasburgu a ja z woli ojca natychmiast wstąpić powinienem był do wojska. Pan Julian, z którym byliśmy w najczulszej przyjaźni, ciągnął mnie bardzo do téj podróży z sobą, pisał pono

potajemnie do mojego ojca, aby na nią zezwolił, przecież ojcu się zdalo podziękować a mnie kazać jechać do Warszawy.

Z listem rekomendacyjnym od wojewody dostałem się do pułku Działyńskiego, stojącego naówczas w stolicy. Przybyłem tu w najsmutniejszą godzinę, gdy po chlubnej ale daremnej walce król miał przystąpić do Targowicy. . .

Nie mogłem porównać ówczesnego stolicy stanu do świetnej powierzchowności jej w czasie sejmu czteroletniego, ale uderzył mnie nadzwyczajny smutek i pomieszanie na wszystkich twarzach . . . rozpacz, narzekania i gwałtowne rozdarcie narodu na dwa najzjadliwej nieprzyjazne sobie obozy.

Co było w Warszawie patryotów najgorętszych dotychczas — na wieść o przystąpieniu króla do Targowicy uchodziło z przekleństwami i gniewem za granicę. Stronnictwo niby republikańskie, które na pozór dawnej wolności i praw bronić miało, z zajądliwością chwytając władzę, używając jej na prześladowanie najokrutniejsze. Moskale, od których przez lat kilka Polska była odwykła, z szyderstwem, butą, naigrzaniem, odgroźkami zaciągali znowu do stolicy. Adherenci ich, poubierani w mundury rosyjskie, okryci orderami, otoczeni strażami obcymi, pysznili się na ulicach.

Ponieważ wojsko rozpuszczać w części, reorganizować i zmniejszać miano, trudno się nawet było dostać do niego i ja raczej wśliznąłem się do służby, niż do niej zostałem przyjęty. Stało się to po cichu, za wielką forszą i z niemałymi trudnościami.

Nigdy może zwycięzka rzeczywiście partya nie obchodziła się okrutniej ze złamanymi na placu boju współziomkami, — jak Targowiczanie z krajem, nad którym z łaski wojsk rosyjskich zapanowali — począwszy od króla, którego pojono żółcią i wydarto mu wszelką władzę, aż do ostatniego żołnierza dano uczuć wszystkim, że Kossakowscy i Potocki mają za sobą poiarce cesarzowej Katarzyny.

Mnie, com się mało mógł wówczas zastanowić i sądzić, uderzało nawet nielitościwe to obchodzenie się z krajem.

W imię wolności najstraszniejszy w świecie zapawał despotyzm.

Nie zdziwi się nikt, gdy się przyznam, że dwudziestoletni naówczas, w pierwszych chwilach po przybyciu do Warszawy, uszczęśliwiony mundurem, widokiem stolicy, nowemi tylą przedmiotami i ludźmi mało zwracałem uwagi, za mało czułem, co mnie otaczało. Stopniowo potem ogarniała mnie trwoga i boleść.

Co dzień obijały mi się o uszy narzekania na panujących naówczas Targowiczan i obchodzenie się ich z krajem. Nawet dziecinny umysł uderzyła w końcu ta sprzeczność despotyzmu bezwzględego, który swobody republikańskie miał krzewić.

Strwożony król zupełnie bezwładny siedział na zamku, na listy impertynenckie Szczęsnego odpowiadając pełnemi względów stylizacyami swęj kancelaryi. — Oddawali mu honory jenerałowie rosyjscy — ale Targowiczanie wcale się nie kryli z zamiarami bodaj detronizacyi...

Ten mięsopust oślepiłych panów republikanów trwał tyle tylko, ile było potrzeba Rosyi, aby na sobie nieprzyjaznych ludziach pomściła się za sejm czteroletni... Nie nazywano inaczej sejmu tego jak spiskiem, konstytucyi zamachem i rewolucyą...

Nastąpił ów okropny sejm, na który króla prawie przemocą musiano wyciągnąć z Warszawy. Butni Targowiczanie znaleźli się wziętymi w matnię.

Krótką chwilą panowania ich przeszła, Moskwa dała uczuć, że ona tu jedna rozkazuje i rozrządza. — Jak piorun padł na zdrajców wyrok nowego rozbioru kraju, którego oślepli do ostatka nie przypuszczali.

Było coś okropnego nawet dla najobojętniejszych, najmniej rozumiejących, co się działo w tym sejmie grodzieńskim — który Polskę dobijał... ale prawie w téjże chwili, gdy na sesyi nieměj podpisano wyrok na Polskę, rozbudziło się uczucie powszechne zgrozy, oburzenia, rozpaczy tak gwałtownej, iż nie można było wątpić, że za sobą bodaj niewczesny wybuch pociągnie.

Katastrofa ta przychodziła nadto świeżo po wspomnieniach czteroletniego sejmu, padała na gorące je-

szcze, nieostygłe nadzieje, a towarzyszyło jój obejście się Moskali z krajem tak okrutne, iż wszystko, co żyło, jakby jednym głosem zawołało — Lepiej ginąć niż ścierpieć takie upodlenie i niewolę!

Nigdzie może wypadki te nie uczyniły takiego wrażenia jak u nas w wojsku... Mówiono o rozpuszczeniu go, o uszczupleniu, o rozesłaniu po kraju, o gwałtowném wcieleniu do wojsk rosyjskich...

Pomimo nadzwyczajnej pilności władz rosyjskich — spisek się zrodził ze dniem rozbioru prawie... We wszystkich jedna myśl się powtarzała — powstanie... wojna... Nikt sił nie rachował, była konieczność ratowania honoru narodowego jeśli nie ojczyzny. Potrzeba było we krwi zmyć hańbę tych ludzi, co podpisali wyroki na własny kraj...

Jak drgnienie elektryczne przebiegło wszystkich...

„Miałem naówczas lat dwadzieścia dwa, nie mogłem więc być przypuszczonym ani do narań, ani do tajemnicy żadnej, ale duszą i sercem należałem do stowarzyszenia wszystkich moich kolegów, oczekujących tylko znaku do walki. — Nie wiem, czy dla Moskali widoczne były jakie przygotowania, dla nas zaś były one jawne...

W połowie marca już w Moskalach konsystujących w Warszawie znać było jakąś trwogę i nadzwyczajne środki ostrożności, przedsięwzięte dla utrzymania porządku w stolicy...

Mieszczanie chodzili chmurni, jakby się nie znając i nie poznając w ulicy a rzucając ku sobie jakimś porozumiewającemi się oczyma — między wojskowymi a nimi znalazły się niespodziane znajomości i przyjaźń nie bywała...

Stałem naówczas kwaterą przy Miodowej ulicy w domu Karasia, gdzie mi krewni Mańkiewicze dali pokój na górze. — Stary Mańkiewicz zjechał był tu dla leczenia się na oczy, towarzyszyła mu żona, a że choroba była uparta, już rok tu przebywszy i nawykawszy do miasta, nie myśleli go opuszczać. Mań-

kiewicz, stary szlachcic ale człek z głową i niepospolitemi darami umysłu... żył bardzo oszczędnie, po litewsku, żywił też i mnie z dobrego serca a bawił się tem, że o wszystkiém, co się działo, wiedzieć musiał. Ostrożnym był bardzo, żeby się nie narazić Moskałom, przecież obawę o siebie zwyciężał patryotyzm gorący i umysł żywy a niespokojny.

Stary chodził z zieloną umbrellką nad słabemi oczyma, o kiju, bo był bardzo otyły, ale w domu usiedzieć nie mógł i od czasu, jak tu przybył, tyle porobił znajomości, iż o nowiny nie było mu trudno. A umiał ich dobywać z każdego tak zręcznie, iż sam śmiejąc się zapewniał: — Mój moci bodzieju! jak wezmę na konfesatę, powie mi nawet to, czego nie wie. I tak jest — tłumaczył się zaraz — tak jest, bo nie jeden raz powiedział mi człowiek rzecz taką, która dla niego była niezrozumiałą a dla mnie wiele znaczącą.

Mańkiewicz najał był sobie cały ten dom (nie pając tego imienia) a to dla tego, jak powiadał, że nie mógł znieść mieszkania z ludźmi, którychby nie znał i którzyby mu mogli chcieć kołki ciosać na głowie. — Nająwszy porozdawał i powynajmował mieszkania, których mu nie było potrzeba — ale już się tu panem czuł. Takim sposobem mnie się dostał pokój, bo stary Mańkiewicz przypadał mi dziaduniem i bardzo mnie lubił. Mańkiewiczowie dzicci nie mieli... przy sobie, jedyna ich córka zamężna mieszkała na Litwie.

Nie było gorliwszego zbieracza wiadomości, wiadomostek i plotek i pamfletów i broszur nad starego Mańkiewicza. Oczy sobie dopsuwał, wpisując, co tylko dostał, do wielkiej książki, którą zawsze pod poduszką trzymał. W czasie Targowicy, czasu sejmu i teraz, cokolwiek się ukazało w Wiedniu lub wyszło z potajemnych drukarni w Warszawie, wszystko to mieć musiał... Skąpy był trochę, ale na taki świstek nigdy nie żałował. Za Księgi rodzaju Targowickie zapłacił dukata, a choć odpowiedź na nie nie była warta, talara i za tę dał dla kompletu. A że pamięć miał nadzwyczajną, wszystko to potem recytował jak pacierz.

Obok tego gorączkowego zajmowania się sprawami kraju, o którego losach nigdy nie rozpaczał, Mańkie-

wiecz miał obawę Moskala równie prawie silną jak patryotyzm. — Nie spodlił się nigdy przez nią, lecz dosyć dlań było widoku munduru zdaleka postrzeżonego, ażeby zamilkł, a w domu musiał się pozamykać i opatrzeć pod łózkami, nim wodze puścił słowu.... Przytém jenerałom, oficerom a nawet feldwebłom moskiewskim spotkawszy ich w ulicy ustępował z drogi i kłaniał się bardzo grzecznie.

Gdy się czasem żona z niego śmiała, odpowiadał cicho: — Taki system mój, mocia bdziko, taki system, djabłu świeczka... a tak! djabłu świeczka....

Za to w duszy nienawidził ich tén więcej, im niżej kłaniać się był zmuszony.

Jak dziś pamiętam, było to wieczorem dnia siedemnastego czy ośmnastego marca.... Czas był szkaradny, smagał wicher z mokrym śniegiem... na ulicę ani było wyjść, wróciłem zawczasu do domu. — Mańkiewicz mi był dał do przeczytania broszurę, którą sobie z rąk do rąk potajemnie podawano — Nil desperandum, nudziłem się nad nią przy łojowej świeczce, gdy mnie na dół zawołano na wieczerzą.... Jadaliśmy naówczas po litewsku zawsze wieczerzą z dwóch potraw złożoną, bo Mańkiewicz smaczno jeść lubił a babunia Mańkiewiczowa uniała doskonale kuchnią zarządzać. Półmisek woniejących zrazów stał już na stole, bok w bok z kaszą ze słoniną... a stary siedząc palcami bębnił po stoliku i nie jadł. Zamyślony był dziwnie. Jéjmość téż, z założonemi na pierśiach rękami, zadumana, głową tylko rzucała, jakby się bijąc z myślami. Wszedłszy zaraz postrzegłem, że coś jest niezwyčajnego.

Od obiadu nie widzieliśmy się.

— Cóżes asindziej na mieście słyszał? he? zapytał Mańkiewicz.

— Na mieście? rzekłem — a no nic nowego!

— A widziałżes kogoś? począł badać stary, zwolna już jednak przysuwając zrazy.

— Widziałem się z kilku towarzyszami.

— I nie mówili nic?

Spojrzał na żonę....

— Nowego tak dalece nie słyszałem.



Mańkiewiczowie popatrza!i na mnie jakby bada-jąc, czy nie taję się; zaczęliśmy jeść.

Znano z tego dziadunia Mańkiewicza, że plotki lubił, a w mieście nie zbywa nigdy na ludziach, co je noszą, zwłaszcza gdy się spodziewają przy tój zřeczno-ści napić lub zjeść. Zrazy już były rozpoczęte, gdy chłopak oznajmił pana szambelana.

Pod tøm nazwiskiem znany nam był staruszek, jeszcze za Augusta III. mianowany, dziś zubożały, ży-jący nie wiedzieć z czego w mieście i odgrywający rolę pasożyta. Weisnął się on do wszystkich domów, gdzie go tylko jakokolwiek przyjmowano, zabawiał dyk-teryjkami, nadzwyczaj łakomie zajaadał, podejmował się sprawunków, posyłek, przyjmował nawet małe podarki i winien był cały swój byt takiemu wysługiwaniu się między ludźmi. Wszystko winien będąc Sasom, niena-widził Moskali, przypisując ich intrygom odsunięcie od tronu dynastji saskiej.

Stary szambelan nosił się naturalnie po francuzku i mimo wieku był galant dla kobiet, gadał nie bardzo do rzeczy, ale łatwo, wiele i tak, że się nieznajomeinu człowiekowi zrazu mógł wcale dobrze wydać.

Przyjście szambusia o tøj godzinie, choć w domu był poufałym gościem, miało swoje znaczenie. Wstrzy-mał się w progu niby strwożony tøm, że zastał wie-czerzą... lecz już Mańkiewicz krzesło dla niego do stolika ciągnął i o talerz wołał. Szambelan przepra-szając zajął miejsce. Oglądał się bardzo ostrożnie.

— A cóż! zapytał Mańkiewicz.

— Najprawdziwsza prawda — zniżonym głosem rzekł szambuś, — niech co chcą gadają, ale tak jest! tak je t! Madaliński poszedł na Mławę ku granicy pruskiej... to nie ulega najmniejszej wątpliwości. — Alea jacta est!

Mańkiewicz w ręce p!asnął i chwycił się za głowę, ja ażem się porwał ze stołka.

— Siedź! na Boga ukrzyżowanego! odezwał się stary, cicho, wartogłowie, ani mru mru!! Moskale te-raz ściany świdrują, żeby co posłyszeć... twarzą ani słowem zdradzać się nie godzi.

Szambelan mówił dalej.

— Koło kwatery Igelströma formalny sejmik, ko-
zacy latają, biegną, wracają... w oknach światła,
kilka karet przed domem. W zamku toż samo... Już
wiedzą... myślę, że wojska wysyłają.

— Toż dopiero w Warszawie mieć będziemy czém
żyć — rzekł Mańkiewicz — boć kiedy przed dwudzie-
stu dniami, gdy jeszcze nie było nic a już aresztowali
Węgierskiego, Działyńskiego i Sierpińskiego, cóż do-
piero teraz będzie. Powinniśmy się jak myszy tulić
po norach, ja i z domu nie wychodzę...

Szambelan zajał zrazy pilnie.

— Nie ma wątpliwości, począł z gębą pełną sosu,
że trzeba być nadzwyczaj ostrożnym... szpiegów jak
maku... Za nieszczanami chodzą, za wojskowymi,
za każdym, co im się zda podejrzanym.

— Asindziej mi się pilnuj, na rany Chrystusowe,
zawołał Mańkiewicz, bo uchowaj Boże słówko nieostro-
żne piśniesz... a uczepią się do ciebie, to mi jeszcze
biedy na dom naciągniesz... gotowi i do mnie się
chwycić... A no! djabeł nie śpi!!

— To pewna, potakiwał szambuś, że w domu
Igelströma, w loszkach siedzi już kilka, drudzy mówią
kilkanaście osób... jeden Potocki nawet.

— Przepraszam dziadka — odezwałem się, — ja
wcale paplać nie myślę, słowa nie powiem, ale to wcze-
śnie zapowiedzieć muszę, że jeśli — przyjdzie do czego,
nie będę ostatnim...

Mańkiewicz ugryzł się w kułak i dał mi znak
milenia.

— Cicho! odezwała się sama jęmość.

Szambuś popatrzył z ukosa. — Zamilkłem.

Oprócz téj nowiny o Madalińskim przybyły miał
wiele innych do opowiadania po cichu a jedno od
drugich były straszniejsze.

— I to nie ulega wątpliwości, dodał, że się przy-
sposabiają w mieście jakieś okropności... Moskale
odgrażają się, że w pień wytną nas... Mają arsenał
opanować, wojsko rozbroić.

Uśmiechnąłem się.

— Czyżbyśmy się tak dali bez oporu inni wziąć?
zapytałem.

— A milczże, zaklinam! — stukając o stół ręką, przerwał stary — chłopak chodzi, słucha może pod drzwiami a ty głos podnosisz jakby naumyślnie. — Powie dyskursywe stróżowi, stróż łajdak szpieg... to nie ulega wątpliwości. Z oczów mu patrzy źle... a dom zgubić łatwo, mogą nas wszystkich wywieść na Sybir.

Przestraszony zamilkłem dając sobie słowo, że ust nie otworzę. Szambelan wciąż szeptał, lecz z nadwyzczajną ostrożnością i, gdy chłopak wchodził, natychmiast rozmowę zmieniał, zwracając ją na nabożeństwo u Kapucynów.

Wieczór przeszedł na komentowaniu tych wiadomości i konjekturach najrozmaitszych... starzy, zobaczywszy mnie milczącym, rozgadali się szeroko, tak że się dowiedział niespodzianie wielu szczegółów dla mnie ciekawych, o których wprzód wyobrażenia nie miałem.

Szambelan i stary wtajemniczeni byli doskonale w roboty emigracyjne Kościuszki, Potockich i Kołłątaja, wiedzieli o bytności Zajączka w Warszawie, którego Igelström z rąk wypuścił, o spisku szerzącym się po całym obszarze dawniej Polski.

Mańkiewicz był tego zdania, iż trzeba mu było dać dojrzeć dobrze i że Madaliński wyrwał się za wcześnie, tak że przepadnie i cała praca w łeb weźmie, bo ludzie nieprzygotowani.

Szambuś nie podzielał tego zdania.

— Na miły Bóg, albo teraz lub nigdy, — rzekł kończąc kaszę, którą mu gospodyni nakładała bez miłosierdzia na talerz... wojsko całe już wie, co ma czynić. Obywatelstwu dano znać przez ludzi zaufanych; później, gdyby rozbroili resztki żołnierza, powstanie jużby się nie miało o co oprzeć.

U nas zresztą, jak tylko czas dać do rozmyśłu, spełźnie wszystko na niczém.

Rozeszliśmy się późno a Mańkiewicz jeszcze na dobranoc powtórzył mi, że bym się miał na baczności, bo na pułk Działyńskich Moskale szczególnie mieli oko...

Jak świt byłem w naszych koszarach...

Tu już po twarzach poznałem, że wiadomość o Madalińskim nie była fałszywą... Oficerowie chodzili niespokojni, szeptano między sobą, naradzano się z żołnierzami, działa się coś tajemniczego i widocznie nadzwyczajne rzeczy gotowały. Jako jeden z najmłodszych nie nabijałem się, aby należeć do narad, bobym nie bardzo wiedział, co i radzić — lecz z rozmów przekonałem się, że mi ufają i rachują na mnie.

Koszary otoczone były szpiegami... musieliśmy się mieć na nadzwyczajnej baczności, aby nie zdradzić, żeśmy już coś wiedzieli i przysposobili do czegoś.

W ulicach tego dnia uderzał widok szczególny, ludzie silił się jawnie na to, aby nie okazać po sobie, iż wyszli z karbów powszedniego życia, a ruchy ich, wejrzenia, chód... wszystko zdradzało, iż coś niezwykłego się stało i opanowało umysły... Około Igełströma ruch był wcale nie tajony, adjutanci latali, posłańcy chodzili do zamku, od króla przyjeżdżali jenerałowie, hetman przybył i siedział godzinę... Z ratusza ściągano urzędników...

Z każdym dniem rósł ten niepokój Moskałi, którzy jednak dla niepoznaki przechodzili przez miasto z muzyką, mustrowali się, konno płąsali po ulicach...

W kilka dni potem zaczęto przebąkiwać o nowych aresztowaniach, mówiono nawet o takich, które do skutku nie przysły. Jakies imiona wprzód nie znanych ludzi krążyły z ust do ust między nami, Aloego, ks. Majera, Kapostasa, Kilińskiego...

Mańkiewicz widocznie przy mnie się nie chciał rozgadywać, bo się bał mojej gorączki młodzieńczej... marł ze strachu razem i z ciekawości, co też to będzie.

Tak dożyliśmy do ostatnich dni marca... z każdym dniem ostrzejsza policya, dozór, szpiegi czyniły życie nieznośnem.

Pomimo tych nadzwyczajnych ostrożności, aby się Warszawa nie dowiedziała ani o losie Madalińskiego ani o tém, co się w kraju działa, mimo że każdego przyjeżdżającego przetrząsano na rogatkach i brano na konfesaty... że po miejscach publicznych nikt się ust

otworzyć nie ośmielił — akt powstania krakowskiego dnia 24 marca w kilka dni później już był wiadomym w Warszawie. . .

Ktoby nie wiedział o tém, mógł się domyśleć po twarzach mieszkańców. . . rozpromieniały oblicza. . . rozjaśniły się czoła. . .

Mańkiewicz cały dzień chodził po pokoju pogrążony w myślach. Nie wiedząc, czy już dostał języka, z rana przybiegłem do niego z koszar i na ucho mu szepnąłem.

— Jenerał Kościuszko w Krakowie! powstanie narodu ogłoszone. . . Lud z kosami, mieszczenie, żydzi, tłumem się garną do wojska!

— Cyt! milczałbyś — odezwał się stary — wiem, ale potrzyмай język za zębami! wszystko wiem. . . kto ci powiedział?

— Całe miasto, wojsko, lud wiedział, wszyscy. . .

— I cóż? spytał stary. . .

— Niech pan przez okno popatrzy. . . to na czołach przeczyta, co myślą. . .

— A tak! to rozuennie! to ślicznie — począł gderać staruszek. . . napiszcie sobie na czole wielkimi literami, żeby Moskale wyczytali, co myślicie, i wiedzieli, co robić. . .

— Cóż oni nam robią — rzekłem — ich garść a nas będzie krocie. . .

Ścisnął mnie za rękę. . .

Już mi trudno było na miejscu usiedzieć, pobiegłem do koszar. . .

Trzeba było widzieć niecierpliwość żołnierzy i oficerów. . . ledwie w miejscu spokojnie mogli usiedzieć. . .

Wieczorem w teatrze zapowiedziano: Krakowiaków i Górali. . .

Sztuce dosyć było jednego nazwiska, „Krakowiaków“ . . . ażeby tłumy ściągnęła. Dowiedzieliśmy się téż, że Igelström przeczytawszy afisze natychmiast posłał, aby sztukę zakazać, i że marszałek Moszyński na prośbę Bogusławskiego pojechał sam do jenerała przedstawić mu, iż sztuka była najniewinniejszą w świecie — a zakaz niepotrzebnieby drażnił. . .

Afisze poździerane rano, znowu się pokazały po

południu, kto tylko miał grosz w kieszeni; biegł do teatru. Sala była przepełniona, napchaną, nabitą a — jakby na szyderstwo, w orkiestrze umieszczono muzykę wojskową rosyjską, która przygrywać miała.

Wprawdzie z wyższego świata mało kto na teatrze był dnia tego, ale mieszczan, kupców, młodzieży, wojskowych tłumy. Gdy muzyka rosyjska zagrała Krakowiaka a pary poubierane po krakowsku ukazały się na scenie i tańczący przyśpiewywać zaczęli, teatr mało nie runął od oklasków. Uniesienie nadzwyczajne objęło wszystkich, śmiali się i płakali. Aktorowie, powtarzając najniewinniejsze zwrotki piosenki, umieli im nadać takie znaczenie, iż ci Krakowiacy przedstawiali nam nie to, czém byli na scenie, ale ów lud krakowski, co w tej chwili z Kościuszką szedł pod Racławicę. . . Samo imię Krakowa było jakby hasłem tajemniczym, ludzie sobie nieznani zupełnie powtarzali je po cichu ściskając się za ręce.

Widoczném było, że jedném uczuciem drgały te wszystkie piersi. Uśmiech migał na ustach, łzy stały na oczach, dłonie paliły się.

Spojrzałem po sali, cała była jednaka, zapal ogarniał łoże, parter, paradyż . . . ściśnięty tłum. . . Gdzieś tam tylko twarz błąda obcego widocznie człowieka, strwożona, pomieszana wydawała, że zrozumiał niemy język tych, co go otaczali.

Słówkiem nikt się nie zdradził — lecz najinniej bacznym postrzegacz wyczytałby ze źrenic tych ludzi, czém piers była przepełniona. Posłuszna muzyka rosyjska grała od ucha i tak wyśnienicie, jakby wiedziała, co dziś krakowiaki znaczyły.

Przed kilku dniami wprzód i ja zostałem wtajemniczony w przygotowania. Nie wiedziałem wprawdzie ani godziny, ani terminu, ale że się w Warszawie coś gotowało, miałem wiadomość, bo mnie kilka razy użyto do odniesienia kilku słów, nie bardzo rozumiałych, majstrowi Kilińskiemu, temu samemu właśnie, którego podejrzewając Igelström wołał do siebie i rozmówiwszy się z nim puścił wolno.

Stojąc w teatrze na parterze, o kilka kroków od

siebie postrzegłem mojego pana majstra, który oczy ociera. . . .

Piękną postawę mężczyzna, twarzy bardzo urodziwej, miał raczej szlachecką fizygnomią niż rzemieślnika. — Was zawieszisty, podgolona głowa, wyraz meztwa i energii zwracali nań oczy mimowolnie. . . . Spojrzeliśmy na siebie, Kiliński dał mi znak, jakby po teatrze chciał mówić ze mną. Całe to przedstawienie upoiło nas, wychodząc znaleźliśmy się razem. Dopóki tłum wypływający z teatru nas otaczał, nie mówiliśmy do siebie nic, dopiero na Starém mieście, gdzie już puścić było, Kiliński zatrzymał się.

— Mój poruczniku, rzekł, już to wam Działyńszczykom wierzę jak samemu sobie. . . nie ma co w bawełnę dla ciebie obwijać. Czas płaci, czas traci. Może lada moment przyjsz taki, że i my im krakowiaka zagramy. . . cha! cha. . . . Trzeba, by wszystko było w pogotowiu, a te. . . moci panie — pilnują nas, że się ruszyć nie można. . . . Ciągłej trzeba komunikacji między nami. . . a tu szpiegi nam na pięty następują.

— Więc cóż, szanowny obywatelu? o co idzie? rzekłem — jutrom gotów do usług.

— To ja wiem, odparł Kiliński, ale idzie o to, ażeby nie przewąchali i żeby ich zmylić. . . . Jeśli z was którego pochwyć, choćby acana dobrodzieja, szkoda — rąk i pałaszów nie będzie za wiele. . . . zadumał się pan Kiliński — i rozśmiał.

— Tylko mi, kochany poruczniku, nie myśl, dodał, żeby płocho z tego korzystać, iż cię muszę poznać z piękną dziewczyną.

Na te słowa osłupiałem.

— Cóż to ma znaczyć? spytałem.

— A tak! nie ma rady, choćbyś dwa razy na dzień na umizgi chodził, Moskale się tém nie zgorszą ani zadziwią, a jak do mnie raz przyjdiesz. . . do kozy nas wpakują.

Stałem milczący, bom jeszcze zrozumieć nie mógł, na czém się to skończy. . . Szliśmy powoli dalej. . . Kiliński mówił cicho.

— Trzeba, kochany poruczniku, wszystkich sprężyć

użyć... a nasze kobiety mężkie serca mają. Ja wac-pana zaprezentuję téj, która nosi rozkazy i papiery i której tak pewny jestem jak siebie... Cóż było robić, i baby muszą służyć ojczyźnie. Tylko się wacpan nie rozkochaj, bo to darmo... to mospanie ludytha jest i nie do romansów.

Niezmierznie zadowolony, zmieszany szedłem za Kilińskim. Staliśmy w rynku Starego miasta. Przed nami była wązka kamieniczka, nad której bramą żelazna wisiała trzęsla. Kiliński wprost poszedł na wschodki ciemne, ja za nim. Wdrapaliśmy się tak omackiem na drugie piętro.

Do drzwi zapukawszy raz i drugi, majster poczekał, aż się z zewnątrz mały wasistas otworzył i głos zapytał.

— A kto tam...

— To ja, pani majstrowo...

Szepnął cicho nazwisko.

Odryglowano wewnątrz, weszliśmy do przedpokoiku, gdzie mocno już czuć było skóry i juchty.... Kobieta, która nam otworzyła, nie młoda, otyła, wzrostu słusznego, — na powitanie Kilińskiego — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, odpowiedziała pobożnie, ale zobaczywszy mnie za nim, zmieszła się widocznie. Weszliśmy.

— Jest Jutta? zapytał Kiliński cicho... Kobieta, nim się zebrała na odpowiedź, zerknęła na mnie, zrozumiał ją majster.

— On tu potrzebny! szepnął.

— Nic do rzeczy! nie do rzeczy! odparła stara — po co młodych ludzi prowadzić.

— Żeby się nie dorozumiano, z czém przychodzą, moja jéjmość, począł Kiliński... niech ludzie myślą (rozśmiał się), że dla pięknych oczów Juty... W téj chwili w progu od drugiej izby ukazała się kobieta, domyśliłem się w niej téj, o której była mowa. Wyobrażałem sobie piękną, młodą dziewczynę, ale takiego obrazu, jaki mi się przedstawił, całem spodziewać się nie mógł.

Opisanie twarzy i postaci kobiecej niezmiernie jest trudne, nadużyto farb i słów... które w końcu mówić

przestały. Nie będę się też silił na obraz panny Juty Wawerskiej, bo go odmalować nie potrafię. Było to dziewczę lat może 20, słusznego wzrostu, z główką dumnie podniesioną, twarzą na pozór nie w sobie nie mającą nadzwyczajnego, z oczyma dużemi niebieskimi i warkoczami blond. Wyraz więcej mówił niż rysy, chociaż te czyste były i piękne. Rzadko twarz kobieca miała taką cechę energii, odwagi i dumy, jaką się Juta odznaczała. Przypatrywała się, skinąwszy głową Kilińskiemu, mnie nieszczęśliwemu, stojącemu jakby pod pręgierzem, i zdawała mierzyć i ważyć, co też ja wart być mogłem.

Usta jej w końcu zacisnęły się z pewną oznaką nieukontentowania, założyła ręce na piersi i stała milcząca...

— Chodźmy no dalej, rzekł Kiliński...

Szliśmy tedy przez drugą izbę, która była warsztatem rymarskim, dużą i przestronną, a potem przez rodzaj kuchenki do porządniejszej trzeciej, w której pani Wawerska wskazała nam stołki z widocznym zafrasowaniem i złym humorem.... Juta stała nieco opodal.

— Nie gniewajtaż się, nie gniewajta, moja dobrodziejko — ozwał się Kiliński. — Porucznik S. ruć, którego wam przyprowadzam, zalecony mi dobrze, nie jest żaden płochy chłopiec, poczciwe dziecko... Cóż wam zaszkodzi, gdy czasem przyjdzie i słowo przyniesie, które Juta odda, gdzie należy?

— Ale dalipan, nie krzywdząc porucznika — poczęła stara Wawerska — niech to będzie bez urazy, mogliście też dobrać starszego... E! piękna rzecz, jak się tu mundur do nas zagęści... i ludzie na Jutę gadać będą...

Machnęła ręką... — E! el powtórzyła.

— Ale moja pani majstrowa — odezwał się Kiliński, — nam tego potrzeba, żeby go posądzali, że zaszłapał...

Rozśmiał się, ale ani Juta ani matka nie dały się tym rozweselić. Owszem twarz milczącej dziewczyny surowego i coraz dzikszego nabierała wyrazu.

— Mogliście też dobrze starszego! dodała Wawerska.

Spojrzawszy na matkę, na Kilińskiego i na mnie, Juta po namyśle odezwała się wreszeie dźwięcznym i spokojnym głosem.

— Niechaj już mateczka się tém nie gryzie... rzekła — w takiej godzinie nie ma co myśleć o sobie, kiedy tu ojczyznę ratować trzeba... Niech tam sobie ludzie plotą, eo chcą — pan porucznik przyniesie, co trzeba, a ja odniosę, gdzie należy. Kiedy już komedya grać trzeba... to i grać, aby Moskali oszukać...

Ja nie wiele dbam, co ludzie powiedzą.

Wawerska ramionami ruszała.

— O Jutę ja się wcale nie boję — dodała klepiąc ją po ramieniu — to! to! téj tam głowę zawrócić nie łatwo a umizgusów krótko i węzłowato odprawia! Niechby się tam który ważył — a no, po eo na ludzkie języki się dawać...

— Moja majstrowa — zważcie no, o co to idzie... rzekł majster — nam żadnemu nie ruszyć się, żeby za sobą szpiega nie miał... na Jutę nikt zważać nie będzie... to mus... albo my ojczyznę wyratujemy w tym terminie, albo zgubiona...

Juta żywo przerwała...

— Nie ma co mówić — eo trzeba to trzeba — niech porucznik przychodzi! Przecież raz się od Moskali musimy uwolnić...

— I spodziewam się, że to nastąpi — uśmiechnął się Kiliński... Ale tu nieustannie między wojskiem a nami trzeba związek utrzymywać... Jak? nie ma rady, tylko kryjąc się i motając tak, żeby niei nie doszli...

Wawerska milczała, westehnęła.

— Albo to myślicie, panie majstrze, odezwała się, że mnie ojczyzna mniej droga jak wam i że jabym życie się wahała za nią dać, jak nieboszczyk mój Serafin... Panie, świeć nad jego duszą... wszak ci nie kto tytkom ja Jutę wychowała, że ma tak wielkie serce — a no, dziecka żal...

— A eo mu się stanie? odparł Kiliński, już ei porucznik szanować ją potrafi...

Przyszła tedy pora na mnie odezwać się, a przykro mi już było, że tak jakoś przyjęty zostałem z nieufnością.

— Pani dobrodziejko — rzekłem grzecznie — bardzo mi bolesnie, że będąc użyty w publicznej sprawie, od której się wymówić nie godzi — nie mogę zamienić mojego obowiązku z kim innym, aby pani nie być natrętnym; ale upewnić ją mogę, że wychowany w religijnym domu a płochości żadnej nie dopuściłem się w życiu. Tém mniej można mnie posądzać o nią, gdy idzie o sprawę taką, jak nasza... byłoby kryminałem... o czém inném myśleć jak o niej.

Juta przypatrywała mi się i słuchała pilnie, gdy mówił — słowo moje trafiło jój do serca...

— No, dosyć, dosyć — odezwała się, o mnie to idzie — dajmy pokój, mateczko... Jużem się podjęła nosić ładunki i papiery i hała... trzeba dotrwać do końca...

Oczy jój zapłonęły jakby ogniem wewnętrznym...

— Ojca mi zabili Moskale! dodała — niechże ja słaba choć w ten sposób go pomszczę... Gdyby i zginąć przyszło! W oczach stanęły łzy, Wawerska je też otarła fartuchem... Kiliński wąsa kręcił.

— No, pańie poruczniku, rzekł nie dopuszczając, aby się więcej popłakały — żart żartem... będziesz pierwszy raz w życiu wystawiony na ogień baterji nieprzyjacielskich, bo oczy Juty... to gorzej armat... nie dajże się zabić! trzymaj się krzepko...

Juta z politowaniem jakimś spojrzała na mnie z góry, zaczerwieniłem się nie odpowiadając nic... Wstaliśmy ze stołków, żegnając gospodynią milczącą i piękną dziewczynę, która dopiero u drugich drzwi roztargniona mi główką kiwnęła... Chłopaka zaspanego z za pieca dobyto, ażeby nam na wschodach poświęcił.

Wyszliśmy w rynek, Kiliński z milczenia i postawy musiał się domyslać, że byłem w złym humorze i nie bardzo rad — ujął mnie tedy pod rękę.

— No, no, rzekł żartobliwie, co byś mi powinien dziękować, że ci tak ocukrowałem posługę dla ojczyzny, porucznik mi kwaśną robisz minę.

Żartobliwy był i kobieciarz wielki pan majster.
— Na waszém miejscu — w waszym wieku, dali pan, miałbym sobie za szczęście parę razy na dzień takiej ślicznej pannie spojrzeć w oczy... choć bez dalszych konsekwencji! A muszę wam dodać, że jak piękna jest, tak mężna i stateczna, prawie powiem, heroína... To prawda, że nieboszczyk Wawerski Serafin od Moskali zginął... zarabali go... najniewinniej... ale téż córka... to Polka, panie, jakiej drugiej poszukać. Już za to nie ręczę, żeby karabina nie wzięła. Ona tu tak czynna prawie jak ja, a umie doskonale dać sobie rady... i wsrubuje się wszędzie.

Słowa te Kilińskiego, przy pożegnaniu wyrzeczone mocno mnie zadziwiły i obudziły ciekawość. Napatrzyłem się choć młody, że w wyższém towarzystwie kobiety nasze w intrygach politycznych czynne były bardzo i wielce się roznamiętniały — ale w téj klasie, do której należała Jutta, nie przypuszczałem ani uczucia patryotycznego ani możności posługiwania sprawie kraju.

Pomimo że mi sobie jak najuroczyściej przyrzekł ani pomyśleć o pięknej dziewczynie, ani na nią spojrzeć, obrazu jój pozbyć się nie mogłem noc całą... Stała mi przed oczyma z tą surową twarzą, z oczyma zaognionemi jakby gniewna i natchniona i straszna, a mimo to pociągająca pięknnością dziwną, której zrozumieć nie mogłem. Nic w niej nie było niewieściego, wdzięcznego, — nic łagodnego — jednak urok miała tém osobliwszy dla mnie, że jój go ani otoczenie, ani strój, ani mowa, — nadać nie mogły. Córka rymarza, ubrana skromnie, bez starania i elegancyi, z twarzy czką, jakich się tysiące spotyka — pogardliwie odpychałem wrażenie, jakie uczyniła na mnie, a pozbyć się go nie umiałem... Naturalnie o téj całej przygodzie nikt w domu odemnie nie się nie dowiedział, unikałem rozmowy z Mańkiewiczem, gdyż coraz bardziej się trwożył. Nie wiedział on, co się działo w mieście, ale musiał się przygotować, domyslać.

Miesiąc kwiecień zaczął się dla nas wzrastającą codzien gorączką.

Postać Warszawy zmieniała się codzienn, ślepyby

chyba nie dojrzał, że tu się przysposabiano do stanowczego kroku.

Igelström wprawdzie miał doskonale raporta o stanie umysłów, lecz nie przypuszczał pono nigdy, ażeby do walki w stolicy przyjść mogło. Posłał on po posiłki, obawiając się więcej powstania i Kościuszki niż samej Warszawy. Tu codziennie aresztowano kogoś, ostrożności były nadzwyczajne; król, hetman i cała zamkowa partya w myśl jenerała działała i z nim trzymała....

Nie było tajemnicą dla nikogo, iż w wielkim tygodniu, korzystając z tego, iż lud miał być przy grobach i po kościołach, chciano arsenał opanować i wojsko polskie rozbroić.

Ożarowski zgodził się na to.

Cichowski jenerał, który przy nim adjutantem był i naczelnikiem sztabu, należał do związku, przez niego wszystko naszym było wiadome.... Moskali w Warszawie było od siedmiu do dziesięciu tysięcy, polskiego wojska, rozbitego, rozdzielonego, porozkładanego po koszarach i na Pradze, mało co więcej nad dwa tysiące. — Liczyliśmy wszakże na mieszczan, których arsenał powinien był uzbroić.

Zaraz nazajutrz posłano mnie do Juty z papierem, który miała odnieść na Pragę.

Zapukałem do drzwi, a że w pierwszych dwóch izdebkach pełno było czeladzi u roboty, poszedłem z nią aż do trzeciej, przyczem roztropna Juta, ażeby znać nie dać posądzać, iż z czémś ważniejszém przychodzę, śmiała się i żartowała, co mnie bardzo zmieszało. Czuję, iż źle odegrywałem rolę moją. Szedłem za nią zmuszając się do uśmiechu... a w sercu gorzko mi jakoś było. Przyszła matka, prosząc mnie na kawę, którą zaraz sama przygotowywać zaczęła. — Myśmy się cofnęli w głąb okna i tu, nieznacznie oglądając się, aby czeladź nie dojrzała, wręczyłem jój papier, który pospiesznie schowała.

Pierwszy raz widziałem ją po dniu... wydała mi się daleko piękniejszą niż wczoraj. Płeć miała dziwnie białą i delikatną, śliczne oczy lazurowe, czoło wysokie a rzęsy ciemne; gdy powieki spuściła, jedwabną frędzlą

kładły się na licu... Szlachetny wyraz twarzy dziwił w prostém dziewczęciu. Przypatrywałem się jej ze drzeniem, ona mi z obojętną ciekawością. Kilka słów przemówiliśmy po cichu do siebie.

Zapewne dla zbałamucenia czeladzi w drugiej izbie, od której drzwi stały otwarte, wesoło i śmiejąco się mówiła do mnie... Czuć jednak było, że ta wesołość i humor wyrobione były umyślnie. Matka także dla oszukania ludzi przyjmowała mnie jakby kawalera...

Nie było nic tak dziwnego naówczas, żeby się szlachcie, oficer starał o córkę zamożnego rzemieślnika i mieszczanina, mającego dom i kapitał jak Wawerscy. Żeniło się wielu, zwłaszcza gdy panny były ładne i dobrze wychowane.

Umyślnie przesiedziałem tu chwilę, aby się komuś nie zdawało, żem jak po ogień przyleciał. Jutta siadła naprzeciw mnie wsparta na rękę... ale rozmowa wymuszona nie szła. Przypatrywała mi się tylko ciekawie i wcale nie kryjąc z tém, że chciała lepiej poznać narzeczonego jej młokosa.

Mnie się nie wiodło, prawilem od rzeczy, spokojny wzrok Juty jakby starszej siostry spoczywający na mnie... odbierał mi przytomność. Gdy przyszło odchodzić, Wawerska umyślnie znowu wyprowadziła mnie przez warstat i czeladź aż do progu, ciągle na głos powtarzając:

— Prosimy bardzo bywać u nas częściej, choćby co dnia, bardzo prosimy, zrobisz nam pan wielką przyjemność. Jutta dawno chciała brać lekcye rysunku... a tego starego Foligna, to się ani doprosić.

Z tego dowiedziałem się, że mogę odgrywać rolę nauczyciela rysunku.

Spłoszony, zmęczony, nie rad z siebie wydobyłem się na Rynek, tu dopiero odetchnąłem. Szedłem powoli ku zamkowi zamyślony, rozglądając się, gdy po za sobą usłyszałem żywy chód i zobaczyłem już idącą Jutę... Nowy to był dla mnie widok — spotkać ją w ulicy... ustąpiłem na bok i skryłem się pod bramę, żeby się jej lepiej przypatrzeć.

Okryta chustką czarną, tak że twarzy jej prawie

nie było widać, szła a raczej biegła krokiem pewnym i śmiałym, z postawą tak zręczną i uderzająco piękną, iż ją za przebraną panią jakąś wziąć było można. — Nie spostrzegła mnie nawet i pominęła zaniżyłona, szła zajęta swoim poselstwem. Poszedłem za nią z wolna i długo ścigając oczyma. Dziwnie mi się to w głowie mieszało. Zdawało mi się, iż się parę razy zatrzymała, przechodząc i wymieniając słów kilka ze spotkanymi mieszczanami... znikła mi potem za zamkiem...

Powróciłem do domu. Tu trwogę zastałem i radość niezmierną — wiadano już o bitwie pod Racławicami i zwycięstwie, które w pierwszej chwili naturalnie jeszcze większe przybrało rozmiary. Szambuś opowiadał, że w zamku i u Igelströma panował niewysłowny popłoch...

Przeklinano Jakobinów!

Na ucho mieszczanie opowiadali sobie, iż kilka tysięcy Moskali na placu legło, że wojska ich były rozbite, armaty zabrane i po raz pierwszy wieśniacy z kosami heroicznie wystąpili, przyczyniając się do zwycięstwa...

W kołach wojskowych i szlacheckich cieszone się zwycięstwem to prawda, lecz gdy mowa była o chłopach i kosach, milczano. Powołanie włościan do broni było rzeczą tak nadzwyczajną, iż w tej chwili pachniało w istocie jakobinizmem i napętniało obawą. Szlachta nie tała się z tem wcale, że zwyciężkie kosy i dla niej były straszne... Po co to odrywać ludzi od zagony i roli, czy to ich rzecz bić się za ojczyznę a od czegoż my?

Akt powstania i odwołanie się w nim do ludu, czytane na zamku wywołały naturalnie zarzuty jakobinizmu.

Wkrótce potem ukazały się plakaty Rady nieustającej, zaskarżenie o zdradę i ustanowienie sądu na buntowników, ale te zdzierano natychmiast. Opowiadano o Igelströmie, iż przystąpić doń nie było można, wpadał w wściekłość na widok kontusza, odgrażał się, łajał, bezcześcił senatorów... klął i przezywał zdrajcami wszystkich... W ulicy mało się kto śmiał pokazać

a przed mieszkaniem posła unikano przejeżdżać... W mieście zapanowała straszliwa cisza i pustynia... Ludzie suwali się bokami, starając się przejść niepostrzeżeni i niepoznani... Żołnierze moskiewscy czy w skutek rozkazów, czy rozzuchwaleni napastowali najspokojniejszych przechodniów, odwachy pełne były uwięzionych.

Rozumie się, iż w takim stanie rzeczy ludzie najczynniejsi kryli się jak najpilniej, nie chcąc zwracać na siebie uwagi; ja — najczęściej po cywilnemu i panna Juta, na którą nikt nie zważał, nosiliśmy rozkazy, przynosili wiadomości. Cały ruch miejski skupiał się przy Kilińskim, który na oko zajinował się swoim rzemiosłem; ani poznać było można po nim, że w jego rękach stolicy a po części i kraju się mieścił. Zawsze wesołego i rubasznego humoru, odważny, zimnej krwi, nie dawał z powierzchowności domyślać się, jak był czynnym. W mieście tak wielkiem, gdzie Moskale długim pobytem porobili tysiące znajomości i stósunków, przygotować lud, czeladź, — część narodu najmniej nawykłą do tajemnicy i milczenia, tak aby, przed czasem nie zdradzić się — było prawdziwym cudem. Patrząc, jak się to w ciszy przysposabiało... nie mogłem wyjść z podziwu i uwielbienia dla człowieka prostego, nieprzebiegłego wcale, który to tak poprowadzić umiał.

Zbliżał się wielki tydzień... czuć było mimo tłumionych uczuć wrzenie w całej ludności... obiegały wieści o rzezi, o zbrojeniu, o napaści Moskali na kościół. Wszystko to rozdrażniało lud, ale co kipiało w nim, nie okazało się na zewnątrz. Igelström mógł sądzić, iż grozą i trwogą zmusi Warszawę do poddania się. Nie szczędzono też tej grozy i znęcań. Na zamku panowało przerażenie — ale nie tak rewolucji się tam obawiano, bo od tej wojska rosyjskie zabezpieczały, jak gniewu Imperatorowej, którym zawczasu Igelström piorunował.

Król napróżno przedstawiał mu, że za oblężoną część narodu nie godziło się karać wszystkich, — poseł dawał do zrozumienia, iż w niczyją niewinność nie wierzy.

Z każdym dniem było gorzej, powietrza zdało się braknąć do oddechu... około koszar kozactwo, armaty do koła, szpiegi, włóczęgi... prześladowanie do niezniesienia. Major Zajdlic i kapitan Mycieński nie stracili wszakże ducha. Ponieważ miano ich na oku, posyłali mnie lub Jagodzińskiego, a że i ja też na Dunaj do Kilińskiego dostać się nie mogłem ani do Morawskiego rzeźnika, który mu pomagał, posyłałszy Jutę, po całych często dniach prawie bez spoczynku, bez jadła biegającą to na Pragę, to po różnych miastach zakątkach. Co biedne dziewczę wycierpieć musiało przez to, ona tylko wiedziała! Nie poskarżyła się wszakże nigdy a często, gdy ledwie przysiadłszy i nie mając czasu spocząć musiała biedz znowu, błada i zmęczona słowem się nawet nie odezwała. Matka patrzyła jęj w oczy z połtowaniem, otarła łzę i milczała także.

Mieliśmy już i komunikacye z Kościuszką i Krakowem i z Litwą, gdzie się Jasiński gotował, i z wojskiem stojącym na Ukrainie i z Wołyniem a w Warszawie wszyscy z sobą staliśmy w porozumieniu a Moskałe albo się nie domyślali nie lub bardzo mało. — Działo się to wszystko pod ich oczyma, które Pan Bóg zaslepił. Nie rozumieli nas, nie mogli nie odkryć, a szczęściem nie było zdrajcy naówczas między nami.

Duchowieństwo po klasztorach także było bardzo patryotyczne i pomocne; u nich najpewniejszy był skład broni, przechowanie ludzi, a gdy posłańców nie stawało, można było na śmiało braciśzkowi w ucho szepnąć, aby szedł tam a tam, sprawił się zawsze jak najlepiej.

Na zamku wcale nie było po dawnemu... Spojrzawszy nawet od ulicy, poznać mogliśmy łatwo, jak tam królowi ciasno było. Tych tłumów dworaków jak dawniej, tego ścisłu, karet, tego napływu cudzoziemców wcale nie było widać co dawniej. Służba zmniejszona, reprezentacya skromniejsza, mała garsć kręciła się jeszcze tylko około Poniatowskiego, który całe znaczenie stracił. Moskałe oddawali mu honory jako głowie koronowanej, ale Igelström obchodził się z nim jak z niewoźnikiem... Ani bałów, ani asambłów... ani obiadów licznych na zamku. Otaczała króla familja, prymas, który znowu był tu wy-

rocznią, pani Krakowska, wojewodzina lubelska, Mniszchowie, pani Grabowska, ekspodkomorzy, Tysszkiewiczze... Prymas, pani Krakowska i Grabowska jak byli zawsze tak teraz jeszcze bardziej trzymali się Rosyi i ambasadora. Pilnowano króla, straszając go jakobinami, ażeby z tego kółka nie wyszedł. Dnie i nocy narzekano na Potockich, na sejm czteroletni i wszystko złe jemu przypisywano.

Więcej pobłażania było dla konfederacyi targowickiej; o téj tylko po cichu, w malém kółku rozprowadano sobie, jak dokazywała przez krótki czas życia swojego. Oczy i serca stąd skierowane były na Petersburg. Spodziewano się pokorą i uniżonością przebłagać carową — gdy powstanie krakowskie wybuchło. Dla króla i rodziny był to cios nowy — znaleźli się między młotem a kowadłem. Największy wstręt miano do rewolucyi, a z drugiej strony Moskal stawał się najnieznośniejszym, wymagającym, despotycznym — król nie chciał się ani jednej ani drugiej narazić stronie i męczył się okrutnie. Ożarowski i Zabiełło przychodzili doń nie już z rozkazami od Igelströma, ale tylko z wiadomością, co zostało nakazane... Król się godził na wszystko.

Wygrana pod Racławicami wszakże dała mu do myślenia: — A nuż rewolucya zwycięży? rewolucya, jakobiny, teroryści, demagogi.

Nie, przypuszczano wszakże w zamku, aby potęga Rosyi mogła być złamaną, a w odwodzie byli też Prusacy. To uspokajało.

Gdy tak z jednej strony świat urzędowy łudził się nie czując, co miał pod stopami, w mieście organizowało się na dobre powstanie.

Przez Cichowskiego wiedzieliśmy na pewno, że w czasie nabożeństwa wielkopiątkowego miano zająć arsenał a dla odciągnięcia ludu pożary wzniecić umyślnie. — Ośm przeszło tysięcy wojska mający Igelström i dobrych generałów nie wątpił, iż, choćby do starcia przyszło, zwycięży i steroryzuje Warszawę.

Nam więc trzeba się było spieszyć, aby go uprzedzić.

Szpiegów było pełno, ale ci patrzyli i nie widzieli nic lub to, co wagi rzeczywistej nie miało; nasi scho-

dzili się w arsenale, na ratuszu, po gospodach, w izbach koszar... radzili, rozsyłali rozkazy, posły latali, Pan Bóg im oczy pozamykał.

W istocie, gdy sobie teraz przypomnę tę chwilę, wybuch poprzedzającą, nie mogę pojąć, jak się stać mogło, że nas zawczasu nie pobrano, że do ostatniej godziny Igelström nie wiedział nic... Mimo ostrożności ludzie się prawie jawnie umawiali, co robić mieli; noszono w fartuchach skałki i ładunki, po warsztatach nie było roboty, na każdy odgłos dzwonu zrywali się ludzie, niepokój malował się na twarzach.

Żołnierze moskiewscy w wielu domach stali kwaterą, ocierali się niemal o spiskowych... nie domyślali się nic.

Być bardzo może, iż wielki tydzień, nabożeństwo, przygotowywanie się do świąt, zwykle czyniące zamęt w życiu powszedniem, przyczyniały się do tego.

W wielki wtorek już ani Kiliński ani Morawski nie pokazywali się na ulicach... w koszarach naszych przygotowywano wszystko. Najczynniejszy był kapitan Myciński, bo i sam sobą i groszem robił, co mógł. Haumanowi pułkownikowi, który wywiezionego szefa Działyńskiego zastępował, nie wypadało się mieszać aż do ostatniej chwili, bo był zbyt na oku.

Gdym tego dnia przyszedł do domu, żeby dziadka Mańkiewicza pożegnać, bo chciałem mu oznajmić, że się muszę do koszar przenieść, zastałem oboje starszków bardzo skonsternowanych. Szambuś im placu dotrzymywał.

Po twarzach znać było, że się oboje Mańkiewiczowie albo domyślali lub wiedzieli coś, o czym ja im mówić nie mogłem. Gdym wszedł, stary mnie przywitał kwaśno.

— Co bo waszeci już ani widać! zawołał — co się z tobą dzieje?

— Ale służba — rzekłem — służba...

— Gdzie? co? służba! gadaj temu, co nie nie rozumie... w wielkim tygodniu! jaka służba?

Popatrzyli na mnie, zmięszany byłem.

— Ale słowo daję dziadusiowi, że — służba, odpowiedziałem, jużżeby z dobrej woli nie latał...

Szambuś na mnie spojrział uważnie, skorzystałem z tego przemówienia, aby przy téj zręczności oznajmić, że dom będę musiał opuścić.

— Tak pilna u nas teraz służba i mustra, rzekłem, że nawet przyszedłem się oznajmić, iż na kilka dni muszę się przenieść do koszar. Mam rozkaz od kapitana Mycielskiego...

Wszyscy się na siebie popatrzyli znacząco i umilkli... Szambuś chrząknął.

Mańkiewicz, chociażem się spodziewał sprzeciwienia z jego strony, nie powiedział nic...

Zamilkłem i ja... Nie śmieli mnie znać pytać a odpowiadaćbym też nie mógł... Po chwili Mańkiewicz, odprawivszy chłopaka na miasto i opatrzywszy drzwi, powrócił.

— No — gadaj, co się święci? w mieście wre? wy cóż gotujecie? tu nie ma co się wyklamywać... ja stary i kaleka, lichu mi jeszcze nadało stanąć tak niedaleko od kwatery pośła... może być nieszczęście przy jakim zamęcie... Co robić! Czy w istocie poszaleliście i zamierzacie co?

— Ja o niczem nie wiem — rzekłem, jestem młody, spełniam rozkazy, a reszta do mnie nie należy...

— Ale oczy masz! cóż się tam gotuje? zawołał stary, Moskali z jakie dziesięć tysięcy w mieście, naszych nie ma i dwóch a to połowa na Pradze, artyleryi nie ma... ładu też pewnie... z czémże się tu porywać? z motyką na słońce?

Znałem Mańkiewicza, że był patryotą najgorliwszym, ale też tchórzem znakomitym... ruszyłem ramionami i nie odpowiedziałem nic...

— Gadajże, czarno czy białe! zawołał stary... cóż boisz się mnie czy co?

— Spodziewam się, że mnie też pan Syruc się nie boi? uśmiechając się rzekł Szambelan...

— Musiałbym powtórzyć tylko to, com mówił — odpowiedziałem z wolna — nie nie wiem. Po mieście jednak mówią wszyscy i to żadnym sekretem nie jest, że Moskałe w wielki piątek rzucić się mają na domy, miasto podpalić, arsenał opanować i rzeź sprawić!

— Ale, gdzie zaś! ofuknął dziad.

— Tak mówią, powtórzyłem — nie bardzo w to wierzę... Powiadają, że na domach znaki kredą porobione poznajdowano... Gdyby w tém co było prawdy, czyż mamy dać się jak barany w pień wyrznąć nawet nie broniąc...?

— To są brednie — przerwał Mańkiewicz.

Zamilkliśmy.

— Wpadłem w matnię, dodał namyśliwszy się, z Warszawy wyjeżdżać za późno... będzie rzeź, to dostanę po gardle a uchowaj Boże awantury... także nie lepszy koniec.

— Mój jegomość, odezwała się spokojniej pani Mańkiewiczowa, choć to babskie zdanie, możecie go posłuchać. Gdzie się ratować można, dobrze się zakłopotać, a jak nie ma ratunku, co najlepsza? Zdać się na wolą Bożą i siedzieć. Jam się już wypowiedała, jegomość też, sumienie mamy czyste... niech się dzieje, co da Opatrzność.

— Ale zapewne, — potwierdził głowę skłaniając Mańkiewicz — ale zapewne... jednakże... wpadłem w matnię... Na oczy mnie Beckler nie wykurował, a gardło dla nich przyjdzie dać...

— Juścić nas w pień wszystkich nie wyrzną — dodał szambuś. Są strychy i piwnice... są schówki... jak już wielka bieda będzie... to do nory...

Wstałem, ażeby starych pożegnać, szczerze mi ich żal było, Mańkiewicz podniósł się, objął mnie za szyję i błogosławiąc po cichu rozplakał się.

— Ty także, nieboraku, szepnął, pewnie w kącie siedzieć nie będziesz... niechże cię Chrystus Pan od nieszczęścia strzeże... in nomine patris et filii. Wstrzymywać cię od zapłacenia świętego długu ojczynic — nie będę... ale szanuj się.

Wszystko to w ucho mi kładł po cichu, zbliżyła się staruszka ze łzami w oczach także, ale mężniejsza.

— Nie rozmazujcie się, rzekła, co Bóg da, to da. Polakowi w ogień iść to zwyczajna rzecz... Dziadowie i pradziadowie wasi nie inaczej ginęli. Naliczyłabym moich kilka pokoleń z rzędu, z których ani jeden na łóżku nie umarł, wszyscy na placu... I toć piękniejsza śmierć nad inną. Co Bóg da, to da!

Szambuś wstał i zbliżył się téż do mnie.

— Kawalerze kochany, odezwał się, ja, tak dyskursywe, na przypadek dla informacji powiem ci, — nie żebym się do czego chciał mieszać... ale... wierzaj mi tak... dyskursywe tylko... powiem ci... że... tego (tu się pochylił do ucha mego) w kamienicy ambasadora tylne wyjście trzeba mieć... na oku... hm!

To powiedziawszy, odskoczył, zbliżył się do mnie znowu i tak samo mi szepnął.

— Szanuję kościół, ale z Kapucynami porozumieć się — hm! — bo to naprzeciw Igelströma — punkt — wielkiej importancyi — hm... Tak, dyskursywe.

Odprowadzany aż do drzwi poszedłem. Ledwie do koszar dobiegł, zawołano mnie do kapitana Mycielskiego. Między innemi wyznaczony zostałem w środę do zajęcia stanowiska właśnie około Kapucynów, naprzeciwko pałacu, w którym stał Igelström, niedaleko od mieszkania dziadka, mając polecenie śledzenia, kto będzie wchodził i wychodził i gdzie posłańców wyprawią. Było nas dokoła rozstawionych tak kilkunastu, ale po cywilnemu, bez mundurów.

Szambuś doskonale odgadł, bo już naówczas do wiedziałem się, że nazajutrz rano rozpocząć się miało od napadu na tę główną kwatere.

Wprzód jeszcze, nim zająłem mój post w izdebce u szewca, z której okna doskonale bramę i furtkę widzieć mogłem, musiałem pobiedz z kartką do Juty.

Było tylko co z południa, gdyś do nich zapukał. Sama mi otworzyła. Warstat pustoszał, czeladzi nie było nikogo, w trzeciej izbie właśnie Wawerska zastała była obiad, gdyś się zjawił.

Juta była blada... oczy się jój tylko paliły, a miała oczy dziwne, bo się w nich barwa mieniała. Bywały szare, niebieskie a czasem ciemno-szafirowe, bledły i ciemniały, gdy się uspokoiła lub rozgorączkowała i jak twarz jój stawiała się białą albo karmazynową od zapływającego rumieńca, tak te źrenice wielkie, czyste... mieniały się cudownie. — Popatrzyłem na nią, była zmęczona widocznie, — niespokojna, ręce jój drżały a wzrok pałał... Zaryglowałem drzwi

i przeszedłem z nią do matki. . . . Stara milcząc jadła rosół a dla córki talerza nawet nie było. . . .

— A pani nie jesz? spytałem.

Była już śmielszą ze mną.

— Nie mogę — rzekła, zmęczona jestem okrutnie, nogi pod sobą ledwie czuję, głodna jestem a do ust nic wziąć nie mogę. Im bliżej ta godzina wielka, stanowcza, tém niespokojniejszą jestem. Mój Boże wielki — dodała łamiąc ręce — azali się nam téż uda biednym — azali się uda! Moskałe gotowi, wierzcie mi — może nawet co wiedzą. — Chodząc tyle, patrzyłam baczenie, wielka pilność u nich. A! Boże, czy téż się nam uda!

I padła na krzesło, zakrywając oczy.

— Wszystko w mocy Bożej — szepnąłem wzruszonym się czując jak ona — w takich sprawach nie ma podobno człowieka, któryby wyrachować potrafił, jak się powiedzie. Najmniejsza rzecz może dopomódz, najnniej znacząca na pozór przeszkodzić... ja mam dobrą nadzieję.

Juta miała oczy łez pełne.. matka, popatrzywszy na nią, rzekła:

— Ale zjedzże co ciepłego... ta to powietrze jakby stworzone, żeby febry dawało... choć łyżkę...

Ona już chustkę narzucała chcąc iść.

— A pan? odezwała się — pan pewnie głodnym jesteś i więcej potrzebujesz niż ja posiłku i siły.

— Ja jadłem — rzekłem dziękując i potrząsając głową...

Matka podsunęła jój talerz, wzięła łyżkę przcz posłuszeństwo, poniosła ją do ust i położyła.

— Nie mogę — szepnęła — nie mogę — prędjéj suchego chleba kawałek... Muszę iść na Dunaj... gdy wrócę, matusia mi zrobi kawy... bo ta sen odbiera, a ja nie chcę i nie mogę spać... W téj chwili zasnąć... tegobym sobie nie darowała...

Przyznając się bez wstydu, że w szalonej dziewczynce téj zakochałem się już naówczas, a pewny jestem, że każdy młody człowiek, coby na mojem miejscu był, tak samoby głowę stracił. Lecz im mi ją mocniéj zawracała, tém więcej się starałem ukryć z

tém, co się ze mną działo. Za nic w świecie bym się z tém nie wydał, udawałem najobojętniejszego...

Już miała wychodzić, a ja, pożegnawszy się z matką, szedłem téż do progu, gdy zwróciła się do mnie z poufałością niewinną siostry...

— Gdzie pan będziesz stał? zapytała...

— Kazano mi przy Miodowej być na czatach aż do — chwili...

— W ulicy?

— Nie — rzekłem, mam tam na dzień kątek u szewca i okno... podle Kapucynów...

— No — odezwała się, stojąc w progu i podając mi rękę — Bóg wie, czy się na tym świecie jeszcze spotkamy i zobaczymy, Bóg wie, co mnie i co was czeka... pracowaliśmy razem dla jednej sprawy... bywaj mi zdrów, dobry towarzysz...

Uśmiechnęła się smutnie. W uniesieniu porwałem jej rękę i z zbytnią może gorączką począłem ją całować, aż mi ją wyrwać musiała i zarumieniła się. Nie rzekliśmy już ani słowa, bo pobięła piorunem pędząc po wschodach, a ja wlokłem się jak sparaliżowany. — Na duszy dziwnie, strasznie, smutno mi było...

W kilka dni tych przywiązałem się do niej, po bratersku prawda, ale tak, że mi się zdało, iż nigdy już obcemi sobie pozostać nie możemy. Uczucie jedno związało nas, zbliżyło... spoufaliło tak prędko, tak mocno, żem teraz myśląc, iż może już nie zobaczę jej nigdy, kamień miał na sercu. — Poszedłem na stanowisko.

Izdebka była brudna, wyziewem skór i smoły przesiąknięta, ciasna, okno zasmolone... słowem stanowisko wcale nie miłe. W pierwszej izbie majstrowa Tomiłowa z trojgiem małych dzieci, jedno u piersi, drugie w kolebce, trzecie raczkujące po podłodze. Jeżeli jedno przypadkiem usypiało, drugie zaczynało krzyczeć, jeżeli dwoje się uspokoiło, płakało trzecie. Biedna kobieta ze swém — luli, luli i wzdychaniem do Boga o ratunek i fukaniem i pieszczotami czyniła mi wrażenie prawdziwej męczennicy. Miałem już ochotę najstarszego potomka Tomiłów na kolana wziąć i spra-

wieć mu — jedzie pan na koniku!!.. ależ od szyby nie wolno mi było odstąpić...

Przed nią brama domu Igelströma była jak na dłoni...

Ile razy się otworzyła w dziedzińcu, mogłem dostrzedz stojący batalion piechoty pod bronią... Ruch był ogromny... konni kozacy co chwila przybiegali i odjeżdżali. Kilku generałów przybyło na narady..

W oknach pierwszego piętra przesuwaly się mundry i gęsto snuły najrozmaitsze postacie.

Kareta hetmana Ożarowskiego przybyła także i stanęła... za nią przyjechał Zabiełło, potem Ankwicz.. potem generał adjutant od króla...

Narady trwały długo.. wysłano parole na miasto... Znowu kozak pobiegł konno ulicą Miodową ku Sto-Jerskiej...

Zaczynało zmierzchać, gdy pierwszój izby drzwi się otworzyły, ktoś wszedł... Poszeptano cicho... patrząc, w progu stoi Kiliński. Choć wcale gorąco nie było, pot ocierał z czoła... podał mi rękę...

— Coś te.... przewąchały! szepnął — prawda.. jak w ulu pszczoły brzęczą... Nie widziałeś, kto to z naszych panów był? zapytał.

Powiedziałem mu imiona tych, których znałem, głową potrząsł. — E! było ich tam pewnie więcej.. a dobrzeby spisać, aby jegomościów do porachunku pociągnąć... hm!!.

Popatrzał tedy sam przez szybę, długo...

— Mój poruczniku — rzekł — mnie się zdaje, że wybyście gdzieindziej byli zdatniejsi niż tu. Wieczór nadechodzi... tu nie ma już co robić...

— Ale kazano... odparłem...

— Zluzują was pewnie...

Zgadł pan majster, gdyż w samćj istocie przysłano mi wieczorem rozkaz stawić się do koszar...

Wolniej odetchnąłem odebrawszy go, bo mi tu beczynnemu było i nudno i wstyd siedzieć z załozonemi rękami... W ulicach patrole kozackie latały, tak że z wielką trudnością przyszło mi się przedrzeć nie zaczepionemu przez nie, bo po drodze zatrzymywały i badały niemal każdego. Już pod koszarami

znalazłem rosyjskich żołnierzy, jakby rozproszonych umyślnie, aby przystępu do nich bronili... Nasi oficerowie warty też rozstawili, żeby się do koszar nie dać zbliżać nikomu i szpiegować. Gdym nareszcie wpadł tu rozradowany i szczęśliwy, znalazłem wszystko w poruszeniu i spieszném przygotowywaniu... Ale musieliśmy cicho to robić, aby nie zaalarmować nieprzyjaciela przedwcześnie...

Było nas razem wszystkich nie więcej nad czterechset kilkudziesięciu ludzi; mieliśmy cztery armatki trzynfuntowe, ale bez koni...

W salach, gdzie byli żołnierze, skupiało się wszystko około oficerów... Zapal był ogromny, prości ludzie przysięgali głośno, że padną trupem wprzód, niżeli sobie broń wydrzcć dadzą. Zapowiedziano im bowiem, że Moskale rozbrajać mieli... W mieście cichuténko jeszcze było... U nas o północy też uspokoiło się nieco, bo godziny stanowczo oznaczonej nie było i mogło jeszcze co przeszkodzić; musieliśmy sygnału czekać, gdy we dzwony uderzą...

Godziny się wlokły powoli... była czwarta z rana, gdyśmy naprzód usłyszeli od strony Saskiego ogrodu i Żelaznej bramy wystrzał z dział.

Równemi nogami porwali się tedy wszyscy, poznawszy, że już się poczyną... Konie pod działka, amunicją, kasę mieliśmy wprawdzie napatrzona i zamówiona, lecz trzeba je było dopiero ściągnąć. Pułkownik Haumann, kapitan Mycielski, major Zajdlie stali już w pogotowiu... żołnierz się rwał...

— Do broni! rozlegało się po koszarach...

Była krótka chwila zamętu, ale ta nie trwała, żołnierze biegli i stawali ochotnie w szeregach.

Wykomenderowano oddział, aby co najbliższe warty moskiewskie zdejmował. A tuż... nigdy większego w życiu nie doznałem wrażenia, wszystkie dzwony w mieście uderzyły na gwałt. U Dominikanów, Paulinów, Bernardynów, u św. Krzyża... zaczęto bić... zrazu w największe, potem we wszystkie.

Ledwie na dzień się brało... ciemno dokoła... po pierwszym wystrzale cisza, potem daleki, głuchy

tentent i krzyki stłumione i wyżej wszystkiego głos dzwonów.

Rozeznac było można prawie, że nie na modlitwę wołają te dzwony, że nie jęczą żałością grobową, że to jeszcze nie tryumf głoszą, ale budzą do broni.... Zrazu zwolna, nieśmiało dzwięczały, potem rozkołysały się, rozpędziły, coraz żywiej, goręcej, jakby czuły, co czynią... jednym jękiem nieustannym krzyczeć się zdawały — Do broni! do broni!

Zdała budziło się miasto całe... a raczej zbudzone i oczekujące wstało w mgnieniu oka. W nas już kipiała krew.... Strzały rozlegały się zdała i znów głos potężny dzwonów... i huk, którego już rozeznac nie było podobna.

O brzasku wybiegliśmy z koszar w porządku.... Podporucznik Sypniewski, mężny żołnierz, szedł przodem w awangardzie, co mógł zdążyć. Zdawało się nam, żeśmy się opóźnili na głos tych poświęconych dzwonów, że nam na wstyd dragoni mirowscy i gwardya wyprzedzić musiała. Tak doszliśmy do ulicy Ujazdowskiej.... O brzasku rannym z boku postrzegł Sypniewski o kilkaset kroków tylko kolumnę moskiewską z ośmiu armatami. A że ta dała nam przejść nie zaczepiając a nam też zbyt pilno było do miasta, żebyśmy tu z nią walkę rozpoczynać mieli.

Wbiegliśmy tak na Nowy Świat.... Kamienice pozamykane, ulice puste, w oknach rzadko gdzie gło-wa, dzień się robi... ze dzwonnice gwałt a w mieście już słyszymy strzały i krzyki i szum.... Biją się.

Spieszymy. — Oko w oko znowu spotykamy się z uszykowanym szwadronem jazdy moskiewskiej pułkownika Baura, który znać rozkazów nie mając, puszczają nas dalej. Minawszy szwadron... napadamy na tłum ludu naszego, ale bezbronny. Rzemieślnicza czeladź, słudzy, mieszczenie... z gołemi rękami.

Sypniewski woła... — Lećcie do koszar naszych, znajdziecie broń, a prędzej!... i w mgnieniu oka ta fala ludu uliczkami się rozplywa ku koszarom. Myśmy tak spokojnie dobili się aż do ulicy Śto. Krzyżkiej.

Tu już trzeba było stanąć. Naprzeciw nam skierowane były dwa działa i pułk moskiewski przeciął

ulicę, zajmując całą od pałacu Branickiego do kościoła ks. Dominikanów Obserwantów.

Polożenie nasze było wcale nie mile, z tyłu za sobą pozostawiliśmy nieprzyjaciela a tuśmy go mieli przed nami... Trzeba było próbować fortem jeśli nie siłą... Huk w mieście rozżarzał nas, odbijał się nam w piersi jak gdyby napróżny jęk i wołanie:

— Przybывajcie na pomoc.

Pułkownik Haumann wysłał naprzód adjutanta Lipnickiego na zwiady, jakąśmy siłę przeciwko sobie mieli. Dowiedzieliśmy się przez niego, iż ludzi około pięciuset w czworobok ustawionych z ośmiu działami pod komendą generała Miłasiewicza i księcia Gagaryna zapierali nam drogę.

Haumann wyprawił majora Gresena z żądaniem, aby nas do zamku przepuszczono... ale wnet rozeszła się wieść, że posła naszego aresztowano...

Sypniewski tymczasem ciasną uliczką ś. Krzyżką posunął się nieostrożnie, chcąc bok nieprzyjacielowi zająć i dom, w którym była apteka Misyonarzy. Zmuszony był jednak cofnąć się, gdyż groziło niebezpieczeństwo w zbyt ciasnym przejściu i podoficera jednego ubito... z najlepszych naszych strzelców.

Mycielski z jedną dywizją i jedną armatą wysłany został ulicą Warecką dla obrony od napaści z tyłu... Stałiśmy jak na mękach... nie wiedząc, co począć, gdy — z nakazu czy z niecierpliwości z jednego naszego działa dano ognia...

Ledwie się dym rozszedł, gdy Moskałe w odpowiedzi kartaczowym ogniem sypnęli... a żeśmy stałi bardzo blisko, ranili i zabili nam wielu, popłoch się wszczął, ale też wołanie — Na miłość ojczyzny naprzód! na działa! na działa!...

Adjutant Lipnicki i chorąży Urbanowski na bagnety prowadzili wprost zebranych ludzi naszych, bo prędko oprzytomnieli, lecz w chwili, gdy już miało przyjść do walki wątpliwój bardzo, Urbanowskiemu myśl przyszła doskonała, zsiadł z konia, cofnął się i wprost na wrota klasztoru Dominikańskiego wpadłszy wylamał je, prowadząc za sobą ludzi.

Czyby mu do końca stało téj myśli dobrój, nie

wiem, możeby był z podwórca się bronil — lecz tuż w białym habicie, z twarzą rozognioną, schwycił go za rękę stojący braciszek.

— Na miłość Boga! na wieżę! na wieżę za mną! na wieżę!

Sam skoczył przodem pochwyciwszy karabin, Urbanowski téż, żołnierze ilu ich było. . .

Choraży znalazłszy się na drugiem piętrze i opatrzywszy okna, w mgnieniu oka strzelców rozstawił.

— Ognia! rzekł, — ale tylko do artylerzystów co przy działach!

Strzelcy byli, co do jaskólek mogli w lot kulami palić, jak wzięli na cel. . . posypali się artylerzyści. Kule padały jakby z nieba i odpowiedzieć na nie sposobu nie było. . . Popłoch się stał w szeregach wielki.

Sypniewski skorzystawszy z tego, pod ogniem nieprzyjaciela rzucił się na bramę pałacu Braniciego ze swemi strzelcami i tu z za murów téż jął razić w odkrytém miejscu stojących żołnierzy Miłasiewicza. Szło to tak szczęśliwie, że duch wstąpił w nas, uporządkowaliśmy się jak należy, jedno działo ustawiono w rogu ulicy ś. Krzyżkiej, drugie zaprowadzono na Sułkowskie. . .

Przy pierwszém z tych dział obsługa była jeszcze jakakolwiek, bo kapitan Mycielski wcześniej artylerzystów pozbierał, ale na Sułkowskiém można powiedzieć, że Pan Bóg strzelał nie ludzie. . . Było około działa dwóch doboszów, którzy tyle tylko, że kiedyś widzieli, jak strzelano i nabijano, i że czterech chłopców wyrostków po lat czternaście pod komendą doboszów, amatorów z pozakasywanemi rękawami, jeden od szewca, drugi od stolarza, inny od ślusarza. Ci wśród ognia, kul. . . trupów śmiejąc się i wykrzykując, choć jeden z nich padł, heroicznie się popisywali, aż dusza rosła.

Mnie, choć kule świstały koło uszów a jedna ładownicy pas przecięła, dotąd się nic nie stało. Z razu przyznam się, pierwszy w życiu wytrzymując ogień, po kartaczowym wystrzale poczułem rozróż w kościach; ale gdy się walka zawzięła na dobre, wszelka myśl o sobie, o niebezpieczeństwie pierzchnęła. . . gorączka

opanowała. Zapomniało się, że można być zabitym, pamiętało, że bić i zwyciężyć potrzeba.

Nadzwyczajna przytomność umysłu i mężstwo naszych oficerów ciągnęło, można powiedzieć, za sobą... Kapitan Zabilski z porucznikiem Witkowskim rwali się naprzód i trzymali ludzi, nie dając się im rozsypać; dawano ognia i wytrzymywano ogień dzielnie a tymczasem idąc za przykładem Sypniewskiego, major Zajdlie z Monkeynem z jedną armatą i małym oddziałem wparł się do palacu ordynackiego, przeszedł go i atakował z boku... a potem zajął miejsce pod kościołem Wizytek; Kowalski tak samo przysunął się do palacu Karasia, Woliński zaś poparł Urbanowskiego i strzały się sypały jak grad... ze wszech stron...

Już tylko kiedy niekiedy ucho chwyciło głos dzwońów wśród huku dział i ręcznej strzelby...

Wzięty ze wszech stron pułk Milasiewicza nie mógł wytrzymać na takim stanowisku, chociaż bronił się dzielnie do ostatka... Dwa działa, od których kanonierów odbito, zostały na placu, — zmieszany czworobok w poplochu cofać się zaczął. Widząc to Urbanowski i Woliński, zbiegli zaraz, aby pochwycić działa... i od dziedzince palacu Malachowskiego uciekającym zaparli drogę... Ze wszystkich stron objęty nieprzyjaciół zwinął się i uchodzić zaczął w największym nieładzie ku saskiej kuźni...

Ludzie nasi poszli w pogoń i rozpiechli się także; zwycięstwo było przy nas, ale należało być ostrożnymi... gdyż nie z jednym tym oddziałem mogliśmy nieść do czynienia. Nie wiedzieliśmy, co się stało z pozostawionymi w tyle. Uderzono więc na apel, do porządku...

Część naszych ludzi zgromadziwszy Zajdlie i Woliński, przez dziedziniec saskiego palacu i z bramy, na końską targowicę idącej, drugi kolo saskiej rajszuli na końskim targu jeszcze napastowali pierchających... którzy rozsypali się, przez dziedziniec i podwórce domów uchodząc... Nabito ludzi dużo... ale i naszych a najmniejszych padło wielu...

Milasiewicza rannego zabrano do niewoli, a ks. Gagaryn padł broniąc się mężnie na placu... Dzień

już był — widok tych trupów leżących po ulicach, téj krwi czarnej na bruku kałużami stojącej, gdym ochłonął, przejął mnie jakimś bólem na chwilę, lecz zapal był taki, że ogarniał i w szal wprawiał... Tak dawno nasz żołnierz nie kosztował zwycięstwa, tylu upokorzeń i znęcań mścić się byliśmy zmuszeni...

Wśród nocy mniej może wrażenia czyniła bitwa, ale w biały dzień przerażającą się stała.

W całym mieście wrzało... strzały i krzyki i wrzaski i jęki mieszały się w powietrzu, dym kłębamii unosił się po ulicach... dzwony biły ciągle...

Stanęliśmy tak na krakowskim przedmieściu... mimowoli spojrzałem ku zamkowi... cicho było kolo niego, bramy zamknięte, okna pozapuszczane — jak w pustce... Gdyśmy się zebrali... znowu pod strzaśkaną chorągwią, bo nam ją kartacz nieprzyjacielski zdruzgotał, mnie z kapitanem Zabilskim i Huhnem, z chorągłym Urbanowskim wysłano przez ulice Piwną na Podwale dla atakowania z tyłu domu Igelströma...

Stanęliśmy tedy do szturmu, bo istotnie był jak forteca ze wszech stron obwarowany i ludźmi najdzielniejszymi osadzony... Chcieliśmy bramę wysadzić... gdy sypnęli na nas ogniem, przypuściwszy do niej, tak gęstym, iż w pierwszej chwili, nie spodziewając się go, żołnierz prawie się strwożył... Spostrzegłem obok mnie padającego kaprała Kocierzyńskiego, któremu krew buchnęła z boku, i w chwili, gdym się do niego schylał, poczułem jakby uklucie w ręce a potem ciepło w rękawie i — bezwładna dłoń mi opadła...

Byłem ranny... Nie chciałem dla tego rzucić towarzyszków moich i brałem się do obwiązania ręki, gdy mnie Skąlecki żołnierz oburącz porwawszy na bok odsadził.

Cofaliśmy się téż wszyscy, bo wprost na bramę napadać nie było sposobu; postanowiono zająć sąsiednie domy... i z nich zdobywać kwaterę Igelströma...

Było dobrze z południa... Czas ten tak nam przeszedł, iż się jedną wydawał godziną. Nie wiedzieliśmy dobrze, co się w innych stronach miasta działo, lecz sama walka tak długa oznajmywała nam zwycięstwo. Nie ustawała ona ani na chwilę, owszem sta-

wała się zażartszą coraz, zajadlejszą... a miasto przedstawiało obraz, który ktokolwiek widział w życiu, do zgonu go nie zapomni. Wściekłość ludu, rozpacz dzika żołnierzy moskiewskich, którzy nie mogąc się obronić napadali na domy, rabowali, pili i pijani dawali się zabijać i wieszać... rozruch i wrzawa straszna, nie wrzawa bitwy, ale coś okropniejszego nad nią — zamęt szalony szturmem zdobytego grodu... stanowiły obraz przerażający...

Gdy mnie od domu Igelströma odcignął żołnierz tracącego przytomność ze znużenia i upływu krwi, nim omdlałem, spostrzegłem jeszcze Kilińskiego na czele ogromnej gromady dziwnie uzbrojonych ludzi, która z zimną krwią na pałac ambasadora się posuwała.

Prowadził on nie wojsko i nie żołnierza, ale coś daleko straszniejszego nadeń — tłum, tłum pijany zwycięstwem, zemstą, zdumiony szczęściem a mimo to dziwnie poważny i posłuszny. Patrzeli na wodza i szli za nim jak dzieci. Poobnażane piersi, na których widać było szkaplerze i medaliki, u niektórych różańce w ręku przy rękojeściach pałaszów, chłopcy bosi, inni zaledwie w koszulach i spodniach okrwawionych i podartych, broń począwszy od topora do szyny rozpalonej na kuźni, młoty, piły a obok karabiny stare... ciężkie jakieś z arsenału pochwycone gardłacze. Między starcami dzieci, wyrostki, kobiety... żydzi nawet, studenci, księża, wszystko to pomieszane, zbite a złane w jedno ciało, które tylko taka rozpacz wiekowa mogła na chwilę skojarzyć.

Obraz ten ostatni przedstawił mi się przed zamgłonemi oczyma; wkrótce potem widziałem tylko jakby szary obłok, przez który błęde przesuwaly się cienie, a potem ciemność, wśród której przelatowały błyskawice a w uszach brzmiały mi dzwony i huk dział i jęki konających.

Gdym oczy otworzył, była noc... znajdowałem się w izbie ciemnej, z boku bladym światłem płonął kaganek na przymurku... nad głowami wisiało ciemne sklepienie... dokoła poczułem narzuconą słomę a obok usłyszałem jęk cichy. Nie byłem sam, leżało

nas kilku na podłodze. W izbie panowała głucha cisza, przerywana to stękaniami obok leżących ludzi, to w dali wrzaskiem i strzałami.

Widocznie walka nie skończyła się jeszcze. Chwyliłem się za rękę, w której czułem ból, była naprędcie obwiązana... krew sączyła się przez chusty.... Ze drzwi otwartych do drugiej izby płynęło pasem jasnym żywsze światło... i ucho wsłuchawszy się pochwyciło kilka głosów stłumionych, które się naradzać żywo zdawały.... Zwróciłem oczy ku drzwiom tym ciekawie.

W téjże chwili prawie wchodziło trzech ludzi, bernardyński braciszek niosący bieliznę i kilka flaszek, ksiądz staruszek, przygarbiony, i człowieczek chudy, w którym poznałem dawniej widzianego w mieście felczera Mutiga.... Zobaczywszy ich podniosłem się na rękę.

— Co się tam dzieje w mieście? na miłość Boga! — zapytałem.

Braciszek przyłożył rękę do oczów, patrząc, zkąd głos pochodził, a Mutig, poznawszy mnie znać po mowie, zawołał:

— Pan Syruc! a! i pan tu!

— Opatrz mi rękę na miłość Bożą, powtórzyłem, bo ja tu leżeć nie będę... i idę.

— Dokąd idę? co za idę? ofuknął stary Bernardyn.... Ledwie tu waszmości przynieśli a już ci pilno nazad? Dziękuj panu Bogu, żeś gdzieś pod płotem ducha nie wyzionął.

Mutig przestępując przez rannych, którzy też poczynali głośniej jęczeć, przyszedł do mnie.... Ksiądz świecił. Podnieśli mi rękę... wisiała jak bezwładna. Kula nadwreżywszy kości nielitościwie poszarpała więzi i mięśnie... krwi upłynęło dużo... rana była szkaradna. Felczer głową kiwał i mruczał.

— Co się dzieje w mieście? pytałem natarczywie. Staruszek poklepał mnie po ramieniu.

— Jeszcze się bijemy, rzekł — ale dzięki Bogu nie ma wątpliwości, że zwyciężym. — Igelström zabiera się do ucieczki, miasto w rękach naszych, kilka tysięcy

trupa w ulicach, kilka tysięcy więźniów pod strażą mieszczan.

— A król? zapytałem.

— Neutralnie się zachował na zamku! rozśmiał się Bernardyn, — ale przebył chwilę nie wesołą... Patrzaliśmy na to, jak mu gwardye z zamku uciekały do miasta, jak wybiegł, żeby je zatrzymać, i jak go Leszczyński potracił uchodząc... a powiedział mu, słyszę, chcącemu zatrzymać, że ojczyzna go woła a na głos jej głuchym być nie może.

— Więc zwyciężyliśmy! zawołałem radośnie.

— Tak! tak! potwierdził stary, byle tylko Prusacy nam się do Warszawy nie wpakowali. Odpoczywaj i bądź spokojny!

Mutig tymczasem rękę mi krajał i zszywał i obchodził się z nią po barbarzyńsku, ale taką radość miałem w duszy, żem prawie bólu tego nie czuł. — Chociaż od wyjścia z koszar nic w ustach nie miałem, siłą jakąś dziwną trzymałem się nie wiedząc o głodzie.

Na myśl mi przyszli Mańkiewiczze a zaraz po nich Juta, co też z niemi, co się z nią działo? Trudno mi było spoczywać tu w refektarzu bernardyńskim, mając gdzieindziej schronienie.

— Mój ojcze, odezwałem się do starego, macie i będziecie tu mieli kogo pielęgnować; ja, dzięki Bogu, mam krewnych niedaleko i schronienie, po co drugim potrzebne zajmować miejsce, puśćcie mnie...

— Dokąd? zapytał stary.

— Na Miodową ulicę, odpowiedziałem.

— A no tam jeszcze się Moskale bronią i przez strzały a ogień przejść nie można.

— Nie, rzekł Mutig, — na tyłach sam ogień... zdaje się, że już Igelströma wykurzyli i walka koło pałacu Rząptej.

— Gdyby mi kto iść dopomógł, odezwałem się.

— Leżałbyś, gagatku! burknął stary Bernardyn, — jeszcze ci nianki trzeba i betów... a nie łaska z drugimi na słomie obok tych, co jak ty za ojczyznę krew lali!

Zawstydzilem się, ale surowy ton starego trochę mnie zabolął, poczuł to znać i zaraz złagodniał.

— No, no, rzekł, — bądźno cierpliwym, zrobi się wszystko powoli. Tu pierwsza rzecz, jak najwięcej ludzi uratować, nie ma czasu pieścić.

Musiałem milczeć. W czasie opatrywania namęczył mnie felczer, ale koniec końcem ręka ściśnięta jakoś zdała mi się więcej moją — czucie wracało. Postanowiłem spróbować choć podźwignąć się z postania i dokazałem tego. Nogi mi się chwiały, ale stałem. Spojrzałem po sobie. Wyglądałem okropnie. Mundur był poszarpany, odarty, zbłocony, postrzelany... miejscami wisały z niego powyrywane kawały... zimno mi chodziło po kościach.

— Mój ojcie, odezwałem się opierając na pałaszu, który przy sobie znalazłem, — mój ojcie, od czwartej z rana w ustach nic nie miałem...

Bernardyn zamruczał coś.

— Cóż ja ci dam, moje dziecko? zapytał patrząc na felczera, nie zaszkodzi kieliszek wina...

— I kawałek chleba, dodał felczer, — żołnierzowi nie zaszkodzi, bo o rosółach nie ma mowy. Drugi dzień już jak pewnie w całej Warszawie żadna gospodyni nie zastawiła nic w kuchni, chyba Tremo dla króla jegomości.

— Tego pani generałowa musiała chyba jak dzieciątko łyżeczką karmić, rzekł Bernardyn, boby w rękę ję sam nie utrzymał, takiego mu strachu napędzili... A miał gości do licha, bo cobyło w mieście zdrajców, wszystko pod jego skrzydła tulić się poszło. Ożarówski, Ankwicz, Moszyński, Zabiełło, Kossakowski, Maśalski... wszyscy tam siedzą... dobrze, że ich wiadomo gdzie szukać.

Postawiwszy światło ksiądz poszedł po wino i chleb; siadłem na znalezionym stołku... Nadszedł posiłek a nawet talerz rosółu z przeszłych dni znać zachowanego...

Jak mi się to wydało po długim głodzie — opisać tego nie potrafię; nigdy w życiu żadne jadlo i napój nie zdał mi się tak smacznym, tak nadzwyczajnie wonnym i doskonałym. Czulem, jak mi krew żywiej po żyłach obiegać zaczęła, jak wstępowała siła we mnie... Mógłbym już śmiało iść. Wstałem, aby sta-

ruszkowi podziękować ucałowawszy jego rękę. Śmiał się z radości...

— Do prawdy się ty wybierasz? zapytał...

— Nic mi nie brak, tylko ręka boli, a wyleżeć bym nie mógł, odpowiedziałem — pójdę.

Mileząc zrobił mi krzyżyk nad głową i przeprowadził stoczek zapaliwszy do furty...

Miało się na dzień... godzina była ranna, ale miasto jeszcze się ruszało całe i strzały słychać było w dali. Tu około Bernardynów i zamku wydało mi się pusto. Na zamku w dwóch oknach blade za firankami widać było światelko... Łuna jakby od przysgasającego pożaru roztaczała się po nad Miodową i Sto-Jurską. Niekiedy wśród niej błyskało żywioł i głuchy grzmot się rozlegał a po nim jakby okrzyk tłumy... to strzały ręcznej broni sypnęły gradem i umilkły... Chmura dymu czarnego, rozkładająca się szeroko jak ciężki całun, purpurą podszyty rozciągała się po nad miastem. Opierając się na szabli szedłem zwolna dalej, dążąc ku Miodowej... Zbliżając się ku niej... zacząłem spotykać trupy. Leżały kupami czarnemi, tylko woskowe ich twarze z dala jak blade płamy świeciły. Żołnierze ruscy, chłopcy i czeladź rzemieślnicza, kobiety w odartych sukniach leżały razem... Gdzieś w rynsztoku zaparła się krew czarna i stała gęsną, okryta pianą...

W niektórych kamienicach okna były powylamywane, okiennice wisiały na hakach, bramy strzaskane zwały się na bruk... Widocznie przeszli tędy Moskale i zostawili po sobie pustkę... przed jednym z domostw wytoczone i rozbite beczki, z których wylała się wódka, czuć było spirytusem, na ziemi pomięszanym z błotem i krwią...

U sklepu jednego stał trup, który go chciał znać bronić, kula utkwiała mu w czole, osunął się tylko i, rękami kostniejącemi za drzwi chwyciwszy, tak stęzał. Widok był straszny, krwawy, bolesny... odwracałem oczy, lecz gdzieś je obrócił, spotykałem ciała ludzi a wiele z nich już były do naga odarte... Na latarni jednej wisiał trup i chwiał się z wiatrem a żelazo pi-

szczało pod nim... Zwolna ciemność ustępowała brza-skowi dnia...!

Doszedłem do pałacu Igelströma... znalazłem go w gruzach, paliły się resztki. Kupa ludzi stała dokoła, inni coś dobywali ze zgliszców, naprzeciw kościoł Kapucynów otworem był a na wschodach usłany trupami Moskali...

Wszędzie mury czerniały tkwiącemi w nich kulami, kawałami poosypywały się z nich tynki, okna były potrzaskane, drzazgi drzewa zalegały bruk, przez który dla trupa przejść było trudno... Swął spalenizny dusił w powietrzu, czarne płachty popalonych papierów wiatr niósł od domu Igelströma i zaścielał niemi drogę... Jęki dziwne dobywały się z piwnic pod domami.

W domku szewca, gdzie miałem niedawno schronienie, na progu leżała matka cisnąc zabite dziecko do piersi, drugiego trup tulił się do niej... ściany kawał leżał obalony na chodniku...

Ze ściśniętém sercem spieszyłem do domu Karasia do Mańkiewiczów... tém więcj strwożony, że właśnie przy Miodowej dla sąsiedztwa ambasadora szkody były największe.

Już zdala zobaczywszy bramę zabarykadowaną, odetchnąłem lżej. Przednia ściana postrzelana była, okna potłuczone, lecz wnijsicie zostało zaparte... Żelazne okiennice na dole nietknięte były także... Mało miałem nadziei dostania się do kamienicy, jednakże sparłszy się o mur stukać począłem. Nawykł był stary stróż nieraz mnie poznawać po pukaniu masonińkiem, któremu go był nauczył. — Bezmyślnie powtórzyłem je kilka razy, znajdując, że wołanie późnómby było. W bramie zakratowane i z wewnątrz zasuwane było okienko... odsunięto je...

— Kto tam? spytał stary Filip.

— Ja! odrzekłem słabym głosem — Czy życie? nie się wam nie stało...

Zamiast odpowiedzi furka się otworzyła, Filip mnie wpuścił nie mówiąc słowa i natychmiast zarygłował.

W mroku dojrzał ręki na temblaku i rozpłakał się. . . .

— A Mańkiewiczze? spytałem.

— Pan Bóg nas ocalił! szepnął Filip, ale ino On, bo na tyłach byli Moskale i rabowali i trzech ludzi ubili a jedną kobietę cięli szablą . . . ale czasu nie było się tu dostać.

Uściskawszy stróża, skierowałem się do drzwi dziadka.

Nie zapomnę téż i tego widoku nigdy, jaki mnie uderzył, gdym wpuszczony do mieszkania wszedł do pokoju dziada. . . . Stary leżał na łóżku ze złożonemi rękami, w których trzymał różaniec. . . . Znać gotował się lada chwila na śmierć, bo krzyż miał na piersiach i w rękach medalik. . . . Nieco opodał z gromnicą w rękę żółtą, obwiązaną wstążką pasową, klęczała spokojnie staruszka Mańkiewiczowa u krzeselka, na którym rozłożona była gruba księga, i odmawiała głosem niewzruszonym litaniją do patrona dobrej śmierci, św. Józefa.

Gdy drzwi po cichu otwały się i stanąłem w progu, Mańkiewiczowa zwróciła oczy, postrzegła mnie, lecz nie przerwała modlitwy. . . . Stałem, odmawiał ją aż do antyfony, staruszek cicho powtarzał — Módl się za nami!

Dopiero po skończonej litanii wstała, opierając się ręką o ziemię staruszka i zawołała:

— Bądź Jezu pochwalony! Syruć żyje! Dzia-
dek, który sądząc, że chłopiec był wszedł, głowy nie podnosił i nie widział mnie, powycił się na postaniu i krzyknął:

— Syruć, dziecko moje! żyjesz!

Szedłem całować ich ręce, dopiero zobaczyli rękę na temblaku okrwawioną i poszarpany mundur na mnie. . . .

— Ranny nieboraczysko! zawołała staruszka, ręka . . . cóż? strzaskana. . . .

— Dziękujmy Bogu, że żyjemy! odrzekłem, straszne przebyliśmy godziny.

— Moje dziecko, odparł stary spokojniejszym niż dawniej głosem, — nie to było tobie bić się i broniąc

narażać, ale nam tu bezbronnym tyle godzin niechybnej śmierci czekać i słyszeć ją chodzącą w koło... wdzierającą się do domu, dobijającą do drzwi, szturmującą do okiennic, oddalającą się na chwilę i powracającą znowu... i czekać i modlić się — i ocalić cudem...

Głosu mu nie stało... odetchnął i mówił dalej:

— Któż wie? powrócą może jeszcze a naówczas zemsta ich nie poszanuje nikogo...

Strzały, dające się słyszeć w oddaleniu, tym słowom starego Mańkiewicza nadawały pewne prawdopodobieństwo.

— Wypędzeni z miasta połączą się z Prusakami, uderzą na nie... wyróżną nas w pień... to niechybna! dodał staruszek.

— Nie, rzekłem, nie ma się co obawiać, większa część Moskali w niewoli, do trzech tysięcy leży trupem w ulicach. Nie z wojskiem jednem mieli do czynienia ale z narodem; nie działa ich pokonały, ale tłumy... tłumy bohaterskie.

Stary pokiwał głową a był szlachcic z kośćciami.

— No, no, rzekł cicho. Kiedy też już do tego przyszło, że szewcy ojczyznę zbawiają — koniec świata.

Mimowolnie musiałem się uśmiechnąć. Był już dobry dzień i przez szczeliny okiennic wciskalo się blade światło poranka, ale z obawy napaści nie śmiano otwierać — i siedzieliśmy przy gromnicy.

Zacząłem opowiadać, co wiedziałem, na com patrzeć i jakieśmy się bili. To staruszka odżywiło, duch w niego wstąpił, wstał z łóżka i począł chodzić. Mańkiewiczowa gotowała kawę. W miescie jakoś się po troszę uspokajało, strzałów przynajmniej nie było już słyhać i rzadko tylko przeciągająca kupa ludzi z pobojowiska okrzykiem przerwała ciszę.

Filip wysłany na zwiady w kilka godzin oznajmił, że w miescie było wszystko skończone, tylko się brano do porządku, bo dla trupów i gruzów przejść ni przejechać nie było można. Otwarto więc choć jedną boczną okiennicę, żeby gromnicę zagasić. Starzy poszli spoczywać i ja z pomocą Filipa wdrapałem się do mojej izdebki na górę, gdzie padłszy na postanie kamiennym snem zasnąłem aż do ranka w niedzielę.

Nie mogłem jeszcze podnieść się z łóżka i wynieść, chociaż najgoręcej pragnąłem zobaczyć miasto „wolne“, jak je w odczwie swój nazwał Zakrzewski... miasto dla nas nowe, bośmy go nie znali my młodzi tak swobodnym, jak teraz było. W pierwszych chwilach rozgorączkowany więcej miałem sił, teraz mnie one opuszcily. Przywołany doktor nakazał spoczynek, a rękę też źle na razie opatrzoną i obandażowaną należało jeszcze raz krajać i zszywać, co mnie zmęczyło i osłabiło... Z pomocą Filipa raz na dzień miałem pozwolenie powoli zniść do Mańkiewicza i tam parę godzin posiedzieć.

Tu teraz przy najpatryotyczniejszym usposobieniu wszystkie plotki z całego miasta się zbiegały. — Szambuś, który na strychu w jednym z domów przy ulicy Długiej, koło komina się tuląc, rewolucyą szczęśliwie przesiedział, — powrócił do dawnych obowiązków, skromniej tylko ubrany, gdyż całą jego garderoba, rzeczy i — jak mówił — precyzoza padły ofiarą nienasyconej chciwości nieprzyjaciela. Okazało się później z jego własnych wyznań, iż drogocenne owe klejnoty szambelana składały się z piętnastu łokci galona złotego, który miał kiedyś przedryzłować, ze srebrnej tabakierki i sprzężek od trzewików wysadzanych czeskiemi kamieniami.

Ale — co dłań daleko było dotkliwszemu, stracił nieborak suknie i peruki, tak że mu jedna tylko i to najstarsza, którą na głowie miał, ocalała. Bolał też bardzo nad stratą pończoch jedwabnych, acz wychodzonych u dołu ale w górze prezentujących się bardzo świeżo.

Szambuś już znowu wiedział wszystko... ściszał się z Wysogotą Zakrzewskim, odwiedzał Mokronoskiego, miał szczęście rozmawiać z bohaterem Kilińskim, z d'Aloem i Wulfersem... On pierwszy doniósł nam, że Kossakowskiego, Ożarowskiego, Ankwicza, Tomatysa, Boskampa i wielu innych aresztowano i osadzono w arsenale i na ratuszu...

W zamku popłoch być miał niesłychany, bo kilku z nich z pod boku królowi wzięto... Poniatowski zaklinał się, że już trzymał z narodem... patryotyzm

po zwycięztwie rósł ogromnie... wszyscy starali się donieść, że jeszcze 16 kwietnia a właściwie 22 marca patriotami byli i nie czekali ani Kościuszki, ani Kiłińskiego, aby się przejąć tém uczuciem...

O Moskałach mówiono, że się około Magnuszowa pod jenerałem Nowickim gromadzili...

Mańkiewicz się rozplakał dowiedziawszy o rewolucyi w Wilnie, wzięciu Arsenijewa i powieszeniu hetmana.

Ta wiadomość na zamku była ciosem okropnym — haniebna śmierć, rewolucyjny sąd doraźny przeraziły króla a więcéj jeszcze uwiezionych jego przyjaciół... Przychodzące wiadomości z Paryża o konwencyi i jej czynach trwożę tu zwiększały. Grano patryotyzm i popularność na zamku, ale po twarzach zasepionych znać było wstręt i przerażenie...

Dopiero dnia 29 kwietnia na uroczyste nabożeństwo, które się w kolegiacie u św. Jana odprawiać miało, doktor mi pójść pozwolił. Pierwszy raz wyjrzałem na ulicę.

Warszawa dziwnie była zmienioną... Powozów prawie widać nie było w ulicach oprócz karety Prymasa i prezydenta Zakrzewskiego. Mundury, strażę zbrojne mieszczańskie, swobodnie kołyszący się tłum panował na nich.

Słyszałem zaraz wyszedłszy rozlegającą się, powtarzaną wszędzie pieśń ochotników krakowskich, którą niemal całe miasto nuciło. Jeszcze mi kilka strof w pamięci się błąka:

Pókiż damy się ciemieżyć?

Daléj bracia do oreża!

Kto chce umrzeć lub zwyciężyć,

Ten zawsze prawie zwycięża!

To była ostatnia strofa — ale mnie w nią to wtrącone dla miary — prawie jak dysharmonijna nuta raziło...

Była tam inna zwrotka jeszcze, która mi także w pamięci utkwiała:

Roztropne Moderatory!

Sąryte stronniki północy!

Któreż wam odkryły dwory,

Że nam nikt nie da pomocy...

Panującym w ulicach żywiołem był, jak już mówiłem, mieszczanin i wojskowy, z wyższego towarzystwa mało kogo było można spotkać. Gdzie niegdzie przez ciekawość pokazywano się z okien dla bezpieczeństwa w kolorach narodowych, biało z karmazynowym.

Tego dnia tłum był niezwykajny, bo i pora piękna służyła i nabożeństwo za poległych do kolegiaty ciągnęło... a kto chciał patryotą się okazać, musiał tam być. Ponieważ w pierwszych dniach wszyscy byli orderzy pozrzucali, a król to wziął za oznakę jakobinizmu i żądał, aby tytuły i krzyże i gwiazdy powkładano, poubierali się wszyscy po dawnemu.

Kościół św. Jana cały wysłany był czarno... Mojé ręce na temblaku winien tylko byłem, żem się do niego docisnął. W pośrodku znajdował się piękny katarfalk laurowemi wiencami obwieszony z napisami:

„Nie zapominajcie dobrodziejstwa, albowiem dali za was duszę swoją.“

„Pamiętka ich będzie w błogosławieństwie a kości ich zakwitną z miejsca swego.“

„Woleli raczéj pocziwie umrzeć aniżeli jarzmo dźwigać i nie przystojne rodowi swemu krzywdy cierpieć.“

„Dusze i ciało nasze wydaliśmy za prawa ojczyste, wzywając Boga, aby co najrychlej narodowi naszemu miłościwym był.“

Wśród zawieszonych pośrodku wienców laurowych inne jeszcze czytano napisy: — „Zeszli z żywota, ale wszemu Narodowi pamiętkę śmierci swéj na przykład cnoty i mężstwa zostawiwszy.“

Sam Prymas, którego najmocniej posądzano o sprzyjanie Moskwie a nawet o konszachty potajemne z Prusakami, odprawiał nabożeństwo uroczyste. Znany z wymowy i patryotyzmu ks. Witoszyński miał ogniste kazanie. — Król był obecnym i na widoku...

Witoszyński wśród mowy swéj nie wahał się zwrócić do króla, aby go niejako wciągnąć w sprawę narodu... I tak jak owego pamiętnego dnia 3 maja 1792 roku odezwał się król w kościele św. Krzyża, tak i tu odpowiedział Witoszyńskiemu...

— Twoje serce zacne, N. Panie, rzekł Bernardyn — nie opuścisz ludu.

Na co król z tronu — Tak, nie opuszczę, z ludem mym chcę żyć, z ludem moim umierać!

Szmer poszedł po kościele, ale czy tak bardzo wierzone w te słowa, trudno przypuścić. Zmieniał król tylekroć przekonania, że się już obróconej chorągiewce nigdy dziwić nie było można.

I tego dnia i następnych król począł pokazywać się na ulicach, dosyć sympatycznie witany, ale mimo to z niedowierzaniem patrzeli drudzy na te przejażdżki, gdyż były wieści nie płonne, że chciał się z objąć Jakobinów wydobyć, a Warszawa obawiała się, aby, gdy ją opuści, na łup i zemstę wydaną nie została. Pilnowano więc króla niezmiernie, a nieszczenie sami widzialną i niewidzialną straż sprawowali.

Z kościoła wyszedłszy, gdy się tłum na różne strony rozplwał — tknęło mnie pójść się do Juty dowiedzieć. Na prawdę nie miałem do tych odwiedzin żadnego prawa, ale mi głęboko w sercu pamięć po niej została a nie wiedziałem, jak wyszła z tych krwawych dni, w których łatwo narażając się paść mogła ofiarą.

Zawahałem się nieco zrazu ale tłumacząc się sam przed sobą, żeć przecie kryminału nie popełnię, odwiedzając ją — poszedłem.

Na Starém mieście zwłaszcza koło ratusza bardzo było tłumno i gwarno, przecisnąłem się jakoś, patrząc w okna kamienicy, ale w nich nic widać nie było.

Na wschodach téż cisza ... zbliżyłem się do drzwi i zapukałem nie śmiało.

Czekałem dosyć długo, dopóki znajomy mi chód starój Wawerskiej nie dał się słyszeć... Spojrzała przez okienko i krzyknęła. Otworzyły się zaraz drzwi, lepszą mnie powitała twarzą, niżlim się spodziewałem.

— A to, chwału Bogu, żyjesz waćpan, rzekła bez ogródki — a nam tu mówili, żeś na Miodowej około domu Igelströma padł.

Dopiero zobaczyła rękę na temblaku i moją twarz wybladłą, skinęła głową — Ciężko ranny.

Poszliśmy razem do trzeciej izby, czeladzi nie było żywej duszy. Tu Jutta siedziała w oknie, a gdym

wszedł, zarumieniła się i podbiegła ku mnie, podając obie ręce.

— A toś żyw! dzięki Opatrzności! zawołała... myśmy was opłakali.

Jeszcze w jej oku stała łezka, której się powstydzwszy prędko ją otarła fartuszkciem.

— A jam się o was troszczył, rzekłem, boście się narażali, a nie każdemu Bóg dał wyjść cało z tej okropnej walki.

— O! to prawda! to prawda! wzdychając przerwała Wawerska; com ja wycierpiała, Bóg mi jeden policzy. Wszakże Jutta o czwartej godzinie rano jeszcze nie była w domu... a potem, gdy wróciła, utrzymać jej nie mogłam.... Była w arsenale, kule nosiła w fartuchu! Jak Boga kocham.... Suknię ma dwa razy prze-strzeloną, cudem N. Panny, że ją kalectwo nie spotkało....

Jutta, jakby się wstydziła, zakryła twarz dłonią i patrzyła w okno, nagle odwróciła się ku mnie cała w płomieniach.

— A! kto te dni przeżył, do śmierci mu one w oczach stać będą! nie prawdaż? spytała. — Tak coś okropnego, strasznego, pięknego chyba jeszcze na świecie nie było! A! bili się nasi jak lwy! Duch jakis w nich wstąpił! Patrzyłam i płakałam.... Mój Boże! Florek od nas, czeladnik....

— Takie to rozlazłe — wtrąciła matka..

— Zakrwawiony, posiekany, parł się na mur do pałacu Igelströma jak lew... oczom nie wierzyłam... Dzieci zmieniły się w bohaterów.

Pod bramą dwunastoletni chłopak, terminator od ślusarza, ze sztabką żelazną w ręku uwijał się w moich oczach... wzrok mu się palił. Podeszedł... Syknęły kule, porwał się za pierś i padł. Poskoczyłam ku niemu, chwyciwszy głowę... obrócił ku mnie oczy, uśmiechnął się, podniósł rękę — Niech żyje wolność! wyjąknął i zszedł...

Jutta płakała, Wawerskiej łzy płynęły z oczów i mnie się na płacz zbierało.

— Toż samo, rzekłem, widziałem ja pod Dominikanami, na Sułkowskiem... to też Bóg dał zwycięstwo

Kobiety zamilkły.

Juta wyglądała uspokoiwszy się blado i mizernie, znać na nią było zmęczenie wielkie i jakby gorączkę.

— Wszystko to dobre, dodała po kilku minutach rozmowy matka — ale już dziś, gdyśmy swoje zrobili — dosyć — trzeba wrócić do roboty i do dawnego spokojnego życia... a toby człowiek się spalił tą gorączką... Słyszę, że pan Kiliński do rady i do rządu zaproszony i że ma dowodzić żołnierzami... a jabym na jego miejscu do szydła i dratwy wróciła. On tam nie poradzi nic, ani on ich ani oni jego nie rozumieją i tylko się pocziwie człowieczysko nagryzie... a z kośćciami to zagne i dobre.

— E! matusiu! odezwała się Juta, — to nie koniec, a któż będzie wały sypał! a któż na zamku straż utrzyma, żeby król nie uciekł? Żołnierzy mało... to nasza sprawa...

— Tylko nie twoja, przerwała matka, nam babom garnków pilnować.

Juta się rozśmiała ruszając ramionami i spojrzała na mnie. Trzymałem w nią oczy wlepione, oderwać ich nie mogąc.

— A! mój poruczniku, rzekła, ja teraz rozumiem, jak to nałogu nabrać można i dla czego Jukowski stary, choć mu doktorowie śmiercią grożą, do szynku ciągnie. Wszak to mnie tak samo w ulicę rwie i do téj bieganiny, do której przez kilka tygodni nawykłam. Czegoś mi brak... radabym znowu kule nosić i przekradać się i oszukiwać Moskali, których chwala Bogu nie ma... i ot, czegoś mi nudno...

Matka się namarszczyła.

— Nie plotłabyś dziwolągów! rzekła chmurno, — jeszcze czego, dobrze, że się to raz skończyło... dzień w dzień ze strachu o ciebie marłam, przynajmniej odechnę wolniej.

Nie wypadało mi zbytecznie odwiedzin przeciągać, choć grzeczniejsi byli dla mnie niż, się spodziewałem, osobliwie Juta. Parę razy pochwyciłem jęć wzrok na moję choręj ręce spoczywający.

— Kto pana opatruje? spytała, gdym się już miał żegnać.

— Mam tam felczera, rzekłem.

— Musi być nie bardzo mądry, dodała, bo pan strasznie mizernie wyglądasz... a mężczyzna, jeśli ma żyć, trzeba by, siłę miał, bo bić się musi...

— Ja też spodziewam się wkrótce do szeregów powrócić, rzekłem z uśmiechem, ręką będę władał, byle wydobrzała. Była wprawdzie wątpliwość, czy władzy nie stracę, coby mnie kaleką uczyniło, ale z tego strachu wyszedłem....

Począłem się żegnać, stara miała coś do czynienia i zaraz odeszła. Jutta weselsza odprowadziła mnie do drzwi.

— Bardzo mi was żal było, rzekła już dochodząc do drzwi, gdy nam powiedziano, żeście zabici. Wiercie mi, zapłakałam. Tak to się łatwo poprzyjaźnić i nawyknąć można, a potem zdaje się, że się już człowiek i nie obędzie bez przyjaciela.

— A! jakżeś mnie panna Jutta... uszczęśliwiła, — odpowiedziałem całując ją w rękę, tem dobrem nazwiskiem przyjaciela. Zapłaciłaś mi za ranę.

— Za ranę? podchwyciła, — a nie! ojczyzna zapłaci za krew i ranę, a ja płacę wam za to, żeś nie był płochym, żeś mnie poszanować umiał i że mi bzdurstw nie powiedział jak drudzy, w które nie wierzę!

Zaczerwiniłem się mocno i pożegnaliśmy się jak brat i siostra. Drzwi się zamknęły.

Dom Mańkiewiczów, w którym mnie moja rana trzymała jeszcze, stał się teraz prawdziwem zbiorowiskiem nowin. Stary siedział, przyjmował, puszczał się w polityczne i strategiczne konjunktury, a tu mu ludzie kosztami i worami przynosili nie stworzone baśnie.

Pızıznaję się, że mnie ta paplanina próżna ludzi, co sami nie robili nic a ostro sądzili o tych, którzy się do czegokolwiek brali — niezmiernie męczyła. Siedziałem milczący. Mańkiewicz pono mi to za złe miał. — Uważałem, że niezmiernie pilną uwagę zwracano na króla. W istocie, mimo oświadczeń jego patryotycznych, mimo ofiar sreber i kosztowności na potrzeby ojczyzny, mimo odezw głośniejszych — nie można było wątpić, iż rewolucyi coraz groźniejsze przybierającej rozmiary sprzyjać nie mógł. Pomimo utrzymy-

wanego porządku i jakiej takiej subordynacji lud i mieszczaństwo brało górę... pomiędzy szlachtą i panami w najbliższem otoczeniu króla wytykano jawnych zdrajców a papiery po Igelströmie dowiodły ich własnymi podpisami, iż brali pensye od Rosyi.

Sam król z sześciu tysięcy dukatów, z których kwitował, tłumaczyć się musiał. Mieszczanie, którzy do zamku chodzili na straż codzien i siedzieli w pokojach królewskich, pełniąc niby urząd czasowych szambelanów, pomimo respektu dla N. Pana... nie dowierzali mu wcale. Nocami rozstawiali się i nie sypiali.

Wiedzano z największą pewnością, że familia króla przestraszona oskarżeniami, jakie wywołały rejestra Igelströma, chciała koniecznie wyrwać go z rąk rewolucyi. Przygotowywano do tego lud w ten sposób, że król się codzien przejeżdżał dalej... i chciał oswoić z tém Warszawian a jednego dnia puścić się za Wisłę i oddać w ręce oddziałowi Moskali czy Prusaków....

Prymas szczególnie miał się zajmować całym tym planem i sam także podobno uciec zamierzał. Jak się o tém dowiedziano, trudno zbadać. Być może, iż między służbą królewską na zamku byli donosiciele. — Dosyć, że na ratusz przynoszono coraz to nowe przestrogi... a Rada tam zasiadająca odpychać ich nie mogła.

Nierazem to rozważał z ludzkich opowiadań, wiedząc o losach króla Poniatowskiego, iż nieszczęśliwszego człowieka na świecie nadeń pono nie było.

Pozornie miał wszystko, co do szczęścia potrzebne, a w istocie panowanie jego było długim męczeństwem. Męczyli go swoi, obcy, przyjaciele, familia... Ci, dla których był najlepszym, jak hetman wielki, jak Szczyński; wywdzięczyli mu się w sposób najokrutniejszy, Rosya, której sprzyjał, poniewierała nim, ambasadorowie karmili upokorzeniami... a jeśli kiedy był w położeniu strasznem, to przez czas rewolucyi 1794. Każdy hałas w ulicy zdawał się ostatnią zwiastować godzinę... Od porwania przez konfederatów król ciągle mówił, iż czuje, że nie umrze naturalną śmiercią, że go los Karola czeka... Nigdy ta fałszywa prze-

powiednia prawdopodobniejszą się nie zdała jak naówczas.

Ze wszystkich swych nieprzyjaciół król najbardziej się musiał obawiać tych, którym się naraził. Nigdy nie lubił Kołłątaja a od Targowicy zupełnie z nim zerwał, nie chciał żadnych zachować stosunków. Teraz zwrot wypadków dawał mu w ręce wpływ i potęgę... a król drżał, ażeby jój na zemstę nie użył...

W pierwszych dniach maja rozpoczęło się już coraz z większym napływem osób wszystkich stanów sypanie wałów dokoła miasta... Rząd zachęcał ku temu, lud miał ochotę, a płosi ludzie jak ze wszystkichiego zrobili sobie z tego patryotyczną zabawkę. Był to w istocie piękny obraz... gdyby dziś zdala widziany prawie smutnym się nie wydawał... Co żyło w mieście a nawet i wyższe klasy, pociągnięte nowością i rozgrzane patryotyzmem, płynęło z rydlami, łopatami, taczkami na cały dzień do sypania wałów: kobiety, wyrostki, dzieci, księża, mieszczenie, panowie, nawet dygnitarze rzeczypospolitej.

Pospolicie zbierały się całe takie bandy z muzyką, na wozach jechały łopaty, baryłki z winem, piwo, żywność, łakocie, bo się bez uczutowania nie obyło, i przy odgłosie patryotycznych piosenek orszaki strojne ciągnęły — na okopy, kobiety miały ubiory właściwe, króciuchne, kapelusze słomiane, wesołość panowała jak największa, śmiechy i koncepta... ale roboty wiele nie było. — Pół dnia odpoczywano, kilka godzin posilano się i taniec na murawie nie był bezprzykładowy.

To tylko było pięknem w tych pochodach, że tu nigdy jeszcze nie widziana panowała harmonia i piękne panie stawały do łopat obok obdartusów a senatorowie wraz z rzeźnikami. — Że się tam potem wieczorami śmiano u senatorów z panów mieszczań a u mieszczań z panów i ich kragów, to bardzo być może, ale na okopach przyjaźń była jak najczulsza...

Z dostatnich baryłek poili panowie biedaków, a za to choć potem nie bardzo rydlem wiele dokazali, nikt im nic nie mówił.

Nie było zdaje mi się naówczas zdrowego człowieka w Warszawie, żeby na okopach nie był. A kto

nie kopał, szedł czy jechał się przypatrywać. Ci, co pracowali czasem, do gawroniących odzywali się z zaprosinami... naówczas radzi nie radzi szli spektatorowie do taczek na chwilę. W tém wszystkiém więcej było fantazyi i śmiechu niż roboty — za to prawdziwych robotników dzień i noc pod ścisłym dozorem, płatnych — nie brakło...

Król nawet parę razy jeździł do okopów także i, chcąc dać dowód patryotyzmu, taczkę piasku zatoczył... Dawano mu — bravo! jak w teatrze... Gdy jechał na spacer... wszakże, choćby na te okopy, z dala nań nagładano... Zawsze tkwila ta myśl we wszystkich, że król chce uciec i że naówczas Moskwa opamięta miasto i obróci w kupę popiołów... Nie można powiedzieć, żeby rozumowanie to całkiem nie logiczném było...

Zdaje mi się, że dnia 8 maja, na sam św. Stanisław i mnie wzięła fantazyja, choć jeszcze z ręką na temblaku pójść na okopy. Nie będę się z tém tail, że pobudką dla mnie było wyszpiegowanie, iż Jutę u matki się wyprosiła pójść z rydelkiem także. Wzięła ona z sobą dwie koleżanki i poleciały... Bardzom chciał ją zobaczyć, pobiegłem téż... Wybrała się nie rano, bo matka z razu nie pozwalała; ja téż, dopiero później dowiedziawszy się przez czeladnika, któremu w ulicy spotkał, poszedłem. Jutę była na Pradze... Ledwie się przerwał przez most i wyszukał to miejsce, gdzie stała, aby jęć pomódz... ledwie ją miał czas pozdrowić — slyszemy od mostu na Pradze i od miasta... jakby alarm... Patrzymy, tłumy się zbierają... związają, lecą... wrzask, zamęt... słowem, nie ma wątpliwości, coś się stało...

Spojrzałem na Jutę, stała jak w ogniu, rzuciła rydel, oczy wlepiła w drugi brzeg, drżała cała...

— Chodźmy, rzekłem, podając jęć zdrową rękę — zobaczymy, co to jest...

— Chodźmy! krzyknęła... ale nie przyjmując ręki i z wzrokiem zapalonym puściła się jak strzała ku miastu... tak że zaledwie mogłem za nią nadążyć — tchu mi brakło...

Na Pragskim moście przecisnąć się było trudno...
Pytamy, co jest.

— Król chciał uciec...

Drudzy wołają — Zdrajcy z więzień się chcieli wybić! Zdrajców trzeba wywieszać... Śmierć zdrajcom!! Ludowi i ojczyźnie sprawiedliwości! Krzyki te głużyły nas... Jutta biegła blada, anim mógł ją powstrzymać...

Już za mostem spostrzegliśmy zawrócony orszak królewski, majestatycznie powoli zdążający ku zamkowi. Król niezmiernie blady, uśmiechając się niezręcznie kłaniał się na wszystkie strony. Lud krzychał — Wiwat król! ale więcej wołało — Śmierć zdrajcom! a że i króla naówczas nie za lepszego miano, można sobie wystawić, jakie na nim okrzyki te mogły czynić wrażenie...

Nie ma nic strasniejszego nad lud choćby najszlachetniejszy i najpocziwszemu uczuciem roznamiętniony. Namiętność jednego jest bezpamiętną i dziką; cóż, gdy tysiące łańcuchem się jednym spoją i w piers każdego wleje się spotęgowana namiętność tysiąca! Naówczas nie lud to ale morze, którego fale biją o brzegi niepowstrzymane, niszcząc, co spotkają w biegu. Takim był tłum dnia tego. Jedni króla pozdrawiali, drudzy podchodzili pod konie prawie z odgrózkami. Pokazywano pięści, król się kłaniał.

— Niech żyje król! krzyczeli dworscy.

— Tak! niech żyje, lecz niech nie ucieka!!

Jak pogrzeb zwolna ciągnęła kawalkata królewska, oczyma pożerając zamek, port wybawienia.

Widzieliśmy ją zdążającą coraz pospieszniej ku bramie i wpadającą w nią nagle. Lud pozostał na placu i ulicach, mruczając, krzycząc i miotając się, raz ku zamkowi podpływając, to znowu pod ratusz na Stare miasto, gdzie prawie nieustannie zasiadała Rada.

Okrzyki jak wystrzały dobywały się z tego tłumu, na okrzyk taki odpowiadało milczenie i zdala chwytaliśmy tylko głos słaby mówcy, który stanąwszy na kamieniu, ławie lub beczce coś przemawiał do narodu i obywateli. Widocznym było przy nieustającym pod

wieczór ruchu, że przyczyną jego nie był wcale wyjazd króla, ale co innego. Z innych pobudek wyniknęło to poruszenie, bo jak sami mieszczanie opowiadali, zrodziło się daleko od zamku i mostu pragskiego i wybuchnęło w okolicach arsenału razem i kilku miejscach, zupełnie z sobą nie będących w związku.

Okazało się później, iż służący Ankwicza całej tej wrzawy i wynikłych z niej nieszczęść był przyczyną. Zamknięci w arsenale i prochowni więźniowie niepokoiли się losem swoim. Oni to wpadli na myśl ratowania się ucieczką, korzystając z wynikłego w mieście zamieszania: starano się je sztucznie wywołać.

Rozsiano tedy wieść o ucieczce króla i napadzie Prusaków na Warszawę, czém łatwo lud jeszcze wrący po ostatnich wypadkach poruszyć było można.

Ankwiczowi jednak nie udało się uciec, bo straż około więzień była pilna, a lud ciągle trapiiony myślą, że mu się zdrajcy wyrwać mogą, zwrócił się zaraz ku nim i począł wołać na nich karę i sprawiedliwość.

To więc, co oswobodzenie ich spowodzić miało, nieskończenie pogorszyło ich położenie. Tłumy skupiły się około arsenału, koło ratusza, przed zamkiem, napępiały ulice, wołając jednym głosem — Śmierć zdrajcom! śmierć zdrajcom...

Widok tego zburzonego i coraz gwałtowniej roznamiętniającego się tłumu był w istocie straszliwym... Jutta milcząca przeciskała się zrećznie, ja szedłem za nią, nie wiedząc, co zrobić z sobą, a obawiając się o nią. Nie zdawała mi się jednak wcale strwożoną, ani podzielała uczucia, które miotano tłumami, smutną była. Namarszczywszy brwi, szepnęła mi:

— Coś złego się gotuje... ktoś ten rozruch zrobił... czuć w tém rękę nieprzyjaciela...

Około ratusza spotkałem Kilińskiego, zamyślnego, zafrasowanego, który wesa kręcił, spoglądając to na lud, to na ratusz. Z jednej strony ciągnęli go, żeby lud uspokajał, mając nad nim przewagę i zaufanie u niego, z drugiej strony głos braci mówił do niego jakby jego własnym... Nie rad był folgować i on zdrajcom... Jutta przypadła doń, chwytając go za rękę... Więc jej ona miała rozwagi w tej chwili niż wszyscy.

— Panie Kiliński, zawołała doń — przemówcie i postarajcie się o uspokojenie... Na Boga! na co się to przydało... Na zdrajców sąd będzie... wszak jest wyznaczony... a bodaj go i nie było, nie mielibyśmy w oczach ludzi téj plamy, że nasza ziemia zdrajców rodzi! Mamyż się chwalić i głosić, że tylu ich między nami? inamyż się mścić?

Kiliński spojrział na nią i pokiwał głową.

— A do kądzieli! mościa panno! zawołał, a do krosien, a do pończoszki! Będziesz tedy nas uczyła rozumu! Śliczne rzeczy! Co asindzka rozumiesz z wyższej polityki... Tu mospanie sęk, tu sęk... tu na naszych głowach i ramionach, mości panie, przyszłość... tu trzeba wiedzieć, czy powściągnąć czy popuścić... he!

— Nie uczcie ludu pocziwego krwi żądać! zawołała Juta... napisano jest — nie zabijaj...

— Cicho... bo jeszcze się dopytasz, że cię tu kto weźmie za Moskiewkę, rzekł Kiliński. Sądzis, mościa panno, nie zabijaj.

— Niech sędziowie sądzą nie wy... i niech kat nie wy zabija! dodała Juta...

— Dobrze, dobrze — roześmiał się Kiliński, ale czasem lud, mościa panno, musi być i sędzią i katem... nie ma na to rady... trzeba przykładu...

W téj chwili Jutę i mnie tłum odbił od Kilińskiego. Na beczce pod ratuszem stanął młody człowiek, blondyn... i głosem ochrypłym zaczął wołać o sprawiedliwość i karę na złoczyńców... Słuchano go z natężeniem, niekiedy tylko przerywając mu okrzykami, a mowa jego tłum z nowa tak rozgorączkowała, iż dobijając się zaczął do ratusza...

Na ganek z kilką słowy uspakajającemi wyszedł Zakrzewski, ukochany od ludu — ale cichą jego mowę zahuczały krzyki. Popchnięto Kilińskiego, który wcale wymownym nie był, lecz słowo z ust jego wprost szło, zrozumiałe, dostępne do serc wszystkich...

— Obywatele wolnej stolicy! zawołał — posłuchajcie mnie — sprawiedliwość będziecie nieli i to w jak najkrótszym czasie, aleście nas wybrali, ufajcież nam, spuście się na nas... a dziś idźcie spokojnie do domów...

Mówił długo i jakając się w ten sposób, ale już pod koniec mowy zagłuszać go poczęto. Zły to był znak, gdy ukochanego Kilińskiego słuchać nie chciano... Juta stała przy mnie ruszając ramionami.

— A téż to rozum, odezwiała się — porobić z nich męczenników, ażeby ohyda na nas spadła!!

Przyznaję się, że mi trudno ją było naówczas rozumieć. Ogólne usposobienie było takie, iż jój mowa dla mnie nawet wydała się dziwaczną. Przypisywałem ją tylko usposobieniu łagodniejszemu, kobiecemu...

Strapioną odprowadziłem do drzwi jój domu, poddała mi rękę widocznie zniechęcona i smutna.

— Mój miły Boże, zawołała do mnie zalawionym głosem — jabym pragnęła, aby nasza rewolucya tak była czysta, święta, niesplamiona, aby rąk sobie nie zmazala niczyją krwią... a tu źli ludzie pchną ją na takie szaly... w których już nikt nie wie, co czyni. Bić się z nieprzyjacielem... a! to cudowne, ale brudy swe po szubienicach wywieszać przed światem... Wszakże to bracia... wszak to Polacy... niechby ich wrzucili gdzieś w doły i ciemności, aby świat imienia ich nie wspomniał.

My to mieszczanie oswobodziliśmy Warszawę, ja pomściłam śmierć ojca, Kiliński stał się bohaterem... to nasza krew i nasza sława... a chcą nas pchnąć na mordy, abyśmy ją stracili — a, to okropne... Idź, poręcznik... uspokajaj — prosz... niech się rozchodzą...

Znikła mi wśród domu... nie wiedziałem, co z sobą zrobić, poszedłem prawie nie myśląc ulicami.

Chociaż wieczór nadchodził, tłumy raczej się powiększały niż rozpraszały... Wszędzie ktoś do nich przemawiał, i, o ile dosłyszeć mogłem, starał się przekonać, że rząd nie domierzy sprawiedliwości, że zdrajcy mają przyjaciół, że ich rojaliści ocala, że im ucieczkę ułatwią, że dla postrachu złych potrzebny jest przykład i że lud musi stać na straży a nie przestać domagać się kary, dopóki jój nie otrzyma. Największe zbiegowisko otaczało arsenał... nie spuszczaąc się na straże i warty, które tam stały, obawiano się, aby więźniowie nie pouciekali. Tu téż rozdrażnienie było naj-

okropniejsze, odgróźki najdziksze, ryk tego morza ludzkiego najwięcej przejmujący. -- Mając znajomych wojskowych przy warcie i sam będąc w mundurze, wszedłem wewnątrz, aby się coś o tém dowiedzieć. . .

Tu nowy mi się widok przedstawił.

Znaczna ilość więźniów wojennych rosyjskich, podobno generał Miłasiewicz i inna starszyzna pobrana w nocy 18 kwietnia, znajdowała się tu także zamkniętą. Można sobie wystawić przestrach tych ludzi słuchających zdala wrzasków zdziechałego ludu. Błede twarze wyglądały przez okna.

W chwili gdy na ulicy najzapamiętałój wykrzykiwano, ujrzałem kilku mieszczan i wojskowych, podstępujących pod okna więźniów rosyjskich, z którymi obchodzono się z największą ludzkością, można powiedzieć, z wyrachowaną grzecznością i wyrozumieniem dla ich nieszczęśliwego stanu.

— Panowie, zawołał do okien mieszczanin w imieniu tych, którzy mu towarzyszyli, przychodzininy tu umyślnie, abyśmy was uspokoili. To, co słyszycie, ta wrzawa i ta wściekłość nie się was nie tyczy. Mamy naszą domową sprawę ze zdrajcami ojczyzny do ukończenia. Biliśmy się z wami na placu, dobijając się należnej nam swobody; wyście żołnierski spełnili obowiązek, szanujemy was i nie dopuścim, aby któremu włos spadł z głowy. Całość wasza jest honorem naszym. Jesteście bezbronni. Nie mamy do was nic — nie lękajcie się i nie trwożcie.

Rosyanie powychylali się z okien słuchając, kilku podało nam ręce — scena była rozrzucająca. Jeden z nich odezwał się, że ufają honorowi Polaków. Odpowiedziano mu okrzykiem . . . i tak się skończył epizod tej nocy dla mnie pamiętny.

Pobiegłem do moich starych, aby i ich uspokoić nieco, bom czuł, że i oni strwożeni być musieli. Zastałem oprócz szambusia niejakiego Drogomirskiego, człowieka, którego zajęcia, ani stanu, ani przekonania nigdy dopytać nie mogłem. Kręcił się ciągle, bywał wszędzie, mówił wiele, dopytywał jeszcze więcej. Miałem go za wielce podejrzanego, bo się pokazywał i znikał. Umiał kilka języków, wiedział o wszystkim

i znał cały świat a z całym światem był dobrze... Uchodził za jakiegoś kupca, ale czém handlował właściwie, nigdy się z tém nie wydał. Była to figura sucha, długa w stroju niemieckim, z harcapkiem, skromnie ubrana. Mańkiewiczze zapraszali go chętnie, bo plotki im trząsały jak z rękawa.

Gdy się ukazał w progu, a cały prawie dzień mnie w domu nie było, wszyscy zarzucać zaczęli pytania.

Nie łatwo mi było odpowiadać.

Drogomirski, którego po kwietniowych dniach raz pierwszy spotykałem, począł mi rany i męstwa winzować — dziadunio dopominał się relacyi.

Uczyniłem im jak najwierniejszą z tego, com słyszał i widział.

Stary był przerażonym, w jego przekonaniu rozruch musiał być wszczęty przez nieprzyjaciela, który pewnie nocą z niego chciał korzystać i zdobyć a wyrznać Warszawę. Gdy się z tego śmiał, Mańkiewicz się pogniwał.

Zaczęto pytać, czy się lud rozchodzi.

— Ani myśli, rzekłem, mnożą się po ulicach tłumy i coraz stają groźniejsze... a gdy raz poszło przeciwko zdrajcom, a po nocy wszystkie krowy czarne, może się dostać i najniewinniejszemu.

Drogomirski zdawał się powątpiewać o prawdzie słów moich.

— Wiecie państwo co? — zawołał — szanowny młodzieniec trochę gorąco te rzeczy sądzi i widzi. Pójdę ja — nie mi się nie stanie, rozpatrzę się w położeniu i powrócę z relacją, jeśli państwo tak rychło spać nie pójdziecie.

— A ktoby tu myślał o śnie! krzyknął Mańkiewicz — piękny mi sen, kiedy pod oknami takie wyście, co do szpiku kości przechodzi. Idź waszmość i powracaj...

Szambuś został. Tysiąc epizodów dnia tego było na placu. Godzili się wszyscy na to, że całej biedy narobił służący Ankwicza, który słup alarmowy o milę od Warszawy podpalił, licząc na to, że w rozruchu

pana wybawi. On, Ożarowski i inni konie mieli w pogotowiu nie daleko od arsenału.

Siedzieliśmy tak prawie do północy, gdy Drogo-mirski powrócił — minę miał przepłoszoną i twarz bladą. Siadł, aby odetchnąć.

Nie rychłóśmy dopytali od niego wiadomości.

— W istocie, rzekł po namyśle, groźnie rzeczy stoją. Lud się tuła po ulicach, krzyczy, zbrojne bandy chodzą ... i bodaj ... bodaj — ale cóż tu już kryć .. szubienice po nocy przy pochodniach budują.

Mańkiewicz pobladł.

— Gdzie? zapytał.

— Dwie czy trzy przed ratuszem Starego miasta, — docisnąć się tam było niebezpiecznie ubranemu z niemiecka, bo tam kapoty królują — mówił Drogo-mirski. Jedna na pewno pod Bernardynami, widać ją będzie z zamku.

Na tę wiadomość zamilkli wszyscy.

Posiedziawszy jeszcze chwilę, poszedłem ja zobaczyć, co się działo. Mnie żadne nie groziło niebezpieczeństwo ...

Mundur i ręka na temblaku dostatecznie mnie broniły ...

Wiosenna owa noc, którą na wsi nieraz przepędzi-liśmy słuchając słowików i napawając się wonią lasów, w mieście przybrała charakter złowrogi. Nie była ona wcale podobną do pamiętnéj mi nocy walki, dzwonów i huku dział. Miasto na pozór było spokojne a nie spało ... z okien wyższych, ostrożnie niekiedy otwieranych, wysuwały się trwożliwie głowy, usiłujące wsłuchać się w gwar i znurtować ciemność, z której wychodził. Światła były pogaszone wszędzie ... Z szynków tylko buchały czerwone łuny, na których tle czarne jakieś zwijały się postacie groźne i do rozpoznania trudne. Niekiedy zegar miejski wybijał godziny bezlitośnie ... Zamek stał czarny — ale około niego chodziły widocznie podwojone strażę, dziedziniec był pełen gwardyi micszezańskicj. Po za grubemi zasłonami okien migały jasne pręgi ... nikt tam pewnie nie spał ...

Na Krakowskiém milcząca kupa otaczała miejsce,

w którym stawiano szubienicę... a odgłos siekiery w śród nocy, ciosającej tę bierwiona emętarnę — rozlegał się tragicznie. Kilka pochodni oświecało tę seenną pogrzebową, straszniejszą tém, — że jej wtórował śmiech niekiedy przejmujący, jakiś śmiech urągający życiu... Postawszy tu, poszedłem pod ratusz. Tu było daleko gwarniej. — We wszystkich oknach świeciło, ludzie wchodzili i wychodzili, powóz Zakrzewskiego stał zaprzężony. Zbrojne straże się mieniały. Pod bokiemy rady najwyższej tłum budował tuż, tuż trzy szubienice, z których jedna z sosnowego białego drzewa na ciemnym tle domów podnosiła się już gotowa na przyjęcie winowajcy, nawet ktoś na niej sznur powiesił, na którym nie rychło dopatrzyłem się uduszonego psa... wirującego razem ze stryczkiem... Na straży tych groźnych rusztowań leżeli, siedzieli, stali gromadami ludzie, jakich się rzadko w biały dzień widuje. Byli to widocznie pobierani ochotnicy różni, niektórzy podpojeni, twarze czarne, ogorzałe, suknie ordarte narzucone na ramiona, najwięcej koszul tylko grubych płóciennych. Niekiedy nucili piosenki, inni mruczelili coś niezrozumiałego i śmieli się wskazując ku ratuszowi.

W przedsieniu zamyślonego spotkałem Kilińskiego, który stał i jak zawsze, gdy mu eo dolegało, nieszczęśliwego węża pokręcał.

Poznał mnie mimo nocy i wziął za rękę, daleko był mniej pewien siebie niż z wieczora...

— A cóż, spytałem, nie potrafiłście ich skłonić, aby się rozeszli...

— To darmo, szepnął po cichu majster — już i Zakrzewski i Mokronoski próbował, lud musi mieć sprawiedliwość. Ale cóż waćpan chcesz, dodał — to panom dla tego, że jaśnie wielmożni, ma być wolno sprzedawać ojczyznę i ma im to uchodzić bezkarnie? Wracam z zamku — szepnął mi — chodziłem, mości panie, w delegacyi, aby Najjaśniejszego uspokoić. Nigdy go takim nie widział. — Zawsze się bywało uśmiecha i przymila, a dziś był jakby zły... tylko po swojemu i strasznie pańsko wyglądał... a słowa mu z ust płynęły bez zastanowienia i oczy miał załzawio-

ne... Bo to moiści panie, wszystko przyjaciele... najlepsza była komitywa...

— Mówiłeś z królem? zapytałem.

— A jakże! z respektem — ale jak się należy... po obywatelsku, rzekł Kiliński... Gdy namienił o zdrajcach, aż N. Pan mi — Wszyscy u was zdrajcy... nie długo i mnie powiecie, że też taki!... — I począł mnie molestować, abym wpływu mojego na lud użył i starał się go odwieść od ekscesów. Wtedy powiedziałem mu — N. Panie, zamku choćby piersiami naszymi obroniemy, aby majestat nie cierpiał, ale co się tyczy tych panów... ja tu już nie mogę nic...

Król zapłakał...

Pobłąkawszy się po mieście... i trwożliwie popatrzywszy na szubienice, do których poprzybijano nad ranem ogromne karty z napisami — Kara na zdrajców ojczyzny — powłóknę się spocząć do domu. W ulicach wprawdzie przeredziło się ludzi nieco, ale znać było, że drudzy napływają... Szubienie pilnowały straże.

Ledwie się zdrzemnął tylko, biały wczesny blask wiosennego dnia mnie obudził, dzwony się odzywały na jutrznie... ubrałem się i wyszedłem...

Ulice były pełne znowu... najgromadniej koło ratusza się cisnęli wszyscy... Gwardya miejska uzbrojona, przystrojona jak na uroczystość jaką, czekała u przedsionka...

Dowiedziałem się, że sąd się zbierał i że po areztantów miała właśnie iść gwardya... która, uszykowszy się, z dobozem, na przedzie ruszyła. Lud wszędzie się przed nią rozstapywał.

Zobaczywszy mnie w tłumie stara Wawerska, dała mi znak, ażeby do nich wszedł, kamienica bowiem tak stała, że z okien jej wszystko było widać jak najlepiej. Udałem się więc chętnie, bom też chciał Jutę zobaczyć.

Znalazłem ją w izbie, zdala od okna z czerwonymi od płaczu oczyma...

— A no — patrzże — zawołała stara Wawerska do mnie, niechże ją kto zrozumie? Jak trzeba się było bić, leciała prawie w ogień, a teraz, kiedy lud chce so-

bie sprawiedliwość uczynić, płacze i nie może na to patrzeć...

— Pani majstrowo, rzekłem — ja się temu nie dziwnię, smutny to widok... wstyd i ból...

— A! niech łotry dyndają! machając ręką, zawołała Wawerska — dość się karmelków najedli za moskiewskie pieniądze... Mam ich żałować?

Juta się nic nie odzywała... chcąc ją rozerwać, przystąpiłem do niej, ale była roztargnioną, smutną i pogrążoną w sobie.

Matka zaś siadła w oknie i tak się zajęła widokiem, który miała przed oczyma, że się od niego oderwać nie mogła... Mimowolnie wyrzywały się jej z ust wyrazy i wykrzyki...

Więźniów o zwykłej godzinie przyprowadziła gwardya na ratusz... Tu dopiero lud zaczął tak się ciśnąć i oblegać go, że, gdybym był chciał wynisnąć, nie było sposobu. Z góry patrząc widać tylko było czapki, głowy, czuby, kapelusze i ramiona tego tłoku, wśród którego ani na szpilkę miejsca nie było próżnego. Wszystkich oczy zwracały się na ratusz... milczenie panowało głucho...

Trwało to długie cztery godziny... tylko niekiedy przerywane głosy, które domagały się — kary zdrajców...

Wiedzieliśmy później, iż sąd postąpił sobie acz z pospiechem, którego wymagał lud, chcąc ocalić sądowe formy i nie dać mu sobie samemu domierzać sprawiedliwości — ale z zupełną pewnością winy... ferując dekreta... Papiery znalezione u Igelströma świadczyły, że brali pieniądze i że za nie obowiązywali się być posłusznymi rozkazom obcego rządu. Ich własne podpisy na kwitach potępiły ich... Sąd musiał wydać wyroki śmierci na wszystkich.

Z południa ruszyło się wszystko na placu i w bramie ratusza... zakipiało... Okna pełne były głów, lud na placu poruszał się jak fala...

Przyznaję się, że choć nie bez wstrętu jakiegoś i trwogi stanąłem obok Wawerskiej, aby coś zobaczyć. Juta nie ruszyła się z krzesła — patrzała dziko, ponuro na ścianę...

W bramie ukazał się naprzód mężczyzna słusznego wzrostu, pięknej bardzo postawy, twarzy pańskiej, delikatnej, ubrany w zielony watowany kaftanik, tak znać, jak go po bezsennej nocy z więzienia zabrano... Szedł śmiałym krokiem... ku szubienicy... sam wstąpił na drabinę i chciał coś mówić... W tej chwili wrzask tysiąca ludzi ohurzonych zagłuszył go...

Juta zakryła oczy... ja patrzyłem jak osłupiałem... Stał jakiś czas w górze, spokojny, pogardliwym niemal okiem mierząc tłum... Widok był rzeczywiście tragiczny... Okazała jego postać nie zmieniła się, nie drgnęła... dobył z wolna z kieszeni tabakierkę świecącą, tabaki zażył, oddał ją katowi i sam sobie założył stryczek...

Nie miałem siły patrzeć na egzekucyę dwóch drugich, która się odbyła szybko — lud milczał... tłumy stały długo... ale dziki okrzyk pierwszy nie powtórzył się już więcej. Grobowe milczenie... szmer... niektórzy zaczęli uchodzić. Widok śmierci zawsze porusza najnieczulszych a biada tym, których on roznamiętnia...

Nie wiem już, jak spełniono wyrok na czwartym osądzonym, którego egzekwowano naprzeciw Bernardynów pod zamkiem... tak że król z okien widzieć mógł do godziny czwartej po południu zostawione ciało...

Wyprosił pono król tego dnia biskupa Massalskiego od śmierci, która go później w czerwcu nie minęła. Nie byłem świadkiem krwawych tych wypadków gorszych jeszcze od 9 maja w Warszawie. Ręka moja cudownie się goiła, domagałem się sam jakiegoś zajęcia i skutkiem prośby mojej wysłano mnie do obozu naczelnego wodza.

Na wyjeźdném samém poszedłem Jutę pożegnać. Już naówczas nie tałem się przed sobą a pewnie i ona poznać to mogła po mnie, że się do niej mocno przywiązałem. Nie mówiłem jej o tém nigdy. Na cóżby się to przydało? Ożenić się nie mogłem teraz a miłości bez celu wyznawać jej nie śmiałem. Zdaje się, że ona mnie téż rozumiała. Matka poznawszy mnie łepiej, nie broniła mi wstępu do domu. Położenie moje w nim było dziwne, niemal śmieszne, byłem zna-

jomym, przyjacielem, niby dalekim krewnym, nie ukrywano się z niczém przedemną, nie mówiliśmy o przyszłości nigdy. Lepiej poznawszy Jutę, potrafiłem ją inaczej niż w pierwszych chwilach ocenić. Matka, u której była jedynaczką, starała się pilno o jej wychowanie. Innego naówczas dać nie było można dziewczynie średniego stanu jak klasztorne. Szkół dla kobiet nie było, pensye francuzkie nie przyjmowały dzieci mieszczan i kupców, boby sobie szlachecką przez to popsuly klientelę. Juta więc chodziła na naukę do klasztoru, czas jakiś nawet w nim mieszkała... Umysł się jej tam otworzył. Później pokrewieństwo z Greblem dostarczyło książek do domu, czytała chciwie, wiele, nieporządkie i wszystko to razem układało się, jak mogło, w jej głowie. Ale szlachetny charakter wybierał na swój użytek to, co mu przypadało do jego natury i usposobienia.

Z tych wszystkich żywiołów i wpływów stworzyła się istota oryginalna, nie podobna do innych a nade wszystko do tego, co ją otaczało. W pierwszych dniach nie byłbym mógł w niej poznać nieco wyżej nad stan wykształconego dziewczęcia. Każda inna byłaby się tém wychowaniem chlubiła, — ona się kryła prawie z niém, tak że powoli dopiero dobadywałem się z pod tej zwierchniej prostoty tego, co wiedziała i umiała. Usilnie pragnąc zastósować się do swego świata, z którego wychodzić nie myślała, Juta okrywała się taką powierzchownością pospolitą, aby łatwiej wyżyć z poczciwą matką i ludźmi, wśród których obracać się musiała. Jakież było zdziwienie moje, gdy mi nierychło poznał w niej drugą Jutę starannie ukrytą. Wiele naówczas uczuć jej mi się wytłumaczyło. Raz wydawszy się z sobą, nie ukrywała się potem przedemną. Wyznała mi to kilkakrotnie, iż zaufanie, jakie do mnie miała, winienem był temu, że mi jej nigdy nie prawil komplementów i nie wdychał do niej.

Milczałem naturalnie, gdy to mówiła, chociaż myślałem w duchu, że wcale mnie nie znała, bom się naówczas w niej najzapalczywiej kochał.

Ale za to, co mówiły oczy, zdawała się nie gniewać, ustom tylko nakazane było milczenie.

W dniu wyjazdu do obozu naczelnego wodza, do którego wiozłem papiery ważne, poszedłem do Wawerskich z pożegnaniem. Od tygodnia tam nie byłem. Juta mnie spotkała w progu niespokojna.

— Cóż to się z wami stało? zapytała poufale, — gdybym się nie obawiała starych nastraszyć dopytując o pana, byłabym już poszła się dowiedzieć o niego, bom sądziła, żeś chyba chory?

Podziękowałem jej serdecznie.

— Nie chcę bywać nadto często, rzekłem, ażeby się nie przyzwyczajać zbyt często do was... a potem nie tęsknić jak zepsute dziecko.

Spojrzała tylko na mnie, jakby zakazując mi, żebym pospolitych słodczy nie mówił... musiałem zmienić ton na weselszy.

— Wybieram się też w drogę, dodałem.

— Dokąd?

— Do obozu Naczelnika.

— To wacpan szczęśliwy, naprzód, że się wydobędziesz, gdzie się biją... ztąd, gdzie my tylko kłócić się będziemy — a potem, że zobaczysz człowieka, w którym cała Polska pokłada nadzieję...

Zostaniesz tam, czy powrócisz? zapytała.

— Przed wami powiedzieć to mogę, rzekłem ei-cho, że jadę z papierami. Czy powrócę z odpowiedzią, czy mi tam każą zostać, nie wiem.

— A kiedyż pan jedziesz? — spytała.

— Dziś jeszcze przed nocą.

Nastąpiło milczenie, przyszła Wawerska, która za każdym mojem ukazaniem się miała sobie za obowiązek poić mnie kawą.

— Porucznik dziś wyjeżdża w świat! odezwała się do niej Juta.

— Co? jak? na długo?

— Nic nie wiem... odpowiedziałem — ale jadę do wojska...

— A ręka? — zawołała matka.

— W drodze się dogoi — rzekłem.

Byłem tu teraz jak w domu, nawykłem do tego skromnego pokoiku, a rozmowa z Jutą, mogę powiedzieć, życie mi słodziła. Jednakże w tej chwili

zapał do boju, ochota do czynu, nadzieja zobaczenia Kościuszki dawały mi prawie wesołość.

— Wojska się muszą zbliżyć do Warszawy, dla jej obrony — odezwała się Juta — to i pan z niemi. Naówczas, spodziewam się, odwiedzisz nas i nie zapomnisz o dawniej koleżance.

Rozstaliśmy się smutnie; zwykle teraz, nie obawiając się ani mnie ani matki, odprowadzała mnie do drzwi... Tym razem poszła też ze mną po woli, trwożliwie jednak oglądając się, czy matka patrzy. — Wawerska zajęta była już gospodarstwem. U drzwi wziąłem jej rękę do pocałowania i spojrzałem w oczy, miała je pełne łez, choć się uśmiechała.

— Żal mi pana — rzekła — ot widzisz, nawykliśmy tak z sobą być po bratersku... nie będę miała z kim pomówić i czasem... do prawdy, żal mi pana. Pomyśl tam czasem o Jucie...

W tej chwili zdjęła z szyi krzyżyk złoty, który nosiła na aksamitce, i weisnęła mi go w rękę.

— Krzyżyk na drogę!! odezwała się śmiejąc — nie śmieję się pan z tego... krzyż Pański wiele wam przypomni... Chrystusa, ewangelia, bliźniego, miłość nieprzyjaciół... i tę może, co krzyżyk dała... szczerze mu życząc szczęścia na tej drodze i na całej drodze życia...

To mówiąc rękę mi dała i pobiegła.

Syruciowi, gdy to mówił, choć staremu, zebrało się jakby na łzę — ale po chwili ciągnął dalej.

„Dobilem się do obozu Naczelnika po bitwie nie-szczęśliwej pod Szczekocinami, znalazłem go w Kielcach. —

Po kilku wygranych bitwach zachwiani byliśmy wszędzie dla przemagających sił nie jednego ale wszystkich trzech nieprzyjaciół, mniej więcej jawnie przeciwko nam występujących. Prusacy się już wcale nie taili z tém, że Rosyanom pomagać chcieli. Ich niespodziewanemu ukazaniu się winien był Kościuszko przegraną szczekocińską, jeśli tę bitwę nazwać się straconą godziło. Oprócz tego zagrożony był Kraków — nie wiodło się innym oddziałom. Sam kraj, co wcześniej przewidywał Kościuszko, nie odpowiedział powo-

łaniu rozpaczliwemu pod broń wszystkich sił narodu. Ociągano się, obawiano, wątpiono. Lud nie był przygotowany, szlachta przestraszona.

Pierwszy to raz w Polsce rewolucyą zrobili mieszczenie a do wojska na równi ze szlachtą powołani byli wieśniacy. To, co się działo we Francyi, rzucało jaskrawe światło na to, co się dziać miało w Polsce. Rosyanie i ich przyjaciele wołali ciągle na jakobinizm, na kluby, na nowe zasady przeciwne wszelkiemu porządkowi społecznemu i religii. Igelström powołanie wieśniaków do broni nazywał naruszeniem własności...

Na zgotowanie rewolucyi takiej, o jakiej wychowany politycznie w Ameryce marzył Kościuszko, dłuższego potrzeba było czasu... Stary porządek w szlachci-cu widział żołnierza, we włościaninie spokojnego żywiciela narodu... Wszystkie klasy rozdzielone były i rozbite wiekowym stanem, z którego w chwili na rozkaz wyjść nie mogły. Znalazł więc Kościuszko Polskę nie przygotowaną, a jego pojęcia republikańskie grożące rzeczywistą równością zamiast szlacheckiej — odstręczały od niego... Wołali od dawna wszyscy ludzie widzący niebezpieczeństwo o oswobodzenie włościan — trwożyła się niém szlachta i na tę ofiarę zebrać nie mogła.

Odrzucono kodeks Zamoyskiego z oburzeniem dla tego tylko, że napomynał o usamowolnieniu jednej trzeciej części ludności wiejskiej; konstytucya 3 maja trwożliwie dotknęła kwestyi włościan, boby inaczej, mimo czteroletniej propagandy liberalnych idei nie przeszła. Głos Kościuszki w imię ojczyzny odzywał się do ludu, nie śmiano mu się sprzeciwiać, wielka powaga imienia i wielka świętość sprawy nie dopuszczała — ale bier-ny opór stanął milczący przeciw rozkazom Naczelnika.

W obozie znalazłem czola chmurne, twarze smutne... Obawiano się o Kraków, lękano o Warszawę... Nie zwątpił jeszcze Kościuszko i nie powątpiewał do końca, czuł już przecie, z jak wielkimi, nie tylko zewnątrz przeskody walczyć mu przyjdzie...

Pierwszy raz w życiu miałem go zobaczyć — i — gdy mnie Linowski wprowadzał pod skromny szafas z

gałęzi zielonych, który zajmował, serce mi biło ogromnie. Ze drżeniem przystępowałem do niego.

Spodziewałem się znaleźć w Naczelniku narodu coś majestatycznego, bohaterskiego; zdumiałem się widząc średniego wzrostu, bardzo skromnego człowieka, którego twarz dopiero po wpatrzeniu się uderzała wyrazem dobroci, czystości, spokoju, rzekłbym, prawdy... gdyby można tak się wyrazić.

Nic w nim nic było wybranego, udanego, obrachowanego. Stał takim przed ludźmi, jakim go Bóg stworzył... Niepiękne rysy twarzy miłe były i sympatyczne... w oku patrzało męztwo i rozważa... .

Ubrany był w szarą sukmankę krakowskim krojem, długie buty, czapeczkę chłopską i ładownicę. Właśnie powróciwszy z przeglądu wojsk odpasywał szablę, gdy wszedłem. Szalas, w którym mieszkiał, raził prawie ubóstwem. W jednym kąciку ciasne łóżeczko z poduszką skórzaną a pod niem tłumoczek na pół opróżniony, w drugim stolik sklecony na przódce, zdaje się z okiennicy, a na nim papiery i mapy. Drugi podobny stół był właśnie nakryty ze spartańską prostotą grubym obrusem nie dobielonym i kilką talerzami glinianymi. — Butelka wina jedna... stała przy karafce z wodą... Ani wykwinnych adjutantów ani służby przy nim. Stary, z nieogoloną brodą kucharz w białym fartuchu, zarazem pono i służący, zjawił się oczekując rozkazów. Kościuszko, nim jeszcze otworzył papiery, począł mnie rozpytywać o Warszawę. Zobaczył rękę jeszcze na temblaku, dowiedział się o ranie i uściskał mnie milcząco...

Mówił sam mało... Linowski poddawał pytania jedne po drugich, tak że ledwie na nie zdążyłem odpowiedzieć.

Wielu też rzeczy nieświadomy byłem lub znałem tylko zewnętrzną ich fizyognomią. — Musiałem opowiadać o egzekucyi 9 maja, com o niej wiedział. Naczelnik milczał pośepnie, popatrzyli na siebie z Linowskim, nie mówili nic.

Naostatek, gdy się głównejsze przedmioty wyzerpały, Kościuszko kazał dawać do stołu. Trzech wojskowych, Linowski i ja siedliśmy do tej skromnej,

prawdziwie spartańskiej uczty. Chleb był razowy... Zupełnie przyniesiono w wazce otłuczonej, potem poiską sztukamię białą, pieczone i naleśniki. Na deser znalazły się przysłane przez kogoś poziomki. Wypiliśmy po kieliszku wina, podano wreszcie czarną kawę.

Rozmowa przy stole toczyła się ciągle niemał o Prusakach, o ich wiarołomstwie i o losie Warszawy. O królu nie mówiono prawie. W ciągu całej tej wojny oddawano mu wprawdzie wszystkie honory należne dostojności królewskiej, ale od wszystkiego odsunięto go, czynnie nie dopuszczono do niczego, nie mając w nim zaufania. Król próbował czasem wywierać wpływ pewien i w końcu utworzył sobie kółko, które rozmaitemi drogami usiłowało działać na Naczelnika, — na rząd. — Zawsze jednak działanie to nie śmiało, słabe nie mogło mieć wielkiego znaczenia.

Spodziewano się tu jeszcze powstania szerszych rozmiarów w kraju, większego udziału włościan, żywszego patriotyzmu szlachty. Linowski pytał kilka razy o Potockiego i Kołłątaja, ale mało mu co mógł o nich powiedzieć. Kościuszko badał pilnie o Kiłińskiego i prawie do łez był poruszony, gdy mu przygotowania do powstania w mieście pod oczyma i grozą Igelströma opowiadał.

Tak nam zszedł czas do wieczora.

Co chwila nadbiegali oficerowie, raporta a wreszcie i szlachta okoliczna przybywała pokłonić się Naczelnikowi, przywołując mu skromne zasiłki do jego spiżarni a stękając okrutnie, że jęj kosarzów i kosa zabierano w samuteńką kosowicę.

Stary wąsaty szlachcic z okolicy Kielc, niejaki pan Belina i ubawił i zasmucił Kościuszkę... Przyjechał ze starą winem węgierskim i z perswazją.

— Naczelniku nasz uwielbiony! zawołał głośno, na rany Chrystusowe co czynisz, tych chamów nam buntując. A czy to my się bez nich nie obejdziemy! mało to narodu szlacheckiego! Czy to umie władać orężem? Kosa! kosa bardzo dobra rzecz na łące, ale na Moskali to żarty...

— Przecież pod Racławicami gorzej się jęj lękali niż szabli, rzekł Kościuszko.

— Bo się jeszcze nie poznali! zawołał Belina, — a najgorsza rzecz, że nam zaraz chłop zdumnieje i już go za ucho pokręcić nie będzie można.

— Panie sędzio, zawołał Kościuszko, powracam z Ameryki, z kraju prawdziwie republikańskiego, gdzie oprócz murzynów niewolników i chłopów nie ma i szlachty też nie ma.

— Jakże to może być, wykrzyknął Belina, aby gdzie na świecie szlachty nie było. Oto dopiero kraj! Jakże oni tam mogą żyć... promiscue... jak by-dło...

Oficerowie się śmiali, Belina mówił dalej.

— Już to w tém, Naczelniku uwielbiany, zbłądzi-łeś, chanów nie trzeba było wołać, bo to do niczego! a szlachcicowi obok nich stanąć — despekt. Gdzie to kto kiedy widział! fuj! Dalej i żydzi pójdą.

— A spodziewam się! zawołał Kościuszko, i mam pewność, że pułk sformują.

Szlachcic oniemiał.

— Koniec świata, — zawołał po chwili, — my się już z sobą nie zrozumiemy. Sami byśmy ojczyznę ocalili, było tylko czasu dać.

— A czemuż nie idziecie? spytał wódz, garnijcie się, przepędźcie innych, ale stańcież falangą krociową, jakiej ja potrzebuję.

— Niechajno po żniwach, to zobaczymy, — rzekł stary Belina. Co do mnie, ja ci i dziś na koń siędę, a no ze mnie pociecha nie wielka, miałem synów dwóch, oba poszli, — cóż chcesz więcej!

Starowina się rozplakał, a Kościuszko go uściśkał. Nie było co walczyć z ideami, które jednego dnia się zmienić nie mogą.

Wieczorem dowiedziałem się, że przez noc Lino-wski z Naczelnikiem miał mi odpowiedzi wygotować, a nazajutrz rano musiałem powracać do Warszawy.

Próbowałem się tu wprosić do służby, Kościuszko mi odpowiedział łagodnie:

— Mój poruczniku, naprzód ręka jeszcze nie bar-dzo zdrowa, powtóre, potrzeba mi koniecznie kogoś, coby rozkazy zawiózł, a raz już przebyłeś tę drogę szczęśliwie, to ją i powtórnie przejedziesz. Czekaj,

zblizymy się tam do was, postaram cię dobrze umieścić, abyś ochocie dogodził.

I pokłoń-że się odemnie pocziwemu Kilińskiemu.

Przespawszy się w drugim szalasic z oficerami od sztabu na sianie, gdzie nas w nocy deszcz napadł i porządnie strzepał, — o godzinie ósmej odebrałem papiery i listy od Linowskiego, pożegnałem Naczelnika i puściłem się do Warszawy.

Z różnemi jednak przygodami walcząc po drodze i krążyć zmuszony, wróciłem dopiero po dniu 10 czer-

Już w drodze dowiedziałem się o wypadkach zawca. szłych w różnych stronach kraju a dla nas po większej części niepomysłnych; wszystkich trzech nieprzyjaciół mieliśmy przeciw sobie, ze trzema ucierać się trzeba było z siły niedostatecznemi, nie mając czasu na ich zorganizowanie; Warszawie groziło oblężenie przez Prusaków.

Wszędzie po pierwszej chwili poplochu kupiły się wojska mocarstw nas otaczających, mające zasoby o wiele przewyższające nasze; Polskę ratował tylko patriotyzm jej i ofiary, które płynęły zewsząd ochotnic. Lecz i te starczyć nie mogły, bo kraj był poprzecinany przez nieprzyjaciół, zajęty przez nich w części i komunikacve ze stolicą utrudnione.

Poddanie Krakowa znękało i przybilo wszystkich. — Przybyłem właśnie na tę chwilę rozgorączkowania i rozpaczy... Warszawa wydała mi się zmienioną — fizyognomia jej nawet inaczej się teraz przedstawiała... Większa część ludności, ochłonawszy z zapału, narzekała tylko i wątpiła, upatrując zdradę i zdrajców we wszystkich... Posądzano ludzi najniewinniejszych, rodziła się chęć nienasycona zemsty i krwi pragnienie. Nikt nie wiedział, co czynić, miotano się, rzucano, narzekano... Przestrach panował wszędzie... podejrzliwość go mnożyła... Zaledwie przybywszy, zbiegłem po oddaniu papierów na Radzie, nie wiele ustnie opowiedziawszy o Naczelniku — do moich Mańkiewiczów... Przyjęto mnie tu otwartemi rękami i okrzykami radości, — wszyscy jedno pytanie mieli na ustach, czy prędko przybędzie Kościuszko... W nim jednym widziano ratunek... Każdy ciekawym był coś o nim

posłyszeć... nie ufano ani Kollątajowi, ani Potockiemu nawet, ani ulubionemu Zakrzewskiemu, cudu ocalenia wyglądał każdy od bohatera z pod Raławic...

Gdym począł opowiadać o nim, o jego Cyncynatowskiej prostocie życia i postaci, o chłopskim ubiorze... nie zrozumiano jakoś całej piękności i wzniosłości obrazu, który kreśliłem... dziwiono się a nawet zaprzeczano, ażeby to pożytecznym być mogło...

— Wódz, zawołał szambuś, powinien uderzać oczy tłumu, nieść powagę i majestat... nakazywać wzrokiem... trzeba, by się go trwożono na pierwsze nań wejrzenie...

Mańkiewicz nie wierzył też w skuteczność chłopskiej pomocy... Pomimo to wierzone w geniusz Kościuszki i w jego cnotę. Instynkt ogółu szczególnie czuł w nim i cenił ideał ten zacności i prawości, charakter niezłomny, sumienie wielkie...

Niejedni może w duchu więcej zdolności przyznawali Potockiemu i Kollątajowi, a mimo to potęgą charakteru nad wszystkimi nimi niósł się górą Kościuszko!

Jakże szlachetnym było usposobienie narodu, który w chwili największego niebezpieczeństwa więcej ufał cnotie niż geniuszowi nawet!

Takie było poczucie ogółu. Pojedynczo wzięci ludzie sądzili różnie i już odzywano się z różnemi krytykami. Łatwemi one były, niestety! bo nikt podolać nie mógł ogromowi niebezpieczeństw, jakie na nas spadały.

Od Mańkiewiczów wychodząc, spotkałem mójego Kilińskiego. Zmęczony był, zbiedzony, przybity. — Karmazynowa wstęga na ramieniu (oznaka członków rady i rządu) ciążyła mu. Obowiązki przechodziły jego siły. Znając wpływ jego na mieszczan, narzucano mu nieustannie kierowanie nimi, uspokajanie ich, wstrzymywanie, nawracanie.

Ścisnął mnie za rękę. Był to zawsze ten sam patriota, który wiódł lud dnia 17 kwietnia bezbronny na wojska nieprzyjacielskie — lecz łatwiej zaprawdę było zwyciężyć wroga zbrojnego niż ducha, który niebezpieczeństwo zaszczerpiło w Warszawie.

Z nim walczyć było zadaniem Herkulesowém... Kiliński blady był, niecierpliwy i prawie gniewny.

— Waćpan nie wiesz, panie poruczniku, — rzekł do mnie, co to tu u nas się dzieje. Sodomia i Gomora, mówię wam. Lud kipi, zdrajców pełno, coraz gorsze wiadomości. Naszego kochanego Kościuszki nie wiadać, a tu dalej, dalej rozżalonego narodu nie utrzymamy, jak pójdzie..., jak się rzuci, to i zamku nie obrońniemy.

— Ależ to nie ocali ojczyzny! zawołałem.

— A no, kiedy żal szaleństwem poi. Co na to poradzić! rzekł Kiliński.

Chwilami się uśmiechał, gdy mówił o nieprzyjacielu i o wojnie, ale wspomniawszy miasto chmurzył się...

— Już to tu nie obędzie się jeszcze bez... awantury... nadto zdrajców zostało. Ludzie mówią o konaszachtach z Prusakami, a póki tu mieć będziemy niepokciwych, pótysmy nie pewni siebie, mogą nas wydać w ręce wrogów.

Zaczął mi liczyć podejrzanych, poczynając od prymasa; zatknąłem uszy. Rozeszliśmy się, bo mi było do Juty pilno. O nią pytać go nie śmiałem. Zapukawszy do drzwi długo pod niemi czekać musiałem; zamiast matki lub córki otworzył mi chłopiec i oznajmił, że jéjmość wyszła na miasto a panna czegoś była niezdrowa.

Zawahałem się w progu — bo choć w micszczańskim domu ubogim nie ma tych form wymyślnych, które chorego nawiedzić nie pozwalają, nie wiedziałem, czy mi wypada narzucać się Jucie w czasie niebytności matki. W téj chwili postrzegłem ją samą, bladą i smutną, wyglądającą z trzeciej izby ku mnie. Poszedłem już nie pytając o pozwolenie. — Rumieniec wybiegl jéj na twarz.

— Cóż to wam? chorujecie? zapytałem, ale to być nie może?

— A! nie — tak — było mi trochę nie dobrze, rzekła cicho — powiedzcie mi, komu tu w takie czasy zdrowo i wesoło być może? Wszyscy siedzimy gdyby na beczcze prochu, która nas co chwila może wysadzić

- w powietrze! Jeżeli nie o siebie, biedujemy o kraj . . . o rodzinę, o kochane miasto!

A! — o siebie się troszczyć nawetby się nie godziło . . .

— Gdzież pani Wawerska? zapomniałem.

Juta popatrzyła długo na mnie, nim mi odpowiedziała.

— Pocziwa matka dużo ma trosk, rzekła — aż mi jęć żal; ja jestem do niczego, mężczyzny w domu nie ma, rzemiosło przepada . . . rady sobie nie możemy dać.

To mówiąc popatrzyła na mnie i łza cicha popłynęła jęć z oczów.

— Otóż na tę biedę, ten nieład — dodała — nie było innego ratunku jak nikomu na nic nie potrzebną Jutę poświęcić.

Słuchałem nie rozumiejąc, ona mówiła dalej prawie spokojnie.

— Matce trzeba ulżyć i ratować ją . . . wiecie, co się święci . . . oto panna Juta wychodzi za mąż za prostego rymarskiego czeladnika, aby było komu prowadzić dalej rzemiosło, bo inaczejby warsztat upadł i matka się biedna zamęczyła.

Słuszna rzecz, by za tyle ofiar rodzicielskich dziecko też wywdzięczyło się posłuszeństwem.

Zapewne, że dla mnie w tém zamążpójściu szczęścia nie będzie. Michałek, mój przyszły, dobry może chłopak, ale nieokrzesany, krzesać go już nie pora, nie zrozumie on nigdy Juty, ani Juta jego . . . ale rzemiosło pójdzie dalej, bo rymarz z niego dobry i czeladź utrzyma i nie zapije się . . .

Spuściła oczy wzdychając. Jam słuchając tych wyznań ośupiiał, robiło mi się zimno, gorąco, zgojona ledwie rana piekła mnie jak żelazem, szumiało w głowie, éniło się w oczach, opanowywał gniew, złość i smutek.

Ale jakież ja miałem prawo powiedzieć choć słowo . . .

Spojrzała mi w oczy i musiała wyczytać z nich pewnie wszystko, com doznał, — musiała zrozumieć, co mi zamykało usta.

— No — cóż wy na to? szepnęła cicho.

— Mnie nie powiedzieć nie wolno — rzekłem cicho — jakie ja mogę być sędzią w tej sprawie albo doradcą? Panno Juto — co ja myślę, wy odgadniecie...

— Cóż chcesz pan? Są takie losy! odpowiedziała — nie każdy być może szczęśliwym, ale pocziwym może być każdy...

Matce trzeba się wywdzięczyć — to potrzebne dla jej spokojności. Powiem już panu szczerze wszystko, choć się tego domyślam tylko... zdaje mi się, że matka trochę się zlekła o mnie... (śmiej się pan) — z powodu pana — i przyspiesza moje ożenienie, sądząc, że mi niem z głowy wybije...

Nie dokończyła...

Byłem cały w ogniu. — Matka nas posądza, rzekła, że my się kochamy.

— Matka odgadła — przerwałem, przynajmniej mnie — bo ja...

— Cicho!! zawołała Juta... o tém ani słowa, my się kochamy jak brat i siostra, i tak kochać się pocziwie, święcie, bratersko... możemy do końca życia, choć ja zostanę panią majstrową... wy może...

Zerwałem się jak piorunem rażony.

— Mogę pani przysiąc na wszystko najświętsze, że nikogo nie wezmę, pókim żyw. — Nie mogę was mieć... nie chcę inną.

— Przysięg nie słucham i nie przyjmuję, odezwała się Juta — życie jest długie, wymagania jego okrutne... nikt przewidzieć nie może swą przyszłość... mój poręcznik... ani słowa o tém...

Usiadłem milczący. O czém inném już ani mówić nie mogłem...

Juta mi pogroziła.

— Pocziwa miłość braterska — rzekła, nie powinna być kwaśną i smutną... wacpan wiesz, że Michałek przecie z serca mi nie wyruguje mojego towarzysza broni... to dosyć... i — cicho...

Nadchodząca matka przerwała tę smutną rozmowę, zdziwiła się i zachmurzyła zobaczwszy mnie, ale wprędce jakoś odzyskała zwykły humor i z 1 roztotą

właściwą obyczajowi ludowemu spieszyła zrzucić z serca wiadomość o znowinach Juty z p. Michałem.

— Będziemy jegomości prosili na wesele! zawołała — i to wkrótce; jak tylko Warszawa będzie wolną od nieprzyjaciela, wydaję za mąż Jutę... jużci czas... chłopaka jej wybrałam pocziwego, dobrego rzemieślnika i nie bez grosza, a co najwięcej, że charakter ma dobry i pracowity... a nawet z twarzy niczego...

Rozśmiała się stara złośliwie, patrząc na mnie i na córkę i wzięła się w boki.

— A co? a co? spytała — co asińdziej na to? ha? myślisz, żem ja ślepa i żem nie widziała, że ci się chce do niej smalić cholewki! Otóż masz!! Nie chcę, żebyś mi asińdziej się próżno bałamucił i ona...

— Matko — przerwała Juta —

— A no tak! tak! mówiła stara, nie trza w bawelnę nie zawijać!

Bardzo mnie ubodły wyrazy pani majstrowej.

— Darujesz mi, pani — odezwałem się — nigdy ani słowem ani wzrokiem nie zdradziłem się z tém, żem miał przywiązanie do córki pani, dla tego, że sobą nie władam, nie mam nic a mam rodziców i familią, od której zależę... Gdybym zaś wolnym był... otwarcielibym starał się o rękę panny Juty...

Majstrowa zaśmiała się głową kiwając na wsze strony i ciągle dla powagi trzymając się w boki.

— Wszystko to piękne, ładne! rzekła... ale mój poruczniku, czy ty myślisz, żem ja nie żyła i świata nie widziała? Ty się dziś kochasz, gotówbyś na wszystko... ale czy jabym córkę dała na te losy, coby ją tam czekały!! wytykaliby ją palcami jako mieszczankę i córkę rzemieślnika, krzywiłyby na nią nosami szlachcianki, zdawałoby się wam, że jej łaskę robicie... a tego ja nie chcę! Chleba kawałek z łaski Bożej jest... tu ona w domu pani i pierwsza, tamby chyba była ostatnia... Tobieby się łatwo żywot zatruł i przypisywałbyś to żonie, przeszłaby może gorąca miłość... a biedna Juta płakałaby gorzko. Wolę, niech popłacze teraz, że jej trochę was żal będzie, aby przyszłość pewniejszą miała...

Więc tak, mój poruczniku — dodała — nie gniewajta się na mnie — matką jestem, myślę o dziecku... i co w sereu to i na języku...

Wstałem z siedzenia zmięszany, chcąc odejść co najprędzej. Juta wpatrywała się we mnie uważnie, chcąc poznać, czym się gniewał... Łatwo jej było wyczytać z mojej twarzy, iż smutny byłem, zgryziony, pomieszany, ale nie gniewny. Prostota i szczerłość nieco szorstka Wawerskiej rozbierały mnie... bolałem wszakże i pilno mi było już z tym bólem i smutkiem co rychlej się gdzieś ukryć przed niemi...

Wawerska popatrzywszy na mnie, spojrzawszy na córkę — z wielkiego tego impetu nagle ostygła — żal się jej zrobiło nas obojga... Gdyby się jej kto był sprzeciwiał, burzył, byłaby z pewnością pogniewała się i rozdrażniona nie przebaczyła córce ani obcemu — to poddanie się pokorne jej woli zmięszało ją. — Wedle pojęć i charakteru własnego było to dla niej niezrozumiałem... Stała tak milcząca jakby za daleko się puściwszy i nie wiedząc, co dalej poczynić. Zacząłem się kłaniać i żegnać, chcąc już odejść, i byłaby jejmość rada temu pewnie, gdyby nie przewidywała niemiłej sceny z córką, której wejrzenie zapowiadało choć łagodną wymówkę...

Zatrzymała mnie za rękę.

— Jam się wypaplała z pod serca, zwyczajnie stare babsko, co języka nie umie utrzymać — ale — zgoda! Pewnie do nas już i nosa nie pokażesz, napijże się jeszcze kawy z nami i posiedź, póki nie ochłonie, żebyś mi zły nie odchodził...

Rozśmiała się patrząc na mnie. Podziękowałem za kawę, stara zamilkła... Pożegnałem ją nie okazując urazy, poszedłem Jutę w rękę pocałować, na co matka bardzo jakoś niespokojnie popatrzała¹, i zwolna krocząc przez izbę czeladzi, nie patrząc i nie widząc nie dostałem się do drzwi, które się za mną zamknęły — jakbym ten próg przestąpił raz ostatni...

Moi panowie, rzekł Syruć poważnie — było to pierwsze głębokie uczucie w życiu mojem a szczęśliwym trafem obudziło je nie płochę dziewczęcą ale kobieta godna przywiązania i szacunku. Mogę powie-

dzieć, że ono wpłynęło na całe życie moje. Z tą gorącą miłością młodzieńczą, gdybym był trafił na inną, mógłbym sam płochym się stać — ona mnie uczyniła człowiekiem i z młodzieńca mężczyzną...

Tego dnia nie poszedłem do domu, nie chciałem się spotykać z nikim, ani mówić ani szukać rozrywki, pobiegłem nad brzeg Wisły, unikając ludzi i w najbrudniejszych kątach, na stosach drzewa nad wybrzeżem siadłszy spędziłem wieczór cały. Moje własne nieszczęście, któregom się i wyznać i okazać wstydził, więcej mnie obchodziło nad wszystko... Miasto huczało tam za mną, dzwony były na Anioł pański, słońce zachodziło... nie widziałem i nie słyszałem nic... byłem oślepiały... Nadeszła noc i chłód dopiero a dreszcz mnie rozbudził. Potrzeba było iść do domu...

Dostawszy się na Krakowskie przedmieście usłyszałem huczenie i wrzenie tłumów dobrze mi już znane... Był to właśnie pamiętny ten wieczór siedemnastego czerwca...

Na Krakowskim poznałem, co się święci; wzburzenie było daleko sroższe i straszniejsze niż w maju, owego wieczora po przejażdżce króla...

Przewidując, na co się zanoszą, nie chciałem drugi raz być świadkiem scen podobnych — uciekłem co prędzej do domu... Nie dochodząc nawet do Mańkiewiczów, zamknąłem się w moim mieszkaniu...

Ale tu nie mogłem też znaleźć spoczynku.

Z miasta niemal przez noc całą dochodziły mnie okrutne wrzaski i huk spiesźnie latających po mieście powozów i konnych. Nad rankiem znużony, zaledwie mogłem się zdrzemać. Nie wiem, jak długo spałem, gdy mnie stukanie do drzwi obudziło — był biały dzień, służący dziada wołał mnie, abym zszedł na dół.

Znalazłem tu parę osób przerażonych... nie wiedziałem o niczym. Od szambelana dopiero, który głos niemal postradał, dowiedziałem się o wypadkach dnia i nocy. Jedenaście szubienic stało po mieście, a na nich sam lud bez sądu pochwytanych wieszal winnych i niewinnych. Pijana garść podżeganych zbrodniczo ludzi, prawdziwy motłoch, który się znajdzie w złą godzinę w każdej stolicy, puścił sobie cugle, buntując

się formalnie przeciwko rządowi i Radzie, odrzuciwszy Kilińskiego i ledwie mocy charakteru Zakrzewskiego dając się wreszcie upamiętać.

Skończone było nareszcie wszystko, władza przywrócona, ale straszliwe wspomnienie téj ludowej ślepoty a namiętnej sprawiedliwości pozostało — odstręczając od rewolucyi umysły i serca.

Upadek ducha i trwoga w mieście były powszechne. Mańkiewicz ręce łamał i chciał wyjeżdżać, ale dokąd? Tegoż dnia nadeszły wieści, iż Kościuszko się przybliża i że winnych tego rozruchu nie minie kara.

Podżegacze mniejsi, zdaniem powszechném, mieli być tylko narzędziami ludzi, którzy w naśladowaniu rewolucyi francuskiej widzieli zbawienie. Inni utrzymywali, iż pruscy emisaryusze do tych scen popchnęli lud, aby zożydzić rewolucyą i dać powód znęcania się nad nią.

Stan miasta czynił w niém życie ciężkiem, duszszém, nieznośném... Nazajutrz po okropnym dniu, ponieważ jeszcze ręka mi nie dozwalała zaciągnąć się do wojska, pochwycił mnie Kiliński, abym mu pomógł gwardyą miejską organizować, i wziął mnie z sobą na cały ten dzień, zamawiając nawet na następne, dopóki bym czynnej służby nie znalazł sobie.

Musiałem z nim ciągnąć na zamek i po raz pierwszy oddawna znalazłem się wśród rezydencyi królewskiej, którą teraz trudno mi poznać było, bom ją całe jeszcze inną nawet za Targowicy pamiętałem.

Smutniejszego obrazu wystawić sobie trudno. Zamek pusty był cały dzień, wielkie sale pozamykane, służba zmniejszona, król skryty w gabinecie, otoczony kilką kobietami i familią. Z szambelanów, paziów, adiutantów ledwie kilku pozostało.

Na twarzach wszystkich milcząca trwoga się malowała, słowa się trudno było dopytać. Wszystko zdawało się czekać jakiegoś wybawienia.

Byłem przytomnym, gdy Kiliński, poprosiwszy króla o posłuchanie, przyszedł mu oznajmić, iż miasto jest już spokojne, że nie ma się czego obawiać i może zau-

fać wiernemu mieszczaństwu swojemu, które go nigdy nie odstąpi...

Król Stanisław, którego twarz wydała mi się dziwnie zestarzałą i jakby zdrewniałą od bólu, wyszedł w szlafroku... milczący, oglądając się, napróżno usiłując okazać panem siebie.

Przemówienie Kilińskiego proste bardzo ale gorące, bo to był człowiek serdeczny, poruszyło króla, wymówił kilka wyrazów podzięki, pomieszany, oglądając się, słuchając jakby... Pod powiekami czuć było wstrzymywane łzy.

W tej chwili zapomniałem win i błędów tego panowania, człowieka szczerze mi żal było. Gdy się to przyjęcie skończyło, odetchnąwszy jakby po ciężkiej pracy, król szybko odszedł do gabinetu.

Wyszliśmy z pokojów z Kilińskim i miałem z nim razem zajmować się już tą gwardyą bezpieczeństwa, gdy niespodzianie po raz pierwszy spostrzegłem wojewodę Niesiołowskiego. Nie wiedziałem nawet o pobycie jego w Warszawie a tém mniej o tém, że go do sądów naznaczono.

Niesiołowski poznał mnie.

— Syruć — zawołał — ja ciebie szukam od dawna i dobrać się nie mogę... na miłość Boga, potrzebuję cię... gdzieś był?

Opowiedziałem mu, że do Kościuszki był wysłany. Musiałem tedy pożegnać Kilińskiego a sięść z wojewodą, który z zamku do domu jechał. Przez całą drogę chmurny był i milczący. Spytał mnie o Kościuszkę i nie wiem, czy moją odpowiedź posłyszał, bo się znowu cały w myślach zatopił.

Nareszcie powóz zatrzymał się przed pałacem, weszliśmy z nim do pokojów.

O moich losach w pierwszych dniach kwietnia wojewoda był uwiadomiony, nie potrzebowałem mu się spowiadać... Znałem ja go jako gorącego patryotę, znalazłem w tej chwili dziwnie znękanym i zafrasowanym obrotem sprawy.

— Siadaj, Syruć — rzekł — mam tyle na sercu, że mi się wygadać potrzeba...

Człowiek głowę traci i nie wie, co czynić.

Załamiał ręce.

— Żle jest — rzekł — szaleńcy wzięli w ręce wszystko i najświętszą sprawę poplamiają i popsują. — Po tym biedaku Wulfercie nikt życia niepewny... Krzyknął służący, co wczoraj zbiegł, na swego pana, że zdrajca, to go na biczysku obwieszą.

— Przecież się to uśmierzyło — rzekłem, i nowych rozruchów nie ma się co obawiać.

Niesiołowski się uśmiechnął boleśnie.

— Raz spróbowano —, rzekł — raz się zaprawiono... nie poszanowano kapłanów...

— Ależ to byli jawni zdrajcy! przerwałem.

— Tak, to prawda, odparł, tém bardziej trzeba było sprawiedliwości ich oddać, nie zamęczyć ich bez sądu. Wzdrygam się na to, dodał, jestem pewny, że się oburzy Kościuszkę, że to sprawa pruskich emisariuszów, co nas jakobinami mieć chcą, aby potępić.

To mówiąc pochwycił mnie za rękę i spojrzał mi w oczy.

— Syruc — zawołał — znasz mnie. Polskę kocham nad życie! Trzeba jęj oszczędzić wstydu i ohyd, trzeba ztąd wyrwać króla i prymasa... bo... bo ja za ich życie nie ręczę.

Zbladłem usłyszawszy te słowa.

— W takim razie — rzekłem — Prusacy i Moskale napadną miasto i w perzynę je obrócą.

— Dziecko moje! gdy będą mogli, pewnie ich ani król ani prymas nie wstrzyma... Zresztą obu ich nie gdzieindziej trzeba wywieźć jak do obozu do Kościuszkę...

Milczałem...

— Do tego nam potrzeba kilku energicznych ludzi, na którychby nie padło poderzenie żadne... Pomyslałem o tobie.

Serce mi się ścisnęło... nie miałem ani ochoty ani zdolności do takiego przedsięwzięcia; odpowiedziałem, że się na siłach nie czuję.

Wojewoda pochodził po sali zamyślony i powrócił do mnie.

— Nie sił ci braknie ale przekonania — rzekł — ja ci powtarzam, że narodowi trzeba oszczędzić sro-

mu . . . Padnie nań plama, jakiej w całych jego dziejach nie ma . . . Nie należałem nigdy do dworaków króla — ale dałbym życie, aby go ocalić. — Usłuszysz ojczyźnie, Kościuszko ci sam podziękuje, tłumy są roznamietnione, wiem, co się gotuje, z czém się odgrają . . .

Musisz dopomódz . . .

Dosyć długiego czasu potrzebował wojewoda, by mnie nakłonić; uległem wreszcie jego prośbom i rozmowaniom. Wymagał odemnie słowa i przysięgi, dałem jedno i drugie, uściśnął mnie, zdjął sygnet z palca i rzekł:

— Idź z nim do zamku, melduj się do króla a bądź ostrożnym . . . Rzeczy są po trosze przygotowane . . . braknie ludzi . . .

Jak pijany wyszedłem od wojewody, nie chętnie kierując się ku zamkowi.

Rozpowiedziano mi, któremi drzwiami, jakim kurytarzem i do kogo mam się udać . . . Pora była poobiednia. Na zamku pusto, na wschodach żywej duszy, w przedpokoju od sali audyencyonalnej siedziała gwardya i deputacya miasta, która króla strzegła. Król znajdował się w małym gabinecie. Ryx mnie do niego wpuścił, powiedziawszy wprzód, z czém i od kogo przychodzę.

W chwili, gdy wchodził, czarno ubrana kobieta podżyła, poważnej postaci, nieco do króla podobna wstała z kanapki i, popatrzywszy na mnie, do bocznego udała się pokoju.

Ze zwykłą sobie uprzejmością i uśmiechem, na który trudno mu się zdobyć było, przystąpił do mnie król.

Głos mu drżał. — Rozpytał się mnie, kto byłem, gdzieś służył, zagadał o rodzinie Syruciów i o jej dawności na Litwie, z pamięcią szczególną kilka naszych koligacyi przytoczył, oświadczył mi, że z zupełną ufnością przyjmuje pomoc moją, i kazał mi się udać za Ryxem. . . zwracając sygnet Niesiołowskiego. . .

W całej postawie króla i mowie jego czuć było hamowaną trwogę i smutek, najmniejszy szelest wstrzy-

mywał go, wykrzyk z ulicy okrywał błądzącą twarz, niespokojny wyglądał oknem...

Gdy ucałował podaną mi rękę wyszedł, Rych prosił mnie, bym szedł za nim. Milcząc wprowadził mnie w korytarze ciemne, potem przez kilka pustych pokojów, galerię, wschody i prawie na poddaszu, dowiodłszy mnie do drzwiczek, do których zapukał, poprzeczył mi sam a potem wpuścił...

W małym pokoiku znalazłem trzy osoby zupełnie mi nieznane. Jedna z nich była w stroju duchownym, dwie drugie, ubrane po cywilnemu, miały postawę wojaskową...

Ciemno już było, tak że twarzy ich dobrze rozpoznać nie mogłem. Przywitano mnie milcząco, opowiedziałem się kilku słowy.

Ksiądz wstał z kanapki.

— Wiesz pan więc, rzekł — o co idzie — króla ocalić należy! masz pan już co obmyślanego?

— Ja ani czasu ani znajomości położenia nie mam dostatecznej, odezwałem się, ażebym mógł plan jakiś stworzyć, mogę zaledwie być pomocnym w wykonaniu.

Spojrzeni po sobie, jeden się odezwał.

— Trzeba się spieszyć, każda godzina droga — miewanie niby króla pilnują dla jego bezpieczeństwa — ale jako żywo raczej, aby nie uszedł... Pierwsza tedy trudność, jak ich uspić...

Ksiądz się odezwał:

— To najmniejsza rzecz — wieczerza się im daje, trzeba, by kto podpoił, to się pością, a i tak pomęczą...

— Niech i tak będzie... dodał trzeci — główna rzecz, jak króla uprowadzić.

— Dniem nie ma co o tem myśleć, odezwałem się, nocą... tylko nocą. Wyjście z zamku jest niemożliwe... ale co dalej?...

— Tak, zawołał starszy wiekiem. Całą noc patroli chodzą... uniknąć ich prawie niepodobna, poznają...

— A rzeką? wrzuciłem pytanie.

Zamilkli na chwilę.

— Trzebaby się przekonać, czy brzegi są osadzone

i czy pilna straż przy nich. W istocie, łódką można by się spuścić po za miasto a u brzegu nagotować powóz i z nim rzucić się w lasy jużby może nie było trudno.

— Nie wiem, czy kto badał brzegi! rzekł ksiądz, trzeba by to uczynić natychmiast. Jutrzejszy dzień ledwie starczy, by się starać dobrej łodzi i pewnych wiosłarzy, a dalej jak do jutra zwlekać — nie podobna. Kto z panów zna cokolwiek miejscowość?

Jeden z przytomnych wstał. — Pójdę, rzekł, ale sambym nie rad.

— Ja panu towarzyszę — odezwałem się.

— Powrócimy, jak tylko będzie z czém wrócić, dodał mój towarzysz.

Po ciemku z pomocą jego zeszliśmy już innemi wschodami w podwórcę zamkowe a z nich do ogrodu. Idący ze mną miał klucz od furtki. Wysłuchawszy się w milczenie i przekonawszy, że nam tu nic nie zagraża, poczęliśmy się spuszczać ku Wiśle. Zakrywały nas gęste krzaki, wśród których mój przewodnik umiał się z wielką znajomością miejsca kierować. Szliśmy tak zwolna, gdy doszły nas głosy od dołu — musieliśmy się zatrzymać. Towarzysz mój silnie pochwycił mnie za rękę, staliśmy jak wryci. Nie dalej jak o kroków kilkanaście od nas przechadzały się dwa cienie po nad samą prawie rzeką. W lewo mogliśmy dostrzedz drugich dwóch, którzy nieruchomie stali.

Usłyszeliśmy naprzód stłumiony śmiech a potem wyraźną rozmowę.

— A co? panie Kasprze? dobry spacer nocny nad Wisłą? ha! nie wolałbyś w pierzynie leżeć... i chrapać.

— Pewnie, że wolałbym, ale służba służbą, a mamy na sercu, aby się nam nie wyrwał.

— A gdzieby uciekł?

— Do przyjaciół Moskali! Wierz pan — gdyby go byli nie strzegli, nie grozili, nie prosili i nie dali do zrozumienia, aby spacerów przestał — jużby go nie było...

— Baba z wozu kołom lżej...

— Nie można pozwolić na to...

— Tędy tylko do Wisły... jużby go łada rybak przewiózł...

Rozmowa się urwała... Nawoływały się strażę zdala po cichu, lecz oczywiście było rzeczą, iż o wykradzeniu się czołnem myśleć już nie mogliśmy. Wyprawa nasza była skończona. Powróciliśmy z niej po cichu prędzej, niżeli się nas spodziewano.

— Nad Wisłą gęste strażę wskroś — rzekł mój towarzysz, nie ma co i myśleć.

Ponure milczenie trwało chwilę.

— A zatem, rzekł duchowny, rady już innéj nie widzę, wieczorem się trzeba przekraść do kamienicy około kolegiaty. Tam przygotujemy suknie duchowne... najlepiejby ubiór bernardyński lub kapucyna, chłopiec przodem będzie dzwonił, jakby szedł ksiądz z Panem Bogiem... To najbezpieczniej, nikt z ludu nie zaczepi a zakapturzonej twarzy nie dopatrzą.

Drudzy milczeli — nie było przeciwnieństwa, spytano mnie — odezwałem się, że może to być dobrém, ale nie daleko, a zawczasu konie obmyślić należy, aby dopadłszy ich dalej uciekać.

Jeszcześmy tak rozmawiali, gdy po wschodach usłyszeliśmy bieg szybki i jeden z pozostałych paziów królewskich wpadł pomieszany niezmiernie... Ksiądz wstał z siedzenia i natychmiast się z nim udał... Stało się coś widocznie niespodzianego i nieszczęśliwego... Ilu nas tam było, czekaliśmy w milczeniu, co nam rozkażą... i co czynić mamy dalej...

Nie upłynęło pół godziny, ksiądz wszedł blady, słaniając się i padł na sofę... zakrywając oczy...

— Wszyscyśmy tu przyjaciele króla i słudzy jego, zawołał — tajemnic mieć nie możemy... Wracam od N. Pana... nieszczęście wielkie... Wojewoda w téj chwili daje znać, iż przejęto list księcia prymasa... list, który go najokropniej w oczach rewolucyi obwinia... Dla tego zgraja ta przed pałacem prymasowskim wznieść się ośmieliła szubienicę... Dano królowi znać... prymasowi grożą sądem i śmiercią haniebną; Kossakowskiego i Massalskiego... prymasa ratować potrzeba... prymasa... jutro być może za późno... List jest powstrzymany, ale zniszczonyni

być nie może. Odwleczono rozpieczętowanie... Prymasa ratować trzeba... a tu z nas żaden nie może nawet wynieść z zamku i zbliżyć się do palacu prymasowskiego, ażeby poznanym nie był...

Spojrzał na mnie — wstałem...

— Jeżeli potrzeba, pójdę, rzekłem...

— Chodź — zawołał ksiądz — chodź ze mną do króla...

Spuściliśmy się znowu wschódkami, kurytarzami, na palcach stąpając aż do drzwi gabinetu, w którym płacz słyszać było...

Wszyscy byli tak przerażeni, poruszeni, wylekli, że nikt się nie zdziwił, gdy mnie nieznanego wpuszczono do gabinetu... Król ze złożonymi jak do modlitwy rękami klęczał przed krucyfiksem stojącym na stole, ale modlić się nie mógł, oczy miał suche... wargi blade... Na kanapie obok hetmanowa Branicka płakała zachodząc się od szlochania, obok niej pani Zamoyska osłupiała, martwa z rękami załamane wydawała się obumarłą. Na ziemi córka jej pani Mniszchowa jak padła znać, tak głowę położywszy na kolanach matki, pozostała nie mogąc się już poruszyć... We drzwiach stał blade a przy ciemnych swych włosach białym się wydający jak śnieg ksiązę Józef ze skrzyżowanymi na piersiach rękami...

Gdym wszedł, król się nie odwrócił... nikt nie spojrzał; ksiądz, który mi towarzyszył, trącił nieco klęczącego, który drgnął cały i spojrzał na nas.

— Ten pójdzie — rzekł ksiądz...

Król wstał opamiętywając się powoli. W rękę ścisnął już gotowy znać papier i małe pudełeczko...

Ręka ta drżała mu febrycznymi ruchy miotana.

— Na honor i na Boga zaklinam waćpana, idź, staraj się niedostrzeżony przecisnąć. Kamerdynerowi lub kapelanowi powiedz — odemnie! Do rąk, do własnych rąk oddaj prymasowi i — wróć, jeżeli możesz...

To mówiąc, wcisnął mi opieczętowany papier i pudełeczko.

— Na Boga, wziąć się nie daj — trzęść się nie daj — ostrożności — roztropności... będę ci wdzięcznym. Może kiedy przyjdą czasy, jeśli dożyjemy —

gdy ci potrafię wypłacić dług za tę przysługę. Wyświadcysz mi wielką... Idź — powracaj!

Król pocałował mnie w głowę i odepchnął. — W téjże chwili hetmanowa płakać zaczęła głośniej jeszcze... łkanie pani Mniszchowej wtórowało jój, księżę Józef zniknął ze drzwi.

Mnie otwarto gabinet i znalazłem się z Ryxem w przedpokoju.

Nigdybym sam był nie trafił do bramy... Tu w głębi dostrzegłem już gwardyą miejską, ale mieszczenie tegoż rana widzieli mnie z Kilińskim, nie miałem obawy, aby zatrzymać mnie chcieli... Szedłem śmiało.

Jeden z mieszczan zawołał — Stój! Podprowadzono mnie pod pałacą się o kilka kroków latarnią. Zacząłem się śmiać. Straż poznała mnie, bo stojarza Dąbskiego osobiście dobrze znałem i z rana będąc rozmawiałem z nim.

— A cóż tu porucznik robi po nocy? — zapytał. Poklepałem go po ramieniu.

— Nie powinniście mnie badać, posłany byłem zobaczyć, co się u was dzieje, ale widzę, że wszystko w porządku i że nie śpicie.

— A już o to bądźcie spokojni, odezwał się Dąbski, mysz się tu nie wyśliźnie.

Pozdrowiwszy ich znalazłem się na placu i odechnąłem. Z okna ktoś znać pilnował mojego wyjścia, bom słyszał, jak się z cicha potem zamknęło. Spiesznym krokiem zmierzałem ku prymasowskiemu pałacowi.

Ulice były zupełnie spokojne i przedstawiały widok codzienny — bramy domów pozamykane, szynki także. Rzadko gdzie się w wyższych piętach świeciło. Zbliżałem się już ku ciemnemu także pałacowi prymasowskiemu, gdy spotkałem jakąś kupkę ludzi. Szeptali cicho, nie zdawali się zważać na mnie.

W dziedzińcu nie było żywego ducha, drzwi pałacu szczelnie pozamykane, z za krat w jednym tylko oknie słabe błyszczało światło. Oglądając się do koła bacznie, zapukałem zwołna i ostrożnie. Nie za-

raz mnie posłyszano. Szyba okna otworzyła się i głowa pokazała.

— Od króla! — pilno! rzuciłem w nią cicho.

Drzwi najbliższe otwarły się natychmiast. W kurytarzu stał książdz, był to kapelan prymasa. Zdawał się chcieć przejąć poselstwo, — odezwałem się, że to, co mam, tylko do rąk własnych oddać mogę.

Szliśmy więc razem.

W pokojach było ciemno. Szereg długi sal, przyozdobiony w obrazy, krzyże, godla, pusty, owiany jakimś chłodem murów zamkniętych przechodzić musieliśmy po rozesłanych dywanach, aż do gabinetu przy sypialni prymasa.

Kapelan zapukał i sam wszedł naprzód. Po krótkiej chwili wpuścił mnie i drzwi zamknął.

Książę prymas, majestatyczna, piękna, arystokratyczna postać z bladą twarzą, rysów czystych i uspokojonych, siedział w ogromném krześle z książką na kolanach.

Miał na sobie tylko szeroką jedwabną suknię kapłańską, czarną z guziczkami purpurowemi. Zrzucona znać co tylko komża koronkowa i piuska purpurowa leżały obok na stoliku . . . Wzrok łagodny, pański, protekcyjny, arcykapłański zwrócił ku mnie i jał się we mnie wpatrywać. Zdziwiło go to znać, że nieznajomy człowiek przychodził w téj godzinie w poufném od króla poselstwie. Długo i ja na słowo zebrać się nie mógłm, alem w ręku trzymał papier i pudełko.

Prymas z twarzy mojej zwolna oczy zwrócił na papier i rękę ku mnie nie mówiąc wyciągnął . . . Schyliłem się i całując ją, odezwałem się cicho, iż mi zlecono złożyć do rąk Jego Ekscelencyi i przynieść odpowiedź.

Lecz prymas nie zdawał się słuchać mojej mowy, przysunął świecę stojącą na stole, rozerwał kopertę i zaczął czytać . . . Książka, którą miał na kolanach, zsunęła się na posadzkę. Pospieszyłem ją podnieść a mimowolnie rzuciwszy wzrokiem poznałem Tomasza à Kempis . . .

Gdym składając ją na stole zwrócił oczy znowu na czytającego, postrzegłem w jego twarzy zmianę tak

przerazającą, żem stanął osłupiony nią. Oblicze to spokojne, pełne wyrazu, siły i rezygnacyi — przeistoczyło się pod wrażeniem kilkunastu przeczytanych wyrazów. Nie marmurowa ale trupia bladłość przyoblekła twarz, oczy zbłądły, wargi zbielewały... ręka, którą papier trzymał, trzęsła się. Zdawał się zapominać, żem stał przed nim...

Z rąk wypadł list na stół, prymas począł szukać oddanego mu pudeleczka i położył je machinalnie na stole... potem zamyślił się...

Stalem, będąc w jak najprzykrzejszem położeniu człowieka, co podsłuchuje mimowolnie — a uciec nie może.

Prymas nie domyślał się znać bytności mojej, zapominał o mnie... tak silne było wrażenie... Głowa opadła mu na piersi, westchnął i załamał ręce...

Dopiero w tej chwili błędny wzrok jego postrzegł mnie... zatrzymał się na mnie... stężał na moment... i prymas odezwał się głosem słabym...

— Idź!

— Co mam powiedzieć królowi?

Nie było odpowiedzi długo... potarł dłonią po czole, jak gdyby chciał myśli wywołać wstrzymane w biegu.

— Powiedz mu... Niech Bóg go błogosławi...

Skinął ręką... Skłoniłem się i miałem wyjść — gdy mnie słabym przywołał głosem...

— Trzeba ci znaku... że spełniłeś, co ci polecono... Tak...

Obejrzał się do kola.

Daléj trochę na stoliku leżała mała ze srebrnymi klamrami książeczka... Zakładka w niej ze szkaple-rzem tkwila... był to nowy testament... Prymas wyjął z książki znak, poszukał miejsca, które zamierzał naznaczyć, wsunął zakładkę, spał klamrę i podał mi ją milcząco.

— Tak ją oddasz królowi...

Obejrzał się niespokojny...

Piękny różaniec z agatów leżał na stole... wziął go spieszenie...

— Zachowaj to na pamiątkę... z błogosławieństwem...

Ręką mi krzyż zrobił nad czołem, przykląknęłam jej... zimna była jak lód...

Kapelan stał w progu i widzenie to znikło, szliśmy znowu szeregiem pustych sal... aż do sieni...

Powróciłem do zamku pustymi ulicami wśród ciszy nad porankiem, ze smutkiem jakimś w duszy — nikt mnie nie wstrzymał, nikt nie zapytał, straż chodziła drzemiąc, w przedpokoju króla na krzesłach siedząca służba spała... cisza panowała w gabinecie. Ryx przy drzwiach czuwał jeden i nie pytając o pozwolenie otworzył mi gabinet. Króla zastałem samego... z książką w ręku. — Pobieżnie rzuciwszy okiem na nią, zobaczyłem żywoty Plutarcha...

Spokojniejszą już miał twarz...

Wzięty książkę oddaną mi przez ks. prymasa, ośmielając się zwrócić uwagę N. Pana, iż zakładka była świeżo włożoną... jakby oznaczała odpowiedź; król skłonił tylko głowę i pożegnał mnie, znać nie życząc sobie, abym był świadkiem uczuć, jakie nim owładły.

Przyznaję się chętnie do tego grzechu ciekawości, że, niosąc biblię zatrzymał się pod latarnią i spojrzał na to miejsce, które zakładka wskazywała. — Nie znalazłem w nim nic nad okrzyk tłumu, który wołał, by Chrystusa ukrzyżowano, ale na zakładce samej znać dawniej napisał prymas z proroctw Jeremiaszowych, z rozdziału piątego, ten ustęp, który dziwnie przypadał do dnia tego:

„Słuchaj, ludu głupi, który nie masz serca... wy, co macie oczy a nie widzicie, i uszy a nie słuchacie...“
i t. d. ...

Niestety, lud ten nie zasługiwał na nazwisko owo, ale na imię najnieszczęśliwszego z narodów! Chciał on dobra i pragnął mądrości, — nie dano mu jej a nekano; cóż dziwnego, że szaleł płonął i targał się w tych boleściach...

Spełniwszy moje posłannictwo, nie wiedziałem, co mam czynić z sobą, nie chciałem odejść, dopóki bym nie miał na to pozwolenia. W sąsiednim pokoju siedział ksiądz, który był z nami na górze; postrzegł-

szy go, poszedłem spytać, co mam czynić... Smutny wzrok podniósł ku mnie.

— Na teraz nie mamy do czynienia nic — rzekł cicho — rozechwiało się wszystko... niepodobieństwem jest ucieczka... Zdaje mi się, że na dziś nie pozostało nic — prócz, żebyś pan sobie tu czy, gdzie mu dogodniej, spoczął.

— Mam o tém donieść panu wojewodzie? zapytałem...

— Zapewne — rzekł wahając się nieco... trzeba, ażeby wiedział, że usiłowania są daremne. Musimy się starać inaczej niebezpieczeństwo odwrócić.

— Gdybym był potrzebnym? — zapytałem jeszcze odchodzących.

— Damy panu znać przez wojewodę... Najpotrzebniejsza rzecz wszakże — szepnął mi, abyś miał oko na usposobienie ludu i na tych, co go podburzają... a w razie, gdyby się na zamek i króla odgrazano... mógł dać znać wcześniej...

Z tém odszedłem już nad rankiem i nie sądząc, żebym do wojewody mógł się dostać o téj porze, powróciłem do domu. — Znużenie, zniechęcenie, niesmak jakiś mnie dręczył... chciałem się wyrwać z tego chaosu miejskiego na plac boju... Bijąc się z myślami, usnąłem gorączkowo...

Znużenie moje było tak wielkie, żem się nie obudził aż z południa. Stukano do drzwi moich... zerwałem się, jak stałem, bom ubrany spał, i otworzywszy zobaczyłem przed sobą samego pana wojewodę, który pot ocierał z czoła, wdrapawszy się po ciemnych i niewygodnych wschódkach na górę.

Spojrzałem na zegarek i przetrząłem się, że tak było późno, począłem się tłumaczyć...

— Daj pokój, rzekł mi, nie nie winienesz, zrobiłeś wczoraj, coś mógł, — byłem u króla... wiem wszystko...

Spuścił głowę i spał ją na lasce — puścili mu się łzy z oczu.

— Nie ma już nic więcej do zrobienia... króla ocalimy, tam ten już sam się pono od wszelkiego niebezpieczeństwa wybawił...

— Kto? zawołałem zdziwiony.

— Ksiązę prymas...

— Jak to? uszedł? — krzyknąłem.

— Nie — umarł... — rzekł Niesiołowski spokojnie.

Nie mogło mi się w głowie młodej pomieścić, by człowiek, którego widziałem wczoraj w pełni sił i zdrowia... dziś miał już nie żyć. Stałem niemy.

— To być nie może, panie wojewodo, zawołałem — ja wczoraj w nocy byłem u niego, mówiłem z nim, oto jest różaniec, który od niego otrzymałem z błogosławieństwem, był zupełnie zdrow... przytomny...

— Pójdź do pałacu prymasowskiego, na dole zobaczysz go już na katafalku... odparł wojewoda. — Nie masz już na zamku nic do czynienia — co myślisz...

— Wracam do wojska! — zawołałem żywo — w mieście wyżyłbym nie mógł dłużej, tu mi duszno, ciasno i ani wiem, z kim trzymać, ani co mi sumienie czynić każe... w pole! w pole! z szablą, na koniu... będę szczęśliwy.

Pocałowałem rękę wojewody.

— Masz słuszność — rzekł — tam lepiej i zdrowiej, tu — tylko skazani na to, by rządzili tém, co sobą rozrządzać nigdy nie daje — męczyć się muszą...

Westchnął stary.

— Ciężkich dożyliśmy czasów — dodał — chwili swobody — jednej chwili... jednego błysku, po którym lękam się ciemniejszej nocy niż kiedykolwiek... Stary jestem, źle widzę może, ale trwoga mnie ogarnia... Powstania idą bezsilnie i powoli... Kurlandya wprawdzie podniosła się, ale straciliśmy Kraków, Austria występuje przeciwko nam... Prusacy lada dzień oblegną Warszawę.

Nie dokończył prorok, popatrzył na mnie, uderzył po ramieniu. — Jesteś wolny, rzekł, przyszedłem ci to oznajmić, bo nie uszło to mojej uwagi wczoraj, żeś do pokatnych robót nie bardzo się brał z ochotą... Wracajże do wojska, ale nim się zaciągniesz i wyciągniesz... przyjdź do mnie.

Odprowadziwszy wojewodę, przebrawszy się trochę, zszedłem na dół i trafiłem na opowiadanie szambelana, które mnie w osłupienie wprowadziło...

Szambus opisywał właśnie, jak list prymasa do Prusaków przejęto, jak odgrazano się szubienicą i że ks. Kollataj posłał królowi oznajmić i przestrzedz go, że łudu nie powstrzyma, aby więc prymasowi radził... Wedle powieści ulicznej Kollataj nawet posłać miał truciznę dla uniknienia hańby... Mówili drudzy, iż król w nocy przesłał bratu ostrzeżenie i proszek, że prymas słysząc lud warczący w ulicy... zażył z tabakierki owego usypiającego na wieki specyfiku i wkrótce potem usnąwszy życie zakończył...

Słuchając nie śmiałem się naturalnie z niczém odzywać, ale mi na myśli był list i pudelko, które nosilem...

Sądy o zmarłym bardzo były różne — mogę to dziś ostyglszy powiedzieć, nie bardzo sprawiedliwe. — Prymas był wprawdzie zwolennikiem przymierza z Rosją i zawsze do niego nakłaniał, lecz czynił to z przekonania głębokiego i ze sposobu zapatrywania się na sprawy krajowe. — Nie był nigdy płatnym i nie poniżył się niczém upadlającym. Był pewnie najrozumniejszym, najenergiczniejszym z całej rodziny... ale chłodny, poważny, zimny, nie lękający się mówić prawdy, popularnym nie był. Rzucono nań plamę chciwości po uwięzieniu Sołtyka, choć się administracyi i funduszów biskupstwa krakowskiego wyrzekł... nie policzono mu zasług jego w Komisyi edukacyjnej, które były wielkie... Oprócz rodziny własnej przyjaciół miał mało a nieszczęśliwym był w ich wyborze... jak z Tyzenhausem... na którego upadek patrzyć musiał, ratować go nie mogąc.

Wysłuchiłem uwag złośliwych szambusia i pod wieczór już wyszedłem na miasto. Chciałem własnemi oczyma widzieć zwłoki tego, któremu wczoraj jeszcze ogłądał żywym... i otrzymał od niego błogosławieństwo...

Cała ulica Senatorska łudu tłoczącego się była pełna, dziedziniec nabity, do palacu przecież się docisnąć nie było podobna...

Mieszczanie, czeladź, tłum kupami stał i śmiał się — wykrzyki ich serce mi ścisnęły — wszyscy niemal nieboszczyka nianowali zdrajcą i śmierć jego przypisywali obawie kary... Ponieważ chodziły też pogłoski, że prymas uszedł, że się krył w podziemnych lochach pod pałacem, chcieli wszyscy koniecznie widzieć zmarłego, aby się przekonać, że w istocie on a nie kto inny na katafalku spoczywał... Wielu nie dowierzało śmierci, zowiąc ją komedią.

Słuchając tych niedorzecznych przypuszczeń i żartów, zawsze w obec majestatu śmierci rażących, milcząc poczętem się i ja dobijać do pokoju na dole, w którym prymas od kilku godzin spoczywał... Przyszło mi to z nadzwyczajną trudnością i dzięki tylko mundurowi, który wziąłem, potrafiłem wniknąć do pałacu...

W lewo od drzwi izba obszerna cała była suknem czarném obita... Na niej wysoko podniesione spoczywały zwłoki ubranego pontyfikalnie arcykapłana... z zasłoniętą zieloną kitajką twarzą.

Właśnie ta okoliczność pono była powodem, że jedni nie dowierzali, aby to istotnie miał być prymas, a drudzy przypuszczali, że twarz od trucizny musiała być zmienioną i dla tego ją przysłonić musiano... Ogromne świeczniki srebrne otaczały katafalk a kilku duchownych nieustannie śpiewało wigilie... Tłum przepływał do koła katafalku rozciekawiony więcej niż pobożny, rozgorączkowany raczej niż współczuciem ujęty... Szeptano i uśmiechano się...

U drzwi już, gdy napowrót chciał wynieść — spotkałem niespodzianie Jutę... której matka towarzyszyła... Spostrzegły mnie obie. Juta się uśmiechnęła, Wawerska pozdrowiła mnie, stanąłem jak wryty. Za nimi szedł, rękami dla nich torując drogę młody chłopak dosyć przystojny, rysów pospolitych, rad widocznie z siebie, w którym domyśliłem się narzeczonego... Ubrany był, jak się naówczas nosili dostatejniejsi rzemieślnicy i mieszczanie, w czamarce polskiej... i nie źle wcale wyglądał... Wzrok mój, który się na nim zatrzymał ciekawie, na twarz Juty wywołał rumieniec a potem bladeść i pomiczanie.

Gdyby były same, możebym im ośmielił się w tej

cizbie do progu domu towarzyszyć — ale mnie teraz nie potrzebowaly... Popatrzywszy więc zdala na biedne dziewczę... wysunąłem się w podwórze pałacowe...

Cale niespodzianie zastąpił mi tu drogę niesmaczny ów, u Mańkiewiczów poznany, podejrzany dla mnie wielce pan Drogomirski, który bez ceremonii pod rękę mnie ujął.

— Kochanego porucznika — zawołał — tak dawno niewidzianego! ale co za dziw... Pan bo czasu nie traci.

Pytajaco spojrzalem na niego...

— Myślisz pan, że my... to jest ja — ja, że ja o niczym nie wiem! cha! cha! rzekł spiesznie — ale o każdym kroczeniu jego... Bardzo mi was żal, że się z tą ładną mieszczańką nie udało... dodał...

— Z jaką? — przerwałem mu oburzony...

— Ale po cóż bo przedemną, przyjaciелеm ich rodziny, te sekreta?... Jutro ładna i dobrze wychowana i kamieniczka i bodaj kapitalik... Dla was szlachty to może razem wszystko nie wiele znaczy... a no... nie zły zawsze kasek... Tymczasem ci go, panie poruczniku... prosty rymarz z przed nosa bierze...

Zacząłem mu się wypierać, śmiał się.

— I to wiedziałem, rzekł — i inne rzeczy wiem... Pan jesteś krewnym wojewody Niesiołowskiego?

Zdumiałem się bardzo. — Więc cóż? spytałem chłodno.

— Ano, nie — wojewoda patriota dobry, — ale zawsze to patrycyusz...

A wiesz pan co, panie poruczniku, rzekł cicho ciągle mnie prowadząc z sobą, chociaż nie wiedziałem sam, dokąd szedłem — czasy patrycyuszów i ich panowanie minęły! Darmoby chcieć przywrócić, co się przeżyło... Światło przeniknęło między lud... mieszczan, nawet chłopów, poznali się ludzie, że są równi i że tylko tyle jeden od drugiego lepszy, o ile więcej wie i umie... nie wrócą więc już wasze szlacheckie wieki.

Mogły one się utrzymać póty tylko, pókiście szko-

ły zamykali dla nas i dla ludu a skazywali nas na ciemnotę i głupotę. Nie rychło my się douczym, ile trzeba, dużo bąków nastrzelamy jako samouczki i studenci, lecz koniec końców... gdy raz promyk padł na głowy, gdy tajemnica siły odkryta... jest to tylko kwestya czasu.

Nie dobrze rozumiałem Drogomirskiego, alem go ciekawie słuchał.

— Byłeś kiedy w naszym klubie? zapytał.

Zasłyszałem był wprawdzie coś o tym na wzór paryzkich założonym w Warszawie klubie, który popolicie lud klopem nazywał — alem go nigdy ciekawym nie był. Mówiono nam, że tam jawnie i z cicha ks. Majer przewodził... Przypisywano nawet klubistom czerwcowe owo zaburzenie, które wywołało gniew w Kościuszcze i przeraziło ludzi spokojnych...

— Nie byłeś w kłobie? podchwycił usłyszawszy przeczącą odpowiedź moją Drogomirski — a toś może ciekawy?

Zawahałem się.

— Gotówem zaprowadzić, jeżeli chcecie? uśmiechając się mówił mój przewodnik — jest to zapewne kolebka tylko, w której więcej słysząc dziecinne krzyku niż rozsądnej mowy... ależ to *signa temporis*... Chodź!

Jeszcze się ociągał, śmiejąc się wziął mnie pod rękę Drogomirski.

— Nie zjedzą cię — rzekł, a teraz po wzięciu Konopki, Piotrowskiego, Dębowskiego... nie takie już z nich zuchy jak bywało... Warto posłuchać... Wstąpić! Klub, do którego mnie prowadził ciekawy ów człowiek... znajdował się przy ulicy Wierzbowej.

Weszliśmy przez bramę ciemną w dziedziniec domu, na którego tyłach duża sala na dole z przedsionkiem była zwykłym miejscem zgromadzeń najzagorzalszych rewolucjonistów.

Kilka oliwnych lampek kopających przy ścianach słabo ją oświecało... Przy zastawionych po bokach stołach... pili siedząc niektórzy piwo i wino...

W głębi na ścianie między dwoma lampami dostrzegłem namalowanego orła, nad którym zamiast ko-

rony była frygijjska czapka wolności a do koła napis — „Wolność, równość, niepodległość.“

Mały portrecik Kościuszki, jakich naówczas ty-
siące się rozchodziło, wyobrażający go z szablą w dłoni,
z napisem — „Pozwólcie mi jeszcze raz umrzeć za oj-
czyznę!“ wisiał w ramkach pod orłem.

Gdyśmy weszli, nikt nas nie spytał, nie wiem, czy
kto spojrzał nawet, tak żywą była rozmowa.. Dosły-
szeliśmy naigrzawania się z Bucholtza, posła pruskiego,
który był świeżo dostał paszport i zmuszono go pod
konwojem wyruszyć z Warszawy, opieczętowawszy pa-
piery jego i kancelaryą, którą starannie wprzód zre-
widowano..

Drudzy rozpowiadali o prymasie i jego nagłym
zgonie, rękując, że zwłoki leżące na marach nie były
jego a on sam umknął do Anglii. Inni zajmowali się
królem, poprzysięgając, iż mu z miasta ruszyć się nie
dadzą.

Z niezmierném zdziwieniem usłyszałem tu mimo
portretu Kościuszki, który na ścianie zawieszono, kwa-
śne jakieś o nim przekąsy.

Ktoś go nazwał szydersko Amerykaninem... inni
się ujeli i zamknięto zaraz usta śmiałkowi, który pró-
bował zniechęcać ku niemu...

Od dymu fajek i kopcenia lampek olejnych duszno
było w téj izbie, która nie wyglądała wcale ponętnie.
Postacie, które się tu błąkały, znane mi były z ulicy,
nigdy ich jednak nie widział tak licznie zgromadzo-
nych... kilka obcych twarzy i języków można było
rozeznąć w tém zbiorowisku... Na uboczu szeptało
po dwóch i po trzech, oglądając się do koła. Słysza-
łem rozpytyjących ciekawie o losy uwięzionych z po-
wodu rozruchów czerwcowych. Nie tajono się z sym-
patyą dla nich...

— Już to bądźcie, obywatele, spokojni, rzekł je-
den z przysłoniętą twarzą, że Kaziowi Konopce z gło-
wy włos nie spadnie — a Dębowskiemu téż nie wiele
się stanie... ino Dolgierd, Dziekoński, Klonowski i
Stawicki a może i więcej gardło dadzą.

— Albo dadzą lub nie — przerwał inny... lud

nie powinien dopuścić, ażeby tych, co się dla niego poświęcili... spotkała taka hańba i...

— Cicho — zawołał inny... cicho...

— Naczelnik kazał karać surowo... wtrącił ktoś z boku...

Rozśmiał się z ławy podparty łokciami na stole mężczyzna barczysty.

— A choćby też i przypłacić przyszło — a kilku pociągnęli na szubienicę — zawołał ponuro — czyż to taka miła zabaweczka tego nie warta? Widzieliście, ichmość panowie obywatele, co się rzadko zdarza... dygnitarzy w koszulach, bez orderów, bez peruk i bez kapeluszków schnących sobie na wolnym powietrzu. Za każde widowisko trzeba płacić, tak i to...

A inaczej myślicie, że kraj będzie wolny? nigdy...

— I no dosyć tego gadania — wyrwał się drugi głos. — My nie mamy takiej drapieżnej natury, żebyśmy sobie lubowali w takich widowiskach. Jeszcze u nas Pan Bóg jest.

Podparty na stole łokciami rozśmiał się na głos szydersko. Drugi stuknął pięścią o stół.

— Imienia Boskiego mi tu nie wzywać nadarcemno ani żadnych bluźnierstw... bo... za drzwi.

— Prawcie bo o czym innym... wtrącił ktoś z boku, a to już się właśnie wezmą... Co myślicie, jak Prusak przyjdzie... Kiedy się dokazywało ze zdrajcami po ulicach, trzeba nam też popisać się i na okopach...

— A kto tego Prusaka tu sprowadził — przerwał barczysty, albo to nie królewska szajka i nie zdrajcy, co się o swoją skórę boją??

— Bylby on przyszedł i sam, przerwano z koku.

— Choć to my niby trochę oczyścili i nastraszyli żółto brzuchów — mówił nie zważając podparty — nie tak to łatwo z niemi i nie koniec jeszcze.

Z najlepszych naszych ludzi powoli łajdaków porabia... Co myślicie! a no już pan pułkownik Kiłński inaczej śpiewa... albo Zakrzewski? toż to on pierściami własnymi Moszyńskiego obronił?? popsują nam i odbiorą tych, co z nami byli, zobaczycie... Myśmy ślepi i zbyt dobroduszni...

— Nie płótbys — odezwał się inny.

— Prawdę mówię — począł pierwszy, ale się przekonacie o tém zapóźno....

Za mało się zrobiło.... hm! hm.

— Chce ci się więcej! rozśmiał się drugi, ruszaj z innymi do obozu... od 18u do 40u musimy pono wszyscy.

— Ja mam 42 — zawołał barczysty, mnie się to nie tyczy.... Porządek w mieście robić to co innego, a na okopy... młodzież.

Na chwilę zapanowało milczenie jakieś przykre. Niejeden westchnął.

— Czy my uwolnimy tę nieszczęśliwą ojczyznę czy nie, a niejeden z nas głową nałoży, to pewna.

Starszyzna i panicze... będą nas pędzić w ogień, a sami komenderować z tyłu.

Tego rodzaju wykrzyknikami jakiś czas się zabawiano, gdy wszedł małeńki człeczek, którego zobaczywszy wszyscy wstawać i gromadzić się doń zaczęli.

Podawszy dłoń kilku bliższym — wstąpił na krzesło, cisza wielka i sykanie na mruczących w dań poprzedziły wykrzykniki:

— Co słyhać we Francyi? obywatelu!

Co robi konwencya?

Sucherlawy ów jegomość odchrząknął.

— Sławnego patryotę i obywatela Robespierrea o mało nie zabito — zawołał.... Barrère doniósł o tém konwencyi na sesyi 26 maja. Kobieta, która się na to ważyć miała, zowie się Cecylia Renaud.... Wkrótce spotka ją zasłużona kara.

Z tego powodu Robespierre miał piękną mowę.

— Przeczytajcie ją! odezwało się kilka głosów — przeczytajcie.

Zbliżono świecę... mały człeczek czytać począł:

— Konwencya narodowa zgromadzona jest, że tak powiem, na wierzchołku góry ogień wyrzucającej. Na tém niebezpieczném miejscu zatrudnia się ona z jednej strony oddawaniem Bogu czci, winnej mu od wielkiego narodu, z drugiej strony badając ugruntowaną na wolności, sprawiedliwości i cnocie Rzeczpospolitą, broni jej od napaści wielkiej części świata.

Czytał tak całą, dosyć długą mowę Robespierrea, której słuchano w milczeniu, przerywając tylko niekiedy nieśmiało wykrzyknikami.

Gdy przyszedł ku końcowi do miejsca, w którym Robespierre się odzywa:

— Wielka masa ludu francuzkiego jest dobra, kocha sprawiedliwość i wolność, poświęca za nie wszystko, co być może najmiłszego na ziemi. Mała tylko cząstka ludu tego jest tak jak za czasów monarchii lekko-myślna; gadatliwa, próżnująca, panowania chciwa i intrygi knująca. Tę klasę oszustów i hypokrytów wytepić nam koniecznie należy.

mówca podniósł głos a przytomni poczęli klaskać i powtarzać: — Wytepić zdrajców i oszustów.

Czytał później jeszcze mowę Barrota a na ostatku historyjkę wdowy Delcamps, patryotki, której konwencya wyznaczyła 1200 liwrów pensyi za to, że w oczy rojalistom, kluta bagnietami, wołała: — Niech żyje Rzeczpolita!

Umiejętny wybór nowin z Francyi wielce zajął słuchaczy i odwrócił szczęśliwie uwagę ich od spraw demowych.

Dosyć długi czas trwające posiedzenie obiecywało jeszcze pociągnąć się dłużej, gdym pożegnał mego towarzysza, sądząc, że tu zechce pozostać, i zabierałem się odchodzić — nie puścił mnie wszakże.

Ciężył mi bardzo i radbym się go był pozbył, nie miałem sposobu. Wygadałem się, że idę do domu, Drogomirski przypomniał sobie, iż dawno Mańkiewiczów nie widział, i zabrał się razem. Zaczynała mnie niepokoić ta wielka serdeczność człowieka, ku któremu wstręt czułem jakiś. Mógł się nawet poznać na tém z milczenia mojego, że mi wcale nie był miłym, nie odbierało mu to jednakże humoru ani uprzejmości dla mnie.

Im jawniej przekonywałem się, że chciał mnie wybadać, tém mocniej zamykałem się w sobie. Sama ta myśl, iż mnie miał za żaka i dla tego zasiadł się odemnie dostać języka, już mnie niecierpliwiła.

W milczeniu przyszliśmy do Mańkiewiczów, gdzie jeszcze historia prymasa była na stole. Drogomirski

w najlepszym² humorze rozpowiedział zaraz, że mnie do kłopotu wodził. Dziadunio z ukosa na mnie spojrział i namarszczył się.

— Nie poszedłem tam z dobrej woli, — rzekłem, winienem ciekawe widowisko mojemu przewodnikowi.

— I lepiej było wcale nie iść — mruknął Mańkiewicz, tam się, słyszę, atcusze sami zbierają a my jeszcze do téj fiksacyi nie doszliśmy.

Zmleczalem... Oddawszy Drogomirskiego na pastwę Mańkiewiczowi, sam wysliznąłem się na górę.

Nie czekając dłużej, gdy mi ręka moja zupełnie już zablizniona do służby czynnej powrócić dozwalała, pierwszych dni lipca znalazłem się znowu między wojskowymi towarzyszami w obozie.

Po tém długim a niezdolnym próżnowaniu i włóczędztwie uliczném — zdało mi się, że do nieba dostałem. Czułem się w swoim żywocie... Miasto mi było obrzydło a życie w niem codziennie stawało się przykrzejszem. Być może, iż i zawiedziona tak boleśnie miłość moja dla Juty przyczyniła się do tego obrzydzenia...

Mokronoski, Zajączek, Dąbrowski, którego podówczas Niemcem zwano, bo świeżo ze służby saskiej wyszedłszy w istocie lepiej mówił po niemiecku niż po polsku ale serce miał polskie i gorące, Adam Poniński, syn osławionego podskarbiego, (który już był ranym pod Szczekocinami i zmazał krwią plamę ojcowską) dowodzili wojskami mającemi bronić Warszawy.... Siły nasze były nie zbyt wielkie, znaczna część wojsk rozproszona, lecz dział nie brakło i rachowano też na gwardyę mieszczańską Warszawy, duchem patriotycznym ożywioną.

Ukazanie się nieprzyjaciela w blizkości miasta poprawiło w niej ducha, odwróciło umysły od tego ustawicznego marzenia o zdradach — rozżarzyło patriotyzm we wszystkich...

Sypały się ofiary... klejnoty, złoto, bielizna, szarpie, ślubne obrączki, nie jedna ostatnia łyżka srebrna, konie, wozy, co kto miał, co kto mógł. Król nawet, ogłoszony z dochodów, zrujnowany długami, siał resztki sreber do mennicy... Bogatsi ludzie, których o

ostygłość posadzano, dawali najwięcej, aby się od zarzutu obronić, biedni nieśli grosz ze łzami...

W chwili, gdy do obozu odjeżdżał, urządzano milicją miejską, cisnącą się ochotnie do szeregów, które nędznych dosyć okopów bronić miały. Dostało mi się szczęściem miejsce choć mało znaczące, lecz dla mnie zaszczytne, pod ręką samego naczelnego wodza. Uznano bowiem, że zgojona wprawdzie rana ale osłabiona dłoń do innej jak posiłkowej służby i kancelaryi czyniła mnie niezdolnym.

Znalazłem Kościuszkę pod Mokotowem zajętego niezmordowanie obroną stolicy; a choć niedawnom go w nielepszym może położeniu pod Kielcami spotkał raz pierwszy, wydał mi się teraz i smutniejszym daleko i jakby zestarzałym ze znużenia. Zbyt wielkie brzemie spadło na jego ramiona, a oprócz jawnych trosk były tam i takie, które w sobie kryć musiał... W obozie przebąkiwano, że zachodziły żywe spory z ks. Kollątajem, które o mało Naczelnika nie zniechęciły do tego stopnia, iż gotów był władzę złożyć.

Przerażono się znać odpowiedzialności, jakaby na sprawców takiego nieszczęścia spaść mogła... i zgoda pozorna zatarła na czas ślady nieporozumienia... W wojsku też były różnice zdań wielkie i niechęci wzajemne...

Kościuszko, któremu miał szczęście towarzyszyć, bom był przez niego wysyłany często przez ogień kul i przez najniebezpieczniejsze stanowiska — pracował jak prosty żołnierz, ale zarazem jako doskonały wódz i inżynier, dla tego obrona Warszawy znakomicie została obmyślona i chlubę nam przyniosła...

Miedzy Warszawą a obozem nieustanny był i serdeczny związek... Ochotnicy biegli, wyrывая się od zatrudnień, czeladź, niedorostki... kobiety... Każdy chciał widzieć, słyszeć, skosztować tego ognia...

Nadeszła znowu chwila piękna i heroiczna, której bez bicia serca przypomnieć sobie niepodobna.

Lud warszawski, zapominając o zdrajcach, wrócił do ducha, jaki go ożywiał w kwietniu. Niepodobna sobie wystawić wesołości, ochoty, porywu tego, zapалу, jaki wszystkich unosił.

Byłem w mieście wypadkiem, gdy dnia 13 lipca z dział stojącego pod Zygmuntem na Krakowskiem przedmieściu i na okopach strzelaniem dano znak do alarmu. Posypała się ludność z taką ochotą do boju, z takim pospiechem, weselem, jak na gody. Starszyzna ledwie ją mogła utrzymać, tak się to rwało wszystko, tak sypało na okopy. Ten różnobarwny tłum... między którym o czternastoletnich chłopców nie było trudno i o siwych weteranów... szedł jak na uroczystość.

Dnia tego Kościuszko objeżdżał właśnie okopy... i zdaje się, że ta zbierana drużyna więcej może go rozradowała niż nowy przypływ wojska regularnego. Na zapale całego narodu a szczególnie ludu najwięcej on polegał. Łzy mu się w oczach kręciły.

Mieszczanie patrząc nań, wykrzykiwali rzucając czapkami, bo choć go który nie znał, po otoczeniu i po sławnej sukmanie poznawali.

Moje serce radowało się tem, że mój pulk Działyńskiego mężstwo, pod Golkowem okazane, powszechnie wielbionem słyszał. Lipnicki tam cudów dokazywał. Jakżeby był chętnie poszedł pod komendę Zajączka, choć go tam mało lubiło a nikt pono nie kochał — byle do swoich powrócić. — Nie kaza-no, słuchać więc musiałem... Prawda, że choć ręki na temblaku nie nosiłem, ale nią dobrze jeszcze władać nie mógł.

Wiodło się pod Warszawą dosyć szczęśliwie, bo też baczność była wielka. Nie dano Prusakom w Żegrzu mostu postawić i przedrzeć się na Pragę.

Artylerya też nasza doskonale była ustawiona a o pruskiej tego powiedzieć nie można, bo nas od niej użyć mogły boleć i nie więcej. Kule padały bezsilne albo nas nie dochodziły.

Okolo naszego obozu pod Mokotowem utarczki były ciągle, lecz bardzo mało znaczące... Mielśmy czas nawet zabawić się nieco i dać przybyłym z Warszawy ciekawe a podnoszące serca widowisko.

Kościuszko miał przy sobie batalion kosynierów krakowskich, który mu bardzo był miłym. Wiedząc o tem pani Zybergowa, wojewodzina brzesko-litewska,

do której województwa należał Kościuszko, ofiarowała mu tu sztandary, które uroczyście poświęcono. Jedyne to były tego rodzaju a bodaj pierwsze i ostatnie karmazynowe chorągwie, na których snop, pika i kosa i czapeczka krakowska, u nas frygijską zastępująca, ukazały się w ciągu téj wojny.

Popłakało się dużo, gdy je oddawano włościanom, już zaprawionym do boju. Tego samego dnia Denisów się pokazał, wyszedłszy z lasu naprzeciw obozu, ale go kulami przywitano i długo nie bawil.

Kościuszko jak był niezmiernie czynnym w obronie miasta, tak równie gorliwym o ukaranie winnych buntu i samowoli, bo mu szło o karność i utrzymanie porządku. Jak przewidywano więc, stało się, że padło kilku ofiarą, chociaż najwinniejsi ocaleli za staraniem swych protektorów. Mniej to jednak wszystko zwracało uwagę, bośmy wszyscy duszą i sercem byli w obronie stolicy. Dziwna rzecz! Przy mniejszych siłach z wielu względów w mniej szczęśliwém położeniu mając przeciwko sobie nie jednego ale dwóch nieprzyjaciół, szliśmy wesoło z jakąś dziwną ufnością w zwycięstwo nasze, że się nam ich uda odpędzić.

Czułość była nadzwyczajna. Prusacy w niedzielę (28 lipca) rzucili się na Wolę i zbliżyli do obozu Kościuszki samego; zarazem piechota i jazda moskiewska się ukazała i posunęła aż do Czerwonej karczmy i wioski. Kościuszko i my byliśmy na koniach. — Posłał mnie Naczelnik, abym Dembowskiego strzelcom wyprzeć ich kazał. Ledwie dobiegłem do nich, Dembowski, Krzycki i armaty były w pogotowiu. Pędem rzuciliśmy się przeciw nieprzyjacielowi jakby na zabawkę... i spędziliśmy ich dosyć łatwo. We wtorek potem znowu podsunęli się, chcąc Czerwoną karczmę, która już do połowy była przez naszych spaloną, opanować, i znowuśmy w czas ich odegnali.

Z równem szczęściem udało się nam Prusaków wyforować ze Szczęśliwic, które opanowali w niedzielę i mieli już tam piechotę, strzelców i armaty. Wieczorem o dobrym nroku, pół do dziesiątej, podpułkownik Gawroński puścił z rozkazu Kościuszki rozpało-

ne kule dla zapalenia wioski i tak mu się powiodło, iż od pierwszej wiesi była w ogniu.

Suche dosyć lato i drewniane kletki pożar uczyniły nagłym i niepowstrzymanym, lekki wiaterek go rozdmuchiwał. Widzieliśmy ogromne zamieszanie, słyszeli krzyki i przekleństwa nagle ze spoczynku wieczornego pożarem zbudzonych żołnierzy. Chcieli gasić, aleśmy z dwóch baterii prażyli ich tak, że ledwie swoje działa zaprzągłszy uciekać musieli.

Na ten popłoch strzelcy Dembowskiego przypadli i ostatek wynoszących się z gorejących chat wygnali.

Ogromna łuna tego pożaru, który nie rychło ustał, rozlała się po niebie i pięknie przyświecała tryumfowi naszemu. Naczelnik był jak rzadko wesół i szczęśliwy... a tém więcej uradowany, że tam już we wsi z włościan dawno nikogo nie było, bo się byli wynieśli wcześniej.

Zaalarmowane wojska króla JMei pruskiego, który osobą swą sam im dowodził, stały do późna pod bronią i w obozie ognie pogasiły — aby ich na cel nie wzięto.

Późno w nocy, gdy się to wszystko zakończyło szczęśliwie a oficerowie poczęli przybywać z raportami — Kościuszko, który miał sobie poprzysyłanych mnóstwo darów dla rozdania odznaczającym się wojskowym, kazał przynieść szkatułkę ze swojego namiotu i tu się rozpoczęło obdarowywanie na pamiątkę dnia tego.

Nie mieliśmy aniśmy chcieli mieć na ów czas orderów, po republikańsku dzielił Kościuszko mężnych tém, co mu patrioci przystali... I tak Boczankiewicz kapitan dostał pierścioneł z brylantami, który ofiarowała p. Zybergowa, major Golejewski zegarek złoty, Osowski major tabakierkę złotą, major Krasicki, męźny żołnierz, pierścień téż brylantowy, — Dembiński z perłami, Dembowski, Kołłataj, ja i inni obrączki i zegarki.

Prusaków rannych sto wozów zawieziono téj nocy do Sochaczewa... myśmy oka nie zmrúżyli do rana i Kościuszko się téż nie myślał kłaść... Ledwie łuna pożaru pobiłła, różowieć zaczęło niebo na wschodzie i wesoło gotowaliśmy kawę przy połamanym płocie

starym. W obozie panował taki zapal i dobra myśl, jak gdybyśmy już wroga za granicę wyparli...

W parę dni potem król pruski myśląc, że piórem więcej dokaże niż armatami, przysłał trębacza z listem namawiającym do poddania się.

Rzeczą jest nie wątpliwą, że dzielnej obronie i dobremu rozporządzeniu winniśmy byli dotychczasowe szczęście nasze; trzeba tu jednak dodać to, co nam później jawne się stało, że Moskalom mieli rozkaz nie zbyt rażnego dopomagania Niemcom do zdobycia miasta, którego by już im z rąk wydrzeć później nie było można.

Warszawa dniem i nocą czuwała przysłuchując się, patrząc, odgadując, co się z nami dzieje. Latały posłańce, przybiegali ochotnicy, szły wozy z zapasami, a z pruskiemi kulami tak się ludzie oswoili, że trzaskowi ich przyklaskiwano tylko.

Zaprawdę, dni to były wesołe, jak nie pamiętam, a może mi one tylko takimi się wydały po ciężkich poprzedzających je warszawskich dniach ulicznych burz i wrzawy.

Zajęcie następnych dni zapalił im Wołę, począwszy od stodoły, którą kula porucznika Wronskiego zażęgła, Dąbrowski opanował Augustów (pod Wilanowem) i wysepkę Zawadzką, zdobywszy żywność i trochę amunicji... słowem, Prusakom się jakoś wcale nie szczęściło...

Trudno mi jest dać wam pojęcie naszego a szczególniej mojego życia w tych dniach, którebym mógł najszczęśliwszemi nazwać, gdybym na sercu nie miał bólu i tęsknoty po Jucie... Byłem ciągle czynnym, w szarmyclach na forpocztach ucierałem się nieraz, gdy nie pilniejszego nie było do roboty; zresztą na koniu ciągle, wożąc rozkazy między Zajączkiem, Mekronoskim, Naczelnikiem, Dąbrowskim i Warszawą życie pędziłem, patrząc się, jak wszystko zdrowym naówczas, pięknym patriotyzmem gorzało. Nie było ofiary, od którejby się ktokolwiek wynawiał... I Kościuszki też nie widziałem nigdy bardziej ożywionym a lepszej myśli niż teraz. Strzały pruskie nie dokuczały nam

wcale, głuszyły tylko; jednego domu nie zapalili nam a ludzi strata była prawie nieznaczna...

Odpieraliśmy niemal każde ich pokuszenie się i działa nigdy nie dali ustawić, gdzie chcieli.

Ale były i chmurki na tém piękném niebie nadzici pełném... Nie zbyt był Naczelnik rad zaprowadzeniu asygnat, które naówczas puszczone w obieg mimo jego woli; nie koniecznie trafném znajdował zapowiedziane zabieranie dzwonów i sreber kościelnych, przeciw któremu wielu sarkano, — bo dobrowolnych ofiar dość było a lud nasz pobożny źle to rozumiał...

Jeszcze gorzej z rozkazu tych, którzy dworowi i królowi byli przeciwni — postąpiono sobie zaczawszy drukować w Gazecie wolnój papiery, które znaleziono u Igelströma, i kwity osób, które od niego płatne były. Kółtają nie lubiący Poniatowskiego i srogi mając żal do niego jeszcze od Targowicy, poddmuchnął wydanie tych rachunków, w których i królewskich sześć tysięcy dukatów umieszczone było...

Zerwała się tedy sroga burza na zamku, że w ten sposób jątrono lud przeciw Poniatowskiemu, wskazując go jako zdrajcę... Lament podniesiono okrutny, przyleciał książę Józef do Naczelnika z wymówkami i żalem... A że Kościuszko w chłodnych był naówczas już stosunkach z ks. Kółtają, wyprawiono mnie z biletem do Zakrzewskiego, aby ogłaszanie tych brudów nie w porę powstrzymał... Król listem do Gazety wystósowanym się tłumaczył...

Pamiętny mi jest ten dzień i téż, żem już powracając od prezydenta napotkał w mieście Jutę...

Prowadziłem konia w rękę i siedłem zwolna Krakow-kiem przedmieściem, wcale się nie spowiewając jej widzieć a myśląc mimowolnie o niej, gdym usłyszał nazwisko moje, które mnie jakby ze snu przebudziło. Podniosłem oczy i spostrzegłem ją stojącą naprzeciw samą jedną a tak bladą i zmienioną, żem się przeląkł... Pospieszyłem ku niej eo prędzej.

— Anim się o was, panie poruczniku, dowiedzieć mogła, rzekła mi, ani was nigdzie spotkać. Cóż to za szezęśliwy dzień! Chodziłam do kościoła, Bóg mi dał was zobaczyć...

Uśmiechnęła się smutnie, spojrzałem jęj w oczy.

— Cóż mi pani tak blado wyglądasz? Zarumieniła się natychmiast.

— Ale nie, rzekła — może ze wzruszenia, gdym mojego towarzysza broni postrzegła... pobladłem trochę... Zresztą... trudno w taki niespokojny czas bardzo być szczęśliwą...

— Nam się dotąd dobrze wiedzie i w Bogu nadzieja, że Niemców odegnamy!

A! gdybym wam mógł opowiedzieć, jak się ucieramy z nimi, jak nam dnie błyskawicami płyną szybko... jaka w obozie ochota i wesele... Znowu spojrzała na mnie.

— Czuję to, że możecie być szczęśliwi — ale wystawcież sobie życie nasze, moje... dodała żywo... Siedzę w oknie i słucham... i słyszę, biją działa z daleka jak gromy... grzmi dzień cały, nocą łuny się palą... my nie wiemy nic... albo dostajemy baśnie... Czasem się porwę i chcę lecieć i pomyśle smutnie — jam kobieta, mnie nie wolno, a po cóżbym się tam zdala... Serce się rwie, oczy płaczą...

— Cóż w domu? zapytałem, chcąc odwrócić rozmowę.

— No — i w domu — matka mi chora... jakoś jęj nie jest dobrze... Biedna nie wstaje z łózka, biegalam po doktora. Trudno się którego doprosić, lazarety pełne, a żołnierz pierwszy, bo on służy ojczyźnie, my tylko za nią wdychamy. Gorzej codziennie biednej matce. — Zniżyła głos i spuściła oczy. A że źle się ma i trwoży, więc nagli... nagli jak może.

Nie potrzebowała mi mówić więcej, odgadłem łatwo, o co ją przynaglała — musiałem zamilczeć.

— Dla czego ja, niewdzięczne dziecko, odkładam? mówiła ciągle cicho — prawda? należałoby matkę uspokoić... ale gdy pomyśle o przysiedze u ołtarza, o związaniu się na wieki, o człowieku tym, dobrym pewnie ale dla mnie tak obcym... choć dzieńbym utargować chciała... i jeszcze dzień i jeszcze godzinę.

Milczałem smutny. Stanęliśmy tak wśród ulicy, na oczach ludzkich, ja w moim oficerskim mundurze, ona ze swą dziewczęcą krasą, a przechodzący patrzali

na nas, uśmiechając się... ona wcale nie zważała na to... Chciałem ją pożegnać, zatrzymała mnie.

— Czy wam tak bardzo pilno? zapytała.

— O! nie! rzekłem — dano mi do nocy czas, ale w mieście nie mam co robić.

— Gdyby się wam koń nie wyrwał, moglibyście przecie zamiast przez Krakowskie pójść na Stare miasto i trochę nałożyć dla mojej przyjaźni.

— A z duszy serca — jeśli mi pani pozwolisz.

— Ja proszę, rzekła Juta. Dobrze jest ukraść sobie choć minut kilka... kto wie, czy się na tym zobaczym świecie.

— Masz pani słuszność, ja codzień pod kule jechać muszę.

— O! nie tylko one zabijają — przerwała, ludzie mrą z tego, co wewnątrz przeszywa... Mnie czasem zdaje się, że umrę prędko.

— Co za myśli... dla tych, co was kochają, dla matki żyć powinniście.

— Tak, dla matki — rzekła machinalnie, powtarzając ostatnie słowo — dla biednej matki — ja jestem niewdzięczne dziecko.

Chustkę przyłożywszy do oczów zaczęła płakać i łzy prędko ocierać.

— Pieszczone dziecko jestem — odezwała się, za to pieszczonienie pan Bóg karze. Dawno powinienam pójść do ołtarza, siły mi braknie, zwlekam... we dnie, gdy go nie widzę a myślę o obowiązku, powiadam sobie, muszę, powinienam raz skończyć; wieczorem przyjdzie to pocziwe stworzenie, siądzie, zacznie mówić, popatrzę nań i truchleję... a — wierz mi, poruczniku, dobre chłopczyśko... tylko — tylko — ot tak — jakoś nie mogę się zgodzić z tą myślą, abym ja mu żoną być miała... Widzisz, spowiadam się wam jak bratu.

— A! panno Juto! panno Juto... krwawisz mi serce... zawołałem — trzymałem długo w sobie ból, wreszcie wybuchnąć musi... Niech się tylko wojna skończy... przewleciecie ten ślub... ja o waszą rękę poproszę... ja z wami tylko mogę być szczęśliwy.

Chwyciła mnie za rękę gwałtownie.

— Nie mów tego, to się nie godzi, przerwała —
— matkaby nigdy nie pozwoliła, jabym się sama obawiała nie was ale rodziny. To nie może być! a! nie może!

— Owszem to i może i powinno być, bo my się kochamy ... szczerze, święcie ... wytrwale ... zawołałem. ...

— Cicho! cicho! dosyć — odezwiała się wzruszona ... w miłość wierzę, w przyszłość nie. ... Matcebyłm ostatek dni zatruiła ... a jój winnam wszystko.

Wśród téj rozmowy przestraszyło nas dziwnym głosem nad uchem wyrzeczone — Dobry wieczór!

Juta zwróciła się blada ale spokojna — był to jój narzeczon, który od roboty się uwolniwszy spieszył do Wawerskich.

Spojrzałem na niego. Zmieszany był i przypatrywał mi się ciekawie, ze złe ukrywany gniewem. Jutta patrzała nań lekko, ruszając ramionami, wcale nie zakłopotana spotkaniem.

— Bądźże zdrów, poruczniku — odezwiała się, żegnając mnie skinieniem głowy, bądź zdrów ... a jeśli kiedy znów zdarzy się być w mieście, zajedź przecie starych znajomych odwiedzić. Przynajmniej od was się prawdy dowiemy o tych Prusakach, bo tu u nas Bóg wie, co płotą.

Michałek stał nadęty i kwaśny ... Jutta odstąpiła nieco a ja, ściągając cugle, skoczyłem na konia i popędziłem ku obozowi ...

Dwudziestego szóstego sierpnia nocą ledwie na siodle głowę złożył, by się cokolwiek przedrzemać, gdy mnie Kaźmierz, kucharz Naczelnika, przebudził. Sen miałem lekki, otrząsałem się tylko i poszedłem do namiotu Kościuszki. Siedział na swém twardém łóżeczku.

— Słuchaj, Syruć, rzekł — bierz konia ... jedź zaraz ku Marymontowi i Powązkom ... słyhać tam już strzały, dotrwaj do końca, opowiesz mi, co się stanie. Jeśliby — uchowaj Boże — złego się co przytrafiło ... pospiesz się prędzej.

Była godzina między trzecią a czwartą, gdy mi konia podano. Zaledwie się nieco odsadził dalej, spostrzegłem, że Prusacy silny atak przypuścili od Wawrzeszewa... Ruch ze strony naszej był już wielki. Strzelcy z Hadziewiczem i jazda z ks. Józefem tył usiłowali i bok Niemcom osaczyć... ale garść naszych strzelców była nie wielka, musieli się cofać.

Zbladłem widząc, że dwie baterie Prusacy opanowali, które ledwie trzy dały wystrzały; ks. Józef przy był za późno. Prusacy góry, na których były ustawione, znali dobrze, bo na nich one zostały zdobyte. Prawe nasze skrzydło cofało się... nie miałem nic już więcej do czynienia, tylko z powrotem spieszyć do Kościuszki...

Ale mnie tu z niefortunną uprzedzono wiadomością, dodając, że ks. Józef noc spędził w Warszawie u jednej z pięknych pań, których tyle się w nim na zabój kochało, i że opóźnienie jego było przyczyną straty... i, co gorzej, wpływu, jaki ona na ducha wojsk wywrzeć miała.

Trudno dójść, ile w tém prawdy było... to pewna, że ks. Józef bil się jak lew, gdy się znalazł na placu, i że został rannym, nie mniej jednak... jemu powierzone baterie polskie i pozycje zostały pierwsze zdobyte.

Jeśli kto tryumfował, to Zajączek, który „książętku“ pomódz nie myślał, który go nie cierpiał i cieszył się bodaj z utraty „gór szwedzkich“ a upokorzenia ks. Józefa.

Zajączek naówczas był najczerveniejszym republikaninem i w najściślejszych stosunkach z Kołłątajem przedstawiał w obozie jakubińską partję rewolucyjną; ks. Józef i Mokronoski byli zwani regalistami i dworskimi, Dąbrowski stał w środku pełniąc tylko obowiązki żołnierza — a Kościuszkę wszystko moderować musiał.

Właśnie mu to za złe miano, że się umiarkowanie trzymał, łagodził i jednał. Między nim a ks. Józefem nie było nigdy ani bardzo ścisłych stosunków, ani wielkiej harmonii i sympatii. Ks. Józef należał do szkoły tych mężnych, tęgich, wykształconych ale nie-

co arystokratycznie na świat patrzących wojaków, jakim był ks. de Ligne, najlepszy jego przyjaciel.

Obok brawury największej najszałamiejsza tężyzna i hulanka... wszystko to przyprawne dowcipem jak najlepszego tonu. Kościuszkę wyglądał, myślał i żył całę inaczej. U księcia Józefa dowcip i szyderstwo — uczucie honoru..... odwaga..... były sprężynami życia, — u Kościuszki ojczyzna, cnota, prawda, męstwo, powaga... Ks. Józef kochał się jak w XVIII wieku wszyscy panice, codzień w innej... Kościuszkę raz może w życiu i do śmierci. Obyczaj mieli inny, przekonania, humory.

Już w kampanii 1792, w której Kościuszkę był pod dowództwem ks. Józefa i nie zawsze się z nim godził, dały się czuć te różnice; w 1794 zacna i piękna dusza ks. Józefa poddała się dobrowolnie rozkazom Naczelnika, przyjęła obowiązki posłuszeństwa i ks. Józef bil się walecznie aż do tych nieszczęsnych gór... dwudziestego szóstego sierpnia.

Można sobie wystawić, jak wypotrzebować umiano to niezczęście, aby zasiać nowe ziarna nieporozumień. Zajączek był uszczęśliwiony.

W parę dni potem pomścił się Dąbrowski upokorzenia naszego... Od Powązek do Bielan nad Wisłą przypuścili znowu ze dniem atak Prusacy... na całą linię... Cała czynność wysiłek skoncentrowała się około tego domu Parysa, gdzie Prusacy dwa dni temu wzięli baterię polską około lasu powązkowskiego...

Dąbrowski, który objął komendę po chorym ks. Józefie, bronił tego klucza pozycji z zaciętością i chłodną krwią nadzwyczajną.

Na lasę powązkowski napadali Prusacy nie jeden raz, ale odparci od niego wracali, a myśmy też wysadzeni na chwilę, ścigali nasze sily, aby się koniecznie przy nim utrzymać... Gdy podpułkownik Mycielski, na którego z pięćkroć większą siłą napadli Prusacy, zmuszony był zwolna się cofać, Kościuszkę stal w pogotowiu z piechotą... Poprzedził nas Bronicki... my za nim.

Kościuszkę sam dowodził, pierwszy raz go widzia-

łem idącego w ogień... z taką chłodną krwią i powagą ale z taką energią, że lud wszystek za sobą ciągnął i byłby go na dziesięć razy silniejsze wojsko mógł pchnąć... Nieby go nie wstrzymało. Sukman-ka Naezelnika była talizmanem... żaden się już nie liczył z niebezpieczeństwem... wbiliśmy się w las z takim impetem, takim murem posuwając się niezłomnym, że Niemcy téjże prawie chwili, gdy się Kościuszek ukazał, złamani zostali... Przyczynił się do tego zwycięstwa i brygadyer Kołysko, który na ogień nieprzyjacielskiej artylerii nie zważając z boku wziął lewego Prusaków i pomógł nam ich odeprzeć...

■ Raz usadowiwszy się w powązkowskim lasku, jużemy go nie dali, ale nie skończyło się na opanowaniu, bo wnet piechota, kawaleria i kanonada rzęsiła nas tu spotkała... Walka wszczęła się zacięta i z obu stron z nadzwyczajnym uporem prowadzona... Kościuszek sam był na placu i z Dąbrowskim razem obronę dowodził... W istocie w gaiku tym rozstrzygały się losy Warszawy i pruskiego oblężenia... Utrata lasu spychała nas na okopy... Wojsko było niezmiernym ożywione duchem, więcej od tej szarży sukman-ki wodza... na którą oczy się wszystkich zwracały... Nie jestem w stanie ani opisać walki, ani dać o niej wyobrażenia... przeżyliśmy ten dzień w trwodze, czując, że on rozstrzyga o przyszłości...

Gęsta kanonada dnia tego i niezmierny ruch na linii całej sprowadził, co żyło, na okopy... roily się one ludem zbrojnym, kobietami... tłumem nie ciekawych ale spragnionych bitwy... Traugutt i Majewski kapitanowie munieypalnej gwardyi odznaczyli się ze swymi ludźmi... Ochotnika z Warszawy było mnóstwo... bieżącego tak w ogień jak na zabawę...

Obdarte, bosc chłopaki rzucali się na Prusaków z takim szaleństwem i zapamiętałością, że w kilku miejscach pobrali ich, działa pogwoździli i wozy poprowadzali. Przy armatach naszych większą część służby pełniło mieszczaństwo, któremu Górski pułkownik dał później świadectwo mężstwa i poświęcenia.

Mnie tego dnia parę razy kula świsnęła mimo uszów... z rana, we dnie zaś, mimo że rozkazy no-

sił przez najniebezpieczniejsze miejsca, które Prusacy ostrzeliwali, nie stało mi się nic; dopiero o pół do siódmej obłam jakiś nieszczęśny... trafił mnie znowu w to samo ramię... które już raz miałem strzaškane... Padłem z konia... i byłbym może dostał się do niewoli, gdyby nie ranny także Wiertelewicz dziesiętnik, który mi rękę podał i uprowadził ku okopom...

Nie omdlałem wprawdzie jak pierwszą razą, ale nierównie cięższego doznał bólu...

Kość była mocno stłuczona a dawna rana jakby odnowiona ogniem palila. Mimo to, dawszy tylko opatrzyć rękę felczerowi i znalazłszy konia z pod huzara pruskiego, siadłem, aby powrócić do Kościuszki... Gdy mni się meldował — odwrócił się, pokręcił głową i wskazał mi ręką na miasto.

— Jedź się wprzód wyliżać... a jak będziesz się miał, powracaj. Obędziemy się bez waszmości.

Mówił to tak żartobliwie jak miał zwyczaj, gdy mu humor dobry służył. Dobył z kieszeni zegarka a miał ich zawsze pod ręką kilka.

— Żebyś godziny nie chybił! rzekł... i ruszaj, boś mi potrzebny nie tylko na dziś.

Tak tedy odprawiony, pojechałem nazad do miasta... i dopiero w pół drogi przekonałem się, iż Naczelnik miał słusność, odsyłając mnie, bom z bólu ledwie na koniu mógł usiedzieć. Ręka straszliwie brzękła i mundur zdawał się pękać na nić. Dopadłszy z koniem do miasta, znalazłem szczęściem komu go zdać a sam rzuciłem się na wóz, który mnie na Miódową odwieść obiecał.

W mieście radość panowała wielka. Wiedzieli już wszyscy, że dzień to był zwycięzki, a zarazem przyszła wiadomość o powstaniu województw wielkopolskich, które nigdy bardziej w porę dla nas przyjść nie mogło.

Poznań, Kalisz, Gniezno, Łęczyca, Sieradz, Ziemia gostyńska i wieluńska, Kujawy — ruszyły się z okrzykiem „Żyć wolnymi albo umrzeć...“ Ludzie po ulicach, nieznajomi, spotykając się ściskali i płakali — ojczyzna w istocie zdawała się nareszcie wybawienia

blizką. Z tą dobrą wieścią pochwyconą na ulicy... wszedłem do domu, już dalej nie mogąc nad mieszkaniem Mańkiewiczów... gdzie na kanapę ległszy... omdlałem.

Oboje staruszkowie przeleżeli się niezmiernie a nieodstępny szambus wysłany został po felczera... Jejmość tymczasem starała się mnie ocucić, co łatwo przyszło, bom tylko ze znużenia i bólu na chwilę przytomność stracił... Gdy mundur rozcięto i rękę wydobyto, okazała się czarną i nabrzęktą, trzeba więc było co rychlej radzić... a że naówczas krwi puszczenie było niemal uniwersalnem lekarstwem, naprzód mi je żydek felcher zaadministrował.

Mańkiewicz stał nademną rękę założywszy w tył, zupełnie spokojny.

— Nie nie będzie — mówił — ja znam polską naturę... najgorzej w nogę... ręce u nas wszystko wytrzymują... wylizesz się, dziękuj Bogu, że ten czerrep ci o kilka cali dalej do głowy się nie dostał... Prawdziwy cud!

Musieliśmy choć chory rozpowiadać. Mańkiewicz płakał, sama Jejmość kiwała tylko głową. Staruszek był teraz szczególnie do łez łatwym, byle co go rozrzewniało. Jednakże szczęściu naszemu tego dnia nie bardzo mu się wierzyć chciało po straconych górach szwedzkich, które go napęłniły najczarniejszemi aprehensjami.

Jeszcze leżałem z obwiniętą ręką, gdy jednego ranka wszedł do mnie po wschodach rzadki gość, dziadunio, któremu drapać się wysoko przychodziło z największą trudnością. Otworzył drzwi śmiejąc się, tak rozpromieniony, szczęśliwy, jasny, że nie wiedział nawet, co się stać takiego mogło, coby go do tego stopnia rozradowało.

Čzytałem z jego twarzy... Łzy mu biegly z oczów, które ocierał najprostszym w świecie sposobem, od natury danym kułakiem, trząsł się, usta miał otwarte, ręce podniesione, a gdy nareszcie głos się dobył z pierśi, usłyszałem tylko:

— Gloria in excelsis Deo!
Podniosłem się na łokciu zdumiony.
— Cóż tam tak szczęśliwego? zawolałem.
— Zgadnij!
— Niepodobieństwo... wygrana bitwa...
— Gdzie tam, lepij...
— Nowe powstanie...
— Lepiej...
— Ale niechże dziadek mnie nie męczy...
— To ci powiem. — Cud się stał! — Prusacy
w nocy zabrawszy manatki poszli precz...
— To nie może być! krzyknąłem.
— Ale i ja nie wierzyłem, dodał dziadek... ano
patrz, czytaj — drukowano!! poprzybijano karty na
wszystkich rogach ulic.

To mówiąc dziadek mi podał kawałek szarą bi-
buły, na którym stało:

„To, czego się wszyscy roztropni patryoci spodzie-
wali a czego źle tylko myślący i skrycie niechętni oj-
czyźnie pojąć nie chcieli i nie życzyli — stało się. —
Wojsko pruskie, które z kilku tysiącami Moskalów
podstąpiło pod Warszawę i przez dwa miesiące stojąc
pod miastem koniecznie je opanować chciało w nocy
z dnia 5 na 6 bieżącego miesiąca, — z hańbą co-
fnęło się, wyrzuciwszy nadaremno krocie bomb i gra-
natów, nie spaliwszy jak kilka drewnianych domów
na przedmieściach i t. d. i t. d.“

Czytałem a dziadek płakał...

Wiadomość ta poskutkowała tak — zemdlałem tego
dnia cyrulikowi gwałtem prawie wydarł, aby wyjść na
miasto...

Boć warto było zobaczyć tę powszechną radość —
niestety! tak krótko trwać mającą... Biegli wszyscy
opuszczone obozowisko oglądać.

Gdy wyszedł o kiju na ulicę, bo i noga z tej
strony, na którą padłem, ugniecioną była znacznie
przez konia, w głowie mi się z razu zawracało...
wprędce jednak ośwoiłem się z powietrzem i nauczy-
łem chodzić jako tako.

Same mnie, mogę powiedzieć, nogi poniosły tam,
gdzie były myśli moje. Nie miałem zamiaru iść do

Wawerskich, ale około ich domu przejść tylko chciałem i ku niemu spojrzeć...

Mimowolnie, doszedłszy tu, oczy zwróciłem ku oknu, w którym Jutta bardzo rzadko siadywała; anim miał nadzieję ją zobaczyć... Nim głowę podniosłem, usłyszałem już brzęk otwierającego się okna... czarno cała ubrana Jutta stała w niem, ręce ku mnie wyciągając.

Stałem wryty.

Chwilę trwała niepewność... Jutta znikła z okna... Już miałem iść dalej — gdym ją w bramie zobaczył...

Chodziłem jeszcze dosyć powoli, powłókiem się jednak o kiju, jak umiałem najspieszniej. Ręce trzymała złożone jak do modlitwy i patrzała na mój chód kaleki i na wybladłą twarz moją. Ja także wpatrzywałem w ten czarny ubiór jój, u którego teraz dopiero zobaczyłem biały pas żałoby... Nie potrzebo wałem jój pytać, domysleć się było łatwo, że stara Wawerska umarła.

Tak było w istocie, w czasie, gdym ja chory leżał, ona matkę pogrzebała...

Zbliżyłem się do niej usiłując zmusić do jakiegoś uśmiechu.

— Co wam było?... ranni jesteście!... — zawołała...

— A! a wy w żałobie! matka...

— Tak! straciłam dobrą, ukochaną matkę moją — odezwała się po cichu... tak mój poruczniku... ale cóż wam?

— O! już nie!... już dobrze, gdy was widzieć mogę...

— Nie wnikajcie na wschody? — spytała trwożliwie — drugie piętro... i ja — nie śmiem was prosić — sama jestem...

Spuściła oczy — milczeliśmy...

Oparłem się o drzwi, patrzyłem na nią, biedniejszą, bledszą wydawała mi się niż kiedykolwiek, niż ostatnią nawet razą.

Nie śmiałem jój o nic pytać...

Zawahała się nieco, obejrzała trwożliwie — i szepnęła mi:

— Idźcie, jeśli możecie... siadźcie gdzie na ławce w Saskim ogrodzie... ja przyjdę — potrzebuję mówić z wami...

W tej chwili znikła mi z oczów — poszedłem. — W głowie mi się plątało... Matka umarła, Juta nie była zamężną — mogła więc uwolnić się od natrętnego tego konkurenta, mogła być moją.

Nie śmiałem wierzyć szczęściu mojemu. Serce mi biło... szedłem... Unikałem szczęśliwie znajomych i natrętów i obrawszy sobie ławkę w bocznej alei siadłem. Ogród Saski jak zawsze tak i teraz był pełnym. Główne ulice, cukiernia, altany roily się tłumem, wśród którego słychać było wesołe śmiechy i wykrzykniki... Chłopcy sprzedawali gazety z opisem ustąpienia Prusaków... wojskowi, cywilni, mieszczanie opowiadali sobie przygody swoje i bohaterskie czyny małych ludzi, którzy jutro zapomnianymi być mieli...

Zamyślony wśluchiwałem się w ten szmer... gdy szelest sukni i widok czarnej postaci z bladą twarzą rozbudził mnie. Juta usiadła przy mnie. Długo odpoczywała, nim mogła się odezwać...

— Znowu byliście ranni!... w tę samą rękę!... a noga?

— To nic, wszystko przeszło — jestem lepiej... mówcie mi o sobie...

— Cóż ja wam powiem — jęknęła — wiecie wszystko — albo raczej powinniście się domysleć... Matka moja umierała przytomnie... Na łożu śmierci żądała odemnie słowa, że pójdę za tego, kogo ona dla mnie wybrała... pobłogosławiła nas klęczących u jej łóżka na godzinę przed zgonem... Wiesz wszystko... Zawołała świadków, kazała zamienić pierścionki — wolną jestem i związaną. Jak tylko zrzucę żałobę... włożę kajdany...

Zaczęła płakać cicho... — To przeznaczenie moje...

Ze szczęścia, o którym marzyłem, padłem w przepaść — nie mogłem odezwać się ani słowem... cóżem miał powiedzieć? boleć nad nieuniknionem, czy namawiać do krzywoprzysięstwa?... Spozregła Juta

ten stan mój i podała mi rękę z jakąś nagle wydobytą z siebie odwagą...

— Potrzeba mieć mężstwo, gdzie nad nie innego nie ma ratunku... Życie krótkie — niech pocziwie przywiązanie braterskie nam starczy. Tego nam ani ludzie ani Bóg zabronić nie mogą.

— Bóg, rzekłem, to prawda, ale ludzie, co go nie znają, co w nie nie wierzą, wzbronią nam lub je oczernią... Rozstać się więc potrzeba...

— Mogłażem inaczej postąpić! zawołała, struść ostatnią godzinę biednej matce, żeby sobie szczęście zgotować? Byłoby to szczęście, gdybym musiała przypominać sobie tę godzinę... Pierwój byłam dziećciem jój niż... serce moje przemówiło... niż — dziś to powiedzieć mogę, niżej was pokochała... Miłość jest rzeczą świętą, — okrutną i samolubną być nie może, stałaby się — dziką...

Myśleć o sobie któż broni — los może kiedy mi dozwoli zobaczyć was jeszcze... Pomileczawszy trochę, poczęła żywo i gorączkowo...

— O! wiecie, musiałam sobie wcześniej całą moją przyszłość obmyśleć... Ten człowiek kocha mnie, ale on nigdy nie zmieni się, nie będzie kim innym jak jest... ja mogę wiele zapomnieć, muszę nawet — i po latach... latach może wielu... stanę się taką jak on... aby mu być równą... Zajmę się tém, przy czém myśl nie potrzebna, książki w piec wrzucę oprócz pobożnych, będę żoną rzemieślnika... zapomnę... wszystko zapomnę...

— I o mnie... szepnąłem...

— Nie — rzekła — nie zapomnę o was — tylko jak najmniej myśleć będę, bom przekonana... to śmieszność — że myśl obudza pokrewną drugą, że tęsknota o sto mil wywołuje tęsknotę... że o was rozmyślając zmuszałabym was myśleć o mnie... a wam to niepotrzebne...

Chciała wstać... wstrzymałem ją...

Nie mogę, nie umiem ani się godzi, abym wam opisywał rozmowę naszą... Są słowa, które na zinnno wydają się śmieszne, jak są potrawy, które chłodne stają się niesmaczne — sądzę, że ta nasza przerywana

rozmowa wieczorna na ławce w Saskim ogrodzie, gdybym ja spał, gdybym powtórzył, stałaby się dla was potworną, dziecinną, dziwaczną, niezrozumiałą...

Wstawaliśmy i żegnaliśmy się kilka razy, ona wstrzymywała lub ja i siadaliśmy znowu i ciemno się zrobiło, gdy naresze podała mi rękę, nie chcąc, ażebym ją odprowadzał, ale sama żądając przejść ze mną do bramy domku Karasia...

W tej godzinie życia ostatniej powiedzieliśmy sobie więcej niż w całym tym roku... Spieszno nam było wypowiadać się przed sobą, jakbyśmy przeczuwali, że już się nie zobaczymy więcej. — Juta żądała odemnie, bym jej nie szukał...

— Zostawmy losowi przyszłość, nie czynmy nic sami, rzekła — poddajmy się przeznaczeniu — niech ono rozstrzyga... W tych słowach był jeszcze cień nadziei... schwyłem jej rękę i ucałowałem ją nie mogąc ust oderwać, z lekka przyłożyła chłodne wargi do mego czoła i uciekła...

Zapewne z osłabienia i przechadzki dostałem mdłości, bo mnie stróż znalazł osuniętym na bruk w furtce... i bezprzytomnym... Z pomocą felerera zaniesiono mnie na górę.

Po tych dniach tryumfu i wesela mieliśmy już być świadkami najstraszniejszego upadku i upokorzenia, które stokroć się nam sroższymi wydały po odpoczynku i swobodzie. — Warszawa radowała się jeszcze i rozlegała śpiewami patryotycznymi, gdy już nad nią zbierała się burza. Nie wszystkich oczom była ona widomą, dla większej części skrytą; bystrzejsze umysły przewidywały wszakże klęski, jakie nam groziły...

Stazany na pobyt w Warszawie, słaby po odniesionej ranie, byłem zarazem zmuszony mimowolnie śledzić każdą pulsacyą jej życia i odczuwać z nią wszystko, co ją dotykało.

Kilkanaście dni po odejściu Prusaków, którzy swych rannych po drodze rzucali a mścili się doznanej klęski rabunkiem nieszczęśliwego kraju, siły moskiewskie, jak gdyby tylko oczekiwały na odstąpienie

króla Wilhelma, zbliżać się i osaczać nas poczęły.

W stolicy jeszcześmy byli pełni nadziei, Kościuszko część sił uwolnionych teraz porozsyłał w różnych kierunkach, rachując na to, iż one wywołają i podeprą nowe ruchy na prowincyi. Rozumna ta czy mylna rachuba dała znać powód malkontentom, podżeganym niewidomemi siły, do sarkania przeciw naczelnemu wodzowi. Zarzucano mu też uwolnienie od wyroku na śmierć skazującego biskupa Skarszewskiego, za którym król, Zakrzewski i nuncyusz papieżki wstawiali się mocno. Kościuszki serce i charakter brzydził się niepotrzebnemi okrucieństwami, choć z drugiej strony usilnie nań nalegano, aby dał przykład surowości. Z łatwością skłonił się do złagodzenia kary.

Wkrótce potem, nie wiele wiedząc o wszystkiem, co pod powierzchnią wrzało i gotowało się, spotkałem w ulicy generała Zajęczka. Uchodził on wówczas z jednego z najgorliwszych patriotów, służyłem pod jego komendą, byłem mu osobiście znanym... mógł nie wiedzieć o moich usposobieniach a zbierał wówczas prozelitów; przywitawszy się więc ze mną i popatrzywszy na mnie, spytał, co tu robię.

— Leczę moją kontuzję, rzekłem, która mi srożej dokucza od rany; muszę jeszcze czas jakiś próżnować, czas mi się dłuży, radbym co najrychlej móż znowu być w polu.

— E! rzekł, w Warszawie też, kto chce, ma się czém zająć. Czemuż to waćpana nie widać nigdzie tam, gdzie się patrioci zbierają? Toby cię i rozzerwało i nauczyło... że i tu i z chorą ręką użytecznym być można.

Nie dobrze zrozumiałem go. Jeneral znał mnie tylko z pola bitwy jako zapalonego żołnierza.

— Trzeba trochę wejść między ludzi, rozsluchać się, zapoznać... dodał.

Milezałem.

— Wiem, że z was patriota gorący, Kiliński mi o nim wspominał. Jest tu nas przecie garść, każyły ma co robić... hm! mam ochotę i waćpana zwerbować....

— Gdybyin na co się zdał, bardzo chętnie, panie jenerale.

— A no, podał mi rękę — to dobrze, przyjdź się naprzód rozśluć. Schodzimy się dla porad z wojskowymi i mieszczanami niemal codzień w refektarzu u Kapucynów. Nie ma tam kart wniścia, zameldujcie się odemnie na ósmą wieczorną, to was wpuszczą. Rozumie się — rzekł po chwili, kręcąc wąsa, że o tém się ani przed babami nie papie, ani na ulicy nie rozpowiada....

— Z babami stósunków nie mam a w ogóle wielomówny nie jestem, odpowiedziałem.

— Tak się spodziewam, -- dokończył jenerał.... Przyjdź się rozśluć.

Nie miałem najmniejszego wyobrażenia, coby to tam za narady mogły być u Kapucynów, ale ciekawość miłe wiodła, tegoż samego więc wieczora wybrałem się na Miodową. Furtę znalazłem otwartą, bracieczek mnie tylko wstrzymał pytaniem, dokąd chcę.... Powiedziałem, że mnie tu posłał jenerał Zajączek.... wskazał mi więc miłcząco drzwi do refektarza.

Wszystkie kapucyńskie są do siebie podobne: ogromny piec, który górne cele ogrzewa, lawy i stoły, drewniany krucyfiks, kilka lichtarzy rozsianych po sali — i w pół mroku kilkanaście osób w kupki pozbieranych.... oto był obraz, jaki ciekawym oczom się moim przedstawił. Wśród zgromadzonych znalazłem już jenerała rozprawiającego po cichu z parą nieznanymi osobami.

Wszyscy zresztą byli mi nieznani, oprócz jednego towarzysza broni, z którym zabrałem znajomość w obozie. Był to niejaki Strzelbicki. Z tyneśmy jako oba nowicyusze poszli do kąta, czekając, ażby się narady rozpoczęły głośniejsze. Od Strzelbickiego dowiedziałem się, że dopiero po raz trzeci tu przychodził, a gdy go spytał o szczegóły i zajęcie zebrania, rzekł mi kwaśno: — Posłuchacie — osądzicie.

W pół godziny wtoczył się żywo, na kiju opierając, otyły dosyć człeczek z żywemi czarnetmi oczyną, któremu wszyscy zaraz miejsce zrobili. Obejrzał się niespokojnie do koła, kilka razy rękę do czoła przyło-

żył, aby twarzom się lepić przypatrzeć, i zajął miejsce w krześle, które mu bracišek kapucyński nagotował. Był to ks. ex-podkancclerzy Kołłataj.

Wiele o nim słyszałem wprzód i, gdy mi inni to Strzelbicki powiedział, jałem mu się pilno przypatrywać. Twarz była niezmiernie życia pełna, acz zmęczona i jakby nalana. Oczy wypukłe patrzyły bystrym pojęciem, wyraz ust ruchliwych nie był sympatyczny, czoło za to bystrą zdradzało inteligencyą...

Całość twarzy mogła się nie podobać, nie obudzić pociągu ku sobie — ale nie można jej było obojętnym wzrokiem pominąć.

Gdy się obejrzał po przytomnych, poczał zaraz głośno mówić.

— Twoje tedy zdanie, jenerale — zawolał — położenie kraju nie pozwala nam sobie słodkich pochlebstw prawić — przedewszystkiem prawdy trzeba i rozumu... Kto myśl dziś zbawienną tai, ten zdradza...

— Jam téż z moją nigdy się nie krył — odparł Zajęczek. — Niech drudzy ludzją się sobie gładkimi nadziejami — ja rzeczy widzę czarno i nie taję... Naczelnik jest człowiek zacny i czysty, ale zdolności jego nie odpowiadają stanowisku... Kokietuje króla, zdrajców, chce być ze wszystkimi dobrze... a tu surowości potrzeba, surowości nieubłaganej, jakiej nam przykłady stawia Francya.

Kościuszkę nas pobłażaniem swém, wahaniem się, umiarkowaniem zgubi...

Jako żołnierz mam mu za złe, że siły swe rozdrabnia i rozprasza... gdy je skupiać należy i gromadzić.

— Święte słowa! — przerwał Kołłataj — daremnie wpłynąć chciałem na niego... Człek słaby — powiem otwarcie, ograniczony... tam tacy Linowscy, Zakrzewscy, Niemcewicze... znajdują powolne ucho — my nie... ja nie... i ojczyzna zginie dla braku energii!

Słuchałem wyrazów tych z mojego kąta osłupiału Odezwąć się naówczas przeciwko Kościuszcze — tem ulubieńcowi narodu, i to w chwili, gdy okrył się sławą, heroiczną obroną Warszawy, było czémś tak zu

chwałém, tak niesłychaném, żem zdrętwiał... Strzelbicki tracił mnie łokciem, spojrzał na mnie.

Tymczasem wystąpił ks. Majer.

Sławny on był i znany mi dobrze jeszcze z przygotowań do kwietniowego powstania. Słusznego wzrostu, żółty, z nieogoloną brodą, w sutannie obcistej, z wydętym nieco brzuchem i długimi rękami, śmiałego wyrazu twarzy, zażywał tabakę słuchając Kołłątaja, pociągnął mocno, strzepnął rękę i podniósłszy ją prosił o głos.

Dano mu go zaraz.

— Prawdziwi patryoci nie potrzebują żadnego mandatu — rzekł — aby ratować ojczyznę. Gdy zdrowsze umysły złe widzą, powinny radzić na nie.

Na mdłe środeczki i łagodzące balsamy tu nie pora... suche gałęzie walić toporem, aby żywym słońca nie zasłaniały... Wody nie warzyny, słów nie marnujemy, do czynu dążmy...

Dowódzca nieudolny — precz z nim... król nam zawadza, pozbyć się go... arystokraci nam brózdzą, przecie drzewa na szubienice jest dosyć...

Zdrajców wywieszać, łajdakom gębę zamalować, oddać ster rzeczypospolitej w silne dłonie... Ot co jest do zrobienia. Mamy się wahać...

-Kołłątaj zaczął pod koniec mowy tej ręką trząść i śmiał się.

— Stój, księżuniu... na miłość Boga, te rzeczy się wśród ulicy nie głoszą...

— Nie jesteśmy w rynku — odparł Majer.

— Jak prawie — szepnął Kołłątaj oglądając się.

— Nego majorem, ja Majer! — rozśmiał się ksiądz — na ulicy, w ryku, w kościele, trzeba te rzeczy prawić, aby ludowi oczy otworzyć, aby zdrowe zasady propagować. We trzech ani we czterech nie докаżemy tego... a tu należy rewolucyą zrobić w rewolucyi.

Raz z tymi, z pozwoleniem, parszywymi owcami skończyć a stado ocalimy.

Zajaczek się obejrzał ruszając ramionami.

— Za gorąco mówi zacny nasz ks. Majer — ale prawdę. Rewolucya z komplementami...

— *Contradictio in adjecto!* zawołał ksiądz Majer — sensu nie ma... To mi rewolucya, jaką widzimy w Paryżu, Robespierra rozumiem... Kościuszkę jest mdły... mdły... z niego nie będzie nic.

We mnie się burzyło wszystko słuchając, alem milczał. Odezwał się jeszcze jeden, którego mi mój towarzysz nazwał Taszyckim, i dowodził, ile Kościuszkę popełnił błędów... Tu stuknąwszy o poręcz krzesła Kollątaj, okiem obiegłszy zgromadzenie — począł:

— Ani słowa, nikt pocziwego, romansowego, czułego i sentymentalnego Kościuszki lepiej nie zna odemnie... Wszetko prawda, co mówicie... a pomimo to... tak, jakby sobie radził ks. Majer i Taszycki, pogorszyłoby tylko sprawę...

Est modus in rebus, — modus, panowie, modus często więcej znaczy niż sama res... Łatwo obalić Kościuszkę, który jest bożyszczem narodu, za służenie czy nie, a co na jego miejscu postawicie? za kim tak pójdą? w kogo tak uwierzą? Ks. Majera zna ulica, bo się z kowalami pod szubienicą całował...

— Nie przeczę — zawołał ks. Majer, gloryfikuję się tém...

— Zajączka znamy w kółku naszym, ba i w szerszych kółkach... ale takiego imienia jak Kościuszkę wyrobić sobie nie umiał... mnie więcej ludzi nienawidzi niż wierzy... Słowem... obalić go łatwo, zastąpić niepodobna...

— Oh! oh! począł Majer... hyperbole!

— Prawda chłodna, zawołał Kollątaj... *Modus in rebus* byłby dal mu inne otoczenie, innych ludzi do boku, radę inną... Staralem się o to... i sądzę, iż przynajmniej do czasu starać się o to należy, póki dla narodu nie ulepiemy drugiego bożyszczaka takiego, w którego mógł uwierzyć...

Zajączek głowę obracał widocznie nieukontentowany...

— Wszetko dla ludu, ale przez lud nie wiele czynić można, chyba nim umiejętna dłoń kieruje... Ks. Kollątaj zbyt chce ulegać i schlebiać ludu fantazyom, a tu go należy prowadzić... natchnąć, wpoić mu, wmówić, co trzeba, bo my zań rozum mieć musi-

my, to darmo! Nim się drugie bożyszcze ulepi, kraj zginie, chwili nie ma do stracenia...

Rewolucya ma swe prawa.

— Dobrze mówi! potwierdził ks. Majer — smutna to rzecz ale pierwszy obowiązek pozbyć się tego, co szkodzi... Zdrajców nie żywić i tych, co ich oszczędzają, nie cierpieć... *Salus reipublicae suprema lex.*

Kołłataj niby przekonany zmilczał.

— Nie zaprzeczam wysokich cnót i pewnych zdolności Naczelnikowi, dorzucił Zajączek, inżynier z niego dobry, na naczelnego wodza energii za mało. Nie jest to człowiek rewolucyi, choć dobry generał. Tu trzeba na czele wojskowego razem i męża stanu... inaczej, oszczędzając, łagodząc, pieszcząc się — zginiemy...

Zmilczano, we mnie kipsało...

— Na to się wszysej godzimy — odezwał się po przerwaniu ex-podkanclerzy, iż jest źle — nie ma tylko zgody, jak radzić na to...

— Dwóch dróg, odparł Taszycki, nie widzę... jest jedna: trzeba obalić, co złe, a dobre w jego miejscu postawić. Dyktatury potrzeba w silnych dłoniach... To nie zabawka... tu idzie o życie...

Prusacy ustąpili, lecz wielkopolskie powstanie padnie, z drugiej strony ciągną Moskale siłą znaczną... Warszawie zagraża głód, dowozy są wstrzymane... pieniędzy brak... a partya króla i dworska coraz śmielej podnosi głowę. Co jest jeszcze niedowieszanych zdrajców, spiskuje... co bogatsze i mogłoby służyć ojczyźnie, pouciekało za granicę... duch upada... nie robimy nic...

Nieznajomy człek wyszedł z kupki na boku i pocał cichym głosem:

— Z Kościuszką przecież rozmówić się można... i powiedzieć mu... co ma czy nie...

— Nie posłucha — przerwał Kołłataj... słaby dla złych a w słabości swój uparty... co chwila mi grozi, że wszystko rzuci i ustąpi... Co poczniemy...

— Hm — odparł Zajączek — gdyby to uczynił, moglibyśmy się może obyć bez niego...

Stuchaliśmy ze Strzelbickim, niemi oba; uważałem,

że Zajączek wiele razy oglądał się ku mnie, jakby śle-
dził wrażeń z mej twarzy... Nie wiedziałem zaprawdę,
co czynić, lecz cześć moja dla Kościuszki i pojęcia, ja-
kie miałem o sprawie narodowej — wstrętnymi czy-
niły mi te mowy, byłem zgorszony i oburzony. Czu-
łem, że wpadł wśród ludzi, którzy zamach knuli, mo-
że w najlepszym zamiarze, ale zbrodniczy i nieochybnie
najszkodliwszy, bo ohydny a ocalić nas nie mogący.

W naturze naszej naówczas mnić było namiętnych
i dzikich rewolucyjnych żywiołów, niżeli później wy-
rosło — można było lud zburzyć i na chwilę i chęć
zemsty w nim obudzić, lecz pragnienia krwi i okru-
cieństwa nikt mu wszczepić nie był zdolny. Zdolniejsi
byliśmy zostać ofiarami niż mistrzami. Wszyscy ci,
co chcieli Polskę zbawiać naśladownictwem Francyi,
ślepi byli na różnicę charakteru i położenia.

Teroryzm u nas mógł na chwilę przerazić, naza-
jutrz byłby oburzył i zniechęcił. Nie mieliśmy mate-
ryałów czynnych ani biernych do niego.

Na pół już tylko słuchając narad i rozpraw dłu-
gich i krytyki rozporządzeń wojennych Naczelnika,
dumałem, co począć dalej.

Wypadek dał mi wpaść na wątek spisku prze-
ciwko Kościuszce, jeżeli jeszcze nie zupełnie zorgani-
zowanego, to już się zawiązującego... ważyłem się
z sumieniem mojem, co mam czynić. Ani zdradzić
tych, co mi zaufali, nie godziło mi się, ani milezieniem
zbyć zarzutów, czynionych Kościuszce.

Po Zajączku mówił znowu Taszycki, na ostatek
Kołtataj.

— Com powiadał Wam — odezwał się, to po-
wtarzam, nikt lepiej nie zna pocziwego ale nieudol-
nego pana Tadeusza odemnie... Niezliczone popeł-
nił błędy, panuje nad nim, kto chce... prowadzi
go na pasku... Wielhorscy, ks. Józef, Mokronoski,
ci u niego najwięcej miru mają... ja, Zajączek...
i całe nasze gorętsze stronnictwo podaniśmy w ohy-
dę. — Cóż robić? musimy do czasu cierpieć....

Znowu ks. Majer począł gwałtownie nalegać, że
czasu tracić się nie godziło... że on był najdroższym

— aż wyrwał się oficerzyna nieznany z za stołu... i poczał bluźnić przeciwko Kościuszcze.

— Ani wódz, ani mąż stanu — rzekł, a do tego słaby i uparty... precz z nim! i z całą tą kliką... innych nam ludzi potrzeba...

Nie mogąc dotrwać dłużej... chwycilem się z za stołu...

— Jeśli mi wolno przemówić?... spytałem Zajączka...

— I owszem, dla czegoż nie — rzekł generał.

Wszystkich oczy zwróciły się ku mninie, widziałem, jak jedni drugich pytali, kto byłem.

Bilo mi serce... przemogłem obawę i wstyd, jakich każdy doświadcza, mówiący po raz pierwszy w liczniejszém zgromadzeniu.

— Nie mam może prawa ani z wieku ani z położenia odzywać się ze zdaniem mojem, rzekłem — trudno mi jednak powściągnąć uczucie moje. Z całym narodem podzielam cześć i uwielbienie dla Naczelnika. W jego osobie dziś naród cały, bo nikt nad niego nie ma większego zaufania, większej siły i potęgi. Któż go zastąpić potrafi?...

Gdyby geniuszu nie miał nawet, nagrodzi go w nim cnota i prawość...

Łatwo jest przyganiać mu, lecz któżby na jego miejscu zwyciężył pod Raclawicami, Szczekocinami i tu pod Warszawą, za kimby poszły tłumy...

Jego imię więcej znaczy niż armia... Kościuszko jest tém właśnie mężem stanu, iż namiętnością, zemstą, surowością owładnąć się nie daje. Umiarkowanym być musi. Przecież nie zaprzeczył sądowi na zdrajców... a że samowola go oburzała, toż nigdy jak czasu rewolucyi karność potrzebna. Nie bronię ja złych... ale oni, choćby przebaczenie otrzymali, szkodliwymi być nie mogą... krwią się zmazując nie podźwigniemy.

Mówilem z zapalem, lecz znać nie dosyć silnych użyłem argumentów, bym przytomnych mógł nie tylko przekonać — lecz zachwiać... Ruszano ramionami, Zajączek się krzywił, Kollataj niecierpliwie rzucał... inni sykali, nakoniec ks. Majer zażywszy tabaki zwró-

cił się do mnie i pedagogicznym ruchem ręki mi przerwał. . . .

— Dosyć, panie oficerze... et caetera, et caetera... znane rzeczy, argumenta i dokumenta... nie trudźcie się. — Po oóżeście tu przyszli, jeśli wam się zda, że rzeczy idą dobrze. Zdrowy do apteki nie powinien zaglądać. — Zajączek się odezwał:

— Wcalem sobie inaczéj wnosił po pańskim patryotyzmie — rzekł.

— Ja mój patryotyzm dziś, odezwałem się, zasadam na posłuszeństwie i gotowości poświęcenia życia.

Myślałem, że będziemy radzili, zkąd wziąć pieniędzy, butów i mundurów dla wojska, broni dla ochotników... ale bunt podnosić...

— Co za bunt? ofuknął Zajączek — w wolnym narodzie każdy obywatel ma prawo sądzić czynności mandataryuszów swoich; Kościuszko jest przecie niezém inném jak mandataryuszem naszym...

Wyszedłem z za stołu powoli:

— Zdaje mi się, że ja tu niepotrzebny — odezwałem się.

Oficerzyna nieznajomy, który mówił niedawno zapalezywie a nie do rzeczy — znać na skinienie Zajączka czy kogo innego — porwał mnie za rękę...

— Za pozwoleniem, rzekł groźnie — iść sobie asin-dziej możesz, kiedy mu republikańska wolność śmierdzi, ale pamiętać powinienś, że to tu jak w szkole... choćby cię pieczono i smażyono w smole...

Uśmiechnąłem się wzgardliwie.

— Nikt mnie do sekretu nie zobowiązywał — odparłem.

— Ale ja szanownemu koledze mam honor oznajmić — dodał oficerzyna, że, jak mi słówko piśniesz o dzisiejszym wieczorku... kulą w łeb.

— Mości kolego — zawołałem — ja téż pono strzelać umiem...

Spojrzelśmy po sobie z gniewem, który ledwie pohamowałem...

— Cicho! dosyć! sza! — rzekł Zajączek — pana Syrucia znam... honorowi jego wierzę, daj waépan pokój pogroźkom...

Skłoniłem się i ruszyłem do drzwi.

Strzelbicki nie mówiąc nie poszedł za mną. Ledwie się za nami drzwi od refektarza zamknęły, usłyszeliśmy w nim straszny hałas i żywą kłótnię... a nim doszliśmy do furty, oficerzyna wybiegł w chęci znać dogonienia mnie... Rozpędził się tak, iż ledwie się mógł powstrzymać.

— Panie Syruc — zawołał — albo mi dasz tu najświętsze słowo, że milczeć będziesz, lub... będę zmuszony...

— Do czego pan będziesz zmuszony? — zapytałem.

— Kulka nie minie! kulka! — zawołał spiesznie... strzelam jaskółki, to i lisa trafię.

— Nie byłem nigdy porywczym, dodałem z powagą, — ani sądzę, żeby lis był bardzo w świetle zwierząt niegodziwą figurą — ale są takie chwile w życiu, że człowiek się rozpali, rozmacha i nie wie, co robi...

Dałem oficerzynie w twarz...

Strzelbicki, gdy się na mnie chciał rzucić, odepchnął go, do muru przyparł i przytrzymał a był silny bardzo.

— Ty... łotrze jakiś... krzychał oficer — jutro na plac... jutro do dnia...

— Dziś, kiedy chcesz, rzekłem — służę...

Odstąpiłem parę kroków — Strzelbicki umówił się o miejsce... wyszliśmy.

Ochłongłem na świeżem powietrzu, a było nieco wieczorem zimno.

— Spodziewam się, rzekłem do Strzelbickiego, żeś się o nazwisko spytał?

— Nazywa się Miller — odparł mój towarzysz, a no Millerów, Szulców, Sznajdrów, Majerów i Szmitów tylu u nas jest, że tak samo, jakby nazwiska nie dał żadnego...

Gdzie służył? jaki miał mundur? nie rozpatrzyliśmy się tak bardzo. Potrzebowałem przecież wiedzieć, z kim się bić będę, a że ów Miller miał na skroni znamię czerwone, które włosami nieco przykrywał —

spodziewałem się po nim przynajmniej coś się dopytać...

Poszliśmy ze Strzelbickim na ratusz, spodziewając się tam kogoś znaleźć i dostać języka... Niemal w progu jak na szczęście trafił się serdeczny pułkownik Kiliński.

Zatrzymałem go, bo pamięć miał wielką i ludzi znał bez liku.

— Mam awanturę, kochany pułkowniku, odezwałem się, najgorsza rzecz, że człeka tego nie znam. — Nosi jakiś mundur a zowie się Miller.. nie powiecie wy mi co o nim?

Kiliński wesa kręcił milczący.

— Otóż to tak — mruknął po chwili — pewnie awantura o dziewczynę, bo to wy wszyscy tacy! Ojczyzna ginie a wy smalcie cholewki.

— Jako żywo!

— A o cóż poszło?

Strzelbicki wtrącił, że musiał być napiły i nie do rzeczy plótł.

— Miller! — rzekł Kiliński — znam szewca Millera, znam krawca Millera, jest kowal Miller na Solcu... djabeł go wie...

— Ale wojskowego, wojskowego — wtrąciłem... ze znamieniem czerwonym na skroni...

— Eh! eh! mały człeczyna! nie poczęsny! kosmykiem plamę zasłania... No! no! to ten Miller...

— Nie inny, rzekłem.

— Tego to dawno należało powiesić — odezwał się Kiliński — mam go za moskiewskiego szpiega... podejrzana figura...

— To nie może być! przerwałem... znaleźliśmy go w towarzystwie bardzo patryotycznym.

— No to co? rzekł Kiliński, wahał... ja ich znam... wahał. Jeżeli to ten Miller, co myślę, możecie iść spać spokojnie, jutro dmuchnie a nie wyjdzie... Miał już nie jedną awanturę, po każdej nurka dawał... Strzelać się nie sędzę, żeby chciał... a no... po nocach chodząc trzeba być ostrożnym. Z za węgla może poczęstować...

Zdało się nam obu, że pan pułkownik przesadzał...

Strzelbicki mnie odprowadził do domu i zanocewał u mnie. O świcie byliśmy na Bielanach w umówioném miejscu, czekaliśmy do godziny jedenastej, ostrzelali plac i powrócili. Millera ani znaku...

W mieście téż dowiedzieć się o niego nigdzie nie było podobna... Naśmialiśmy się nazajutrz tylko i na tém się skończyło.

Tak mi czas schodził w Warszawie... Z każdym dniem jednak mimo patryotycznego ducha czuć było mocniej, że wysiłek całego narodu ledwie podola obrotom rozpaczliwój. — Położenie stolicy z każdym dniem było trudniejszém; w istocie, jeśli nie głód, bo tego nie doznaliśmy, to wielki niedostatek żywności czuć się dawał. Dowóz był niedostateczny... Lazarety pełne chorych, ochotnik z lichą bronią, brak amunicji, brak grosza... czuli wszyscy. Papierki kursujące nie wzbudzały wielkiego zaufania, choć się na nich pisał Kościuszko. Płynęły wprawdzie ofiary, które dzienniki ogłaszały, lecz te na ogromne potrzeby wojsk starczyć nie mogły; Kościuszko zmuszony był zezwolić na zasekwestrowanie depozytowych sum i kosztowności... Musiano powołać ludzi po jednemu z dymów dziecięciu...

Dla obudzenia ostygającego ducha Bogusławskiemu oddano teatr, zalecając, by patryotycznymi sztukami starał się go utrzymywać. — Po kościołach mieszczanie i duchowieństwo paradnymi nabożeństwami za poległych przypominali obowiązki względem kraju. — Wszystko to nadaremne było przy jego wycieńczeniu, znużeniu i wyczerpujących ofiarach, jakie zeń wojska obce wycisnęły...

Niepokój zaczynał owładać Warszawą. Nie mięszałem się już do żadnych narad, lecz mógłem bodaj ulicą przechodząc widzieć — jak lud się trwożył i upadał... i jak w miarę tego zamek i partya królewska nieznacznie wprawdzie głowę podnosiła i wpływ odzyskiwała.

Kościuszko się wcale nie połazywał w Warszawie; raz podobno ulicami przejechał i trzymał się obozu swego pod Mokotowem, z kądem czynił po cichu wycieczki.

Wiedzieliśmy wszyscy, iż Fersen i Suworow kroczą ku Warszawie, aleśmy mieli nadzieję, że ich nasze wojska, wysłane przez Naczelnika powstrzymać potrafią. . . .

W pierwszych dniach października, chociaż jeszcze z trudnością chodzić mogłem i rękę miałem bezwładną, pojechałem do Kościuszki do Mokotowa, aby się wprosić do czynniejszej jakiej służby.

Uderzyła mnie nowa zmiana twarzy jego i humoru. . . . Po zwycięstwach nad Prusakami odniesionych był swobodnej myśli i rzeźkim, uśmiechał się często i rubacznie z nas podżartowywał. Gdy teraz zjawił się przed domkiem, który zajmował, znalazłem go zamysłonym, chmurnym, zniecierpliwionym, jakimś do niepoznania. Wziąłem to za chwilowe jakieś wrażenie, ale mi znajomi powiedzieli po cichu, że od dni kilkunastu innym go nie widywali.

Zobaczywszy mnie, poznawszy, pokłepał po zdrowym ramieniu, chciał mi się niby uśmiechnąć, skrzywił usta i westchnął. . . .

— Ale cóż z twoją ręką? możesz ty ją podnieść? zapytał.

— Mogę, chociaż tylko ją ale nie nią podnieść — rzekłem.

— To siedźże w Warszawie i bądź mieszczan instruktorem. Mężni to są ludzie, ale chodzą jak niedźwiedzie.

Ledwie tych kilka słów miałem szczęście posłyszeć od niego, bo mu chwili pokoju nie dawano. Z Warszawy toczyły się powozy, przyjeżdżali konni przez cały dzień, często nie bardzo potrzebnie trując czas Naczelnikowi. Ani zjeść, ani spocząć, ani popracować nie mógł swobodnie. Gdy mu to dokuczyło, siadał na koń i ruszał oglądać wojsko, aby gdzieś kąt spokojny znaleźć.

Namiot i dworek nieustannie były otoczone. Damy, panowie, duchowni, z podarkami, z prośbami, z instancjami, od świtu do nocy się mieniali — Kościuszko radził, pozbywał się, wymykał. . . . a męczył okrutnie.

Nie zbywało na raportach sekretnych najrozma-

itszych i znać jeden z nich musiał czynić o mnie wzmiankę. bo w pół godziny po pierwszej rozmowie przysłał po mnie Niemcewicz, abym do szafasu przyszedł.

Znalazłem jego i Kościuszkę, który z rękami w tył założonemi przechadzał się niespokojnie.

— Ale, ale — odezwał się Naczelnik — plotki tu różne chodzą, panie Syruć, byłeś asinǳiej kiedy na jakim zgromadzeniu u Kapucynów?

Zdziwiłem się niezmiernie, alem zrazu milczał.

Niemcewicz się rozśmiał. — Nie trwóż się, rzekł, nikogo nie zdradzisz, Strzelbicki wygadał wszystko, ujął się za Naczelnika.

— Bóg zapłać — dodał Kościuszko — ale powiedz mi — seryo tam tak się bardzo na mnie odgrazają i spiskują?

Nie mogłem zaprzeczyć, że doniesienia były prawdziwe. Kościuszko i Niemcewicz spojrzeli po sobie znacząco.

— Nie ma, rzekł pan Ursyn, tak głupich ludzi, ani tak blahój rzeczy, z którójby się czegoś nauczyć nie można. Ci Ichmość mogliby panu generałowi podać myśl użycia ich własnego przeciwko nim systemu.

Kościuszko nic nie mówiąc, chodził chmurny. . . . Znać było po nim zniechęcenie i zniecierpliwienie.

Wciągnięty w rozmowę przez Niemcewicza, opowiedziałem, com słyszał, nie mogłem tać zamachów.

— Cały rozum w jedném, zawołał — pocziwy Korsak kiedyś na sejmie powtarzał — Wojsko i pieniądze, wojsko i pieniądze . . . my musimy dziś wołać tylko — Bić się, bić się i bić się. . . . Reszta na nic się nie zdała. . . . Zwycięztwo nas wszystkich wyleczy. . . . a jeśli nam go nie da Opatrzność, padniemy z chwałą.

Ostatnie to były wyrazy, które z ust jego słyszałem, kazał mi wracać jako instruktorowi do stolicy, która wprędce bronić się — jak już wówczas przewidywano, potrzebowała . . . pożegnałem go z rozrzewnieniem, jakie we mnie stan jego obudzał.

Wróciwszy zająłem się poleconym mi obowiązkiem... Kiliński pomagał mi radą i czynem... Nie można zaprzeczyć, że mieszczaństwo i rzemieślnicy szli bardzo ochotnie... Pierwszych dni zaraz... wśród ludzi poznałem narzeczonego Juty... pana Michała. Musiał i on przypomnieć sobie twarz moją, gdyż się przybliżył do mnie dla przywitania... Nie wiedział tak dalece co mówić... ja nie śmiałem pytać go o nic... Kiliński, który był temu przytomnym, zaśmiał się zbliżając do niego.

— A kiedyż weselisko? zapytał — bo juźci nie teraz, kiedy koło okopów stać trzeba... byłoby, ożeniwszy się, jeszcze markotniej.

— Gdzie jeszcze do wesela — odparł Michał... a żałoba... Ruszył ramionami.

Jakoś mi się lżej zrobiło.

— Pan porucznik nie wiesz może, dodał chętnie podżartowujący pułkownik, że to jest narieczony panny Juty Wawerskiej, dobrej pańskiej znajomej... przez którą naówczas chodziły papiery do mnie, gdy ich żadna żywa dusza nosić się nie ważyła... piękna, śmiała i do rzeczy panienka.

Michał się zarumienił i oczy spuścił.

— Będiesz miał, da Bóg, taką żonę, której ci wielu pozazdrości — mówił stary... trzeba się tylko na okopach popisać, byś jój był wart...

— To się rozumie — odezwał się Michał ponuro...

Na tém rozmowa się skończyła... i pan Michał nam znikł...

Dnia 12 października, na zawsze mi pamiętnego... wstałem był ledwie i zbierałem się zejść do Mańkiewicza... gdy mnie chłopak jego zadyszany, bez pamięci przybiegł wołać co prędzej.

— Co się stało? — spytałem go — co ci jest?

— A! panie! jakieś wielkie nieszczęście — ja nie wiem... oboje państwo płaczą i ręce łamią.

Zbiegłem piorunem na dół. Tu w istocie zastałem starych we łzach i trwodze... Nie mogli mówić z razu...

— Wszystko stracone! odezwał się w końcu Mań-

kiewicz szlochając — wszystko stracone... jesteśmy pobici na głowę... Poniński zdradził, Kościuszko wzięty w niewolę, nie mamy wojska! nie mamy generałów, zgubiliśmy...

Oburzyłem się na te słowa. — Ale to fałsz, to być nie może! to bałamutwo...

Biegnę, dowiem się, nie wierzę...

Porwałem czapkę i wyszedłem na ulicę. Tu poznać już było można po trwodze całej ludności, po niespokojnych poruszeniach i wykrzykach, gromadzeniu się tłumów... iż coś stać się musiało nadzwyczajnego...

Na ratusz zjeżdżała się Rada...

W twarzach odmalowana była rozpacz i niepokój... Wstrzymałem jednego z idących, prosząc na miłość Boga, aby mi powiedział, co się stało...

Wziął mnie na bok do kąta.

— Nie trzeba trwogi! siac między naród — odezwał się — nie trzeba powtarzać, zmniejszać klęskę nie powiększać... Pozawezoraj Kościuszko wydał bitwę Fersenowi pod Maciejowicami... Przegraliśmy na głowę. Wasz pułk... Działyńskich, jak stał, tak legł na placu cały... Kościuszko, Siciński, Kniaziewicz, Kopce, Fiszer, Niemcewicz ranni i pobrani w niewolę. Naczelnik ledwie z życiem wyszedł, ciężki w głowę i pokłuty lancami...

Załamaliśmy ręce oba... Stałem jak piorunem rażony.

Wszystko było skończonem dla nas, ezuliśmy to, z wzajemem Kościuszki...

To wrażenie na całym ludzie uczyniła nieszczęсна wiadomość... płakali, stojąc w ulicach, łamiąc ręce, bijąc głowami o ściany. Nigdy tak strasznój i ogólnej boleści nie widziałem jak dnia tego. Kobiety biegły do kościołów, mężczyźni szli nie wiedząc, gdzie iść, pytali i nie rozumieli odpowiedzi... jeden wyraz słysząc było powtarzając się wszędzie...

— Kościuszko wzięty... Kościuszko w niewoli!... Straciliśmy Naczelnika!

W tej godzinie dopiero mógł poznać każdy, jak dalece naród wierzył w niego swe nadzieje, jak

ten człowiek był mężem przeznaczenia... Nieprzyjaciele jego mogli się przekonać naówczas, jaką posiadał potęgę ten człowiek, po którym teraz płakała i rozpadała cała Polska...

Było coś nadzwyczaj rozrzucającego w tym obrazie Warszawy owdowiałej. Nikt nie czuł przytomności króla na zamku... Kościuszkę na czele wojsk czuli wszyscy i on był prawdziwym królem tej godziny ostatniej... nie ziszczonych nadziei.

Poruszenie w mieście było tak wielkie, jak gdyby nieprzyjaciel miał natychmiast podstąpić pod Warszawę. Potrzeba było wysiłków nadzwyczajnych ze strony osłabłego rządu, aby odrobinę ducha wlać w to ciało pozbawione głowy. Miotał się ten kadłub... jak konający na rusztowaniu...

W stanowczym tym momencie sędzę, że partya rewolucyjna usilnie pragnęła chwycić wodze rządu w swe ręce, gdy rozgłoszono wolę Kościuszki, przekaz jego oddający dowództwo Wawrzeckiemu.

Na zacnym ale' bezbarwnym Wawrzeckim, który płacząc wymawiał się od czci i brzemienia tak ciężkiej odpowiedzialności — budowali pono nadzieje i umiarkowani i gorący... Spełżyły wszystkie na niczym...

Od tego dnia myśli, prace, ofiary zwrócone zostały wszystkie ku obronie Warszawy... Dowiedzieliśmy się natychmiast, że siły nasze rozproszone co najprędzej powołano ku stolicy... Tegoż dnia lud niecierpliw sypał się do okopów na Pragę.

Ale nie były to już te wesołe gromady pełnych nadziei ludzi... były to strwożone tłumy, które nie wiedziały prawie, dokąd szły i co czynić miały...

Cały ten dzień spędziłem z innymi w gorączce, w niepokoju... w nieopisanym chaosie jakichś przygotowań bezładnych.

Potrąciliśmy głowy, czuliśmy serca tylko po bólu, jaki je ściszał, nikt pewnie o sobie nie myślał — zapomniano choć na krótko niechęci i nieufności wzajemnych, kupili się wszyscy... Co począć? jak się ratować?...

Opisy i opowiadania o tej bitwie nieszczęśliwej

krażyły najdziwniejsze, przesadne... nie ulegało jednak wątpliwości, że Kościuszko ranny został i wzięty.

Pod wieczór już spotkałem dawnego, znajomego, którego Moskale na słowo puścili do Warszawy, aby potrzebne dla naszych generałów rzeczy przywiózł... Od niego dowiedziałem się szczegółów... klęska Sierakowskiego pod Brześciem, niepowodzenie Ponińskiego, który zapobiedz nie mógł przejściu Fersena przez Wisłę, były pobudkami, dla których Kościuszko postanowił ostatnim wysiłkiem zaprzec drogę Moskałom ciągnącym na Warszawę... Niestety chciało, że Poniński, któremu dano rozkaz jak najpospieszniejszego przybycia pod Maciejowice, na czas znowu nie nadciągnął.

O godzinie piątej z rana rozpoczął się bój zaarty od ognia działowego z obu stron, nierównego, bo artylerya rosyjska nieskończenie była silniejszą.

Denisow zajął tę pozycyą, którą Poniński miał osadzić...

Kościuszko widząc, że wojsko naciskowi nieprzyjaciela podołać nie może, rzucił się na czele ostatniego oddziału, szukając śmierci... Rannego i bezprzytomnego, bo ciętego w głowę, kozacy byliby dobili, gdyby go wypadkiem nie poznano...

Cóż to za radość była i Fersena i całego jego sztabu, gdy pochwycili człowieka, który jeden ich trwożę nabawiał.

Padł niemal cały pułk Działyńskiego, tak iż, gdzie stał, po szeregu mundurów poznać było można trupy walecznych, co zginęli nie cofnawszy kroku... Pułk Czapskich, prowadzony przez Krzyckiego, dokazywał cudów... Krzycki dowodził nim z odwagą i zimną krwią, która go odznaczała. Wśród bitwy kartacz strząsał mu szczękę, tak iż upadł z konia zemdlony, zerwał się jednak i rwał się na siodło, aby do ostatniego tchu spełnić powinność. Ale już na nogach utrzymać się nie mógł... Miał tylko czas miniaturę, którą nosił na piersiach, oddać jednemu z towarzyszków... Wkrótce potem dobili go kozacy.

Zal po stracie Kościuszki i miłość dla niego powszechna wyraziły się w pierwszych chwilach zaraz

uchwałą umieszczenia jego wizerunku w sali posiedzeń Rady, ofiarami dla niego, gotowością oddania wszystkich jeńców rosyjskich za tego jednego człowieka, który nam stał za tysiące.

Ale właśnie dla tego wydać go Moskale nie chcieli. Fersen tryumfował.

Przez cały ten dzień osłupienie nie dozwalało nie podjąć, oczekiwano na nowego naczelnika, rozesłano rozkazy do Mokronoskiego, Jasińskiego, Dąbrowskiego, ażeby co najprędzej ciągnęli na obronę miasta.

Na umysłach jednych rozpacz wywarła wrażenie odrętwiające, w drugich wywołała niecierpliwość użycia wszelkich środków ku obronie — nie było komu kierować... ani podnieść umysłów, narzekali wszyscy... szukano win i błędów...

Spotkałem Kilińskiego z posępną twarzą, stojącego na Krakowskim i patrzącego na Pragę.

— Dawno ją trzeba było warować, zawołał, jak skorosmy wiedzieli, że się Moskale w kupę zbijają... czemu i teraz nic się nie robi? Wszędzie nieład i nieporządek! zginąć przyjdzie! zginąć ojczyźnie i nam! wszystkie ofiary marne... Żołnierz marzył nieodzianym i bosym... choć Kościuszko kozuchów i butów dosyć narobić kazał... nie płacili mu, choć srebra dosyć leżało w mennicy z kościołów pozabieranego... Pułkownicy rwali, jak się który uwinął...

Rzucił ręką. — Teraz, gdy i Kościuszki nie stało, co jeden serce miał i głowę — cóż tu ma być!

— Pułkownik, zawołałem... musimy się bronić, pójdziemy do ostatniego na okopy...

— Ale idźże, zobacz naprzód te kretowiska, co je okopami nazywają! zawołał Kiliński — i odszedł...

Następny dzień Radzie dozwolił oprzytomniwszy podjąć lepsze środki obrony, miasto zaś więcej na duchu upadło niż wczoraj a z każdą godziną zwiększał się popłoch powszechny.

Wprawdzie odbierano wiadomości o zbliżaniu się Dąbrowskiego, o szczęśliwem spotkaniu ks. Józefa z Niemcami, ale zarazem zwiększone powieści o potędze moskiewskiej, ciągnącej wprost na stolicę — przerażały...

Po kilku dniach nieczynności rzuciło się, co żyło, sypać okopy i gotować rozpaczliwą obronę od strony Pragi.

Ale jakże różne teraz były usposobienia, twarze, fizyognomie tego ludu, który bez nadziei zwycięstwa pełnił milcząc ostatni obowiązek. Milczący szli gromadami ludzie, ze zgasłym wzrokiem, znękami, często głodni i wyziebli... Kierunek robót był nie dość energiczny... Ręce odrywano to do późnego eksercerunku, to do różnych pilnych potrzeb lazaretów i składów... szło to marudnie, słabo — a że dni były krótkie... pora szkaradna, postępu nie widać było.

Jednego z tych dni, gdym pilnował robotników na Pradze, bo mi się już nieczynnym być nie godziło... z wielkiem zdumieniem postrzegłem obwinętą w chustkę czarną Jutę, popychającą taczkę w milczeniu...

Twarz jej zmienioną była do nie poznania, oczy zgasłe, powieki zciemniałe, policzki zapadłe jakby po ciężkiej chorobie — przeraziły mnie. Drżała z zimna, zadumana popychała tę odrobinę zmarzłej grudy, którą słabe jej ręce dzwignąć mogły... Nie była to już owa wesoła zabawka pierwszych dni kwietniowych, ale grabarza robota przy mogile... Podbiegłem ku niej zdumiony i wzruszony...

— Co wy tu robicie? zawołałem, co wy tu pomóż możecie nam? a jak sobie zaszkodzić łatwo...

Mówiłem to prawie z gniewem.

Nie rychło podniosła głowę i postyszała.

— Tuśmy dziś wszyscy być powinni — rzekła ponuro, nie witając się ze mną — kto nie pracuje rękami, to przykładem służy... Ja nie odejdę ani dziś ani jutro... ani do końca... ani w dzień bitwy... Wszyscy tu być powinniśmy i tu zginąć... jeśli już tylko zginąć nam pozostało...

Nie miałem co odpowiedzieć na to z początku...

— Tak — rzekłem po chwili — służba jest obowiązkiem świętym — lecz należy ją wybrać tak, aby była skuteczna. Tu wasz przykład nikogo nie pociągnie... po lazaretach nie ma usługi... rannym brak

szarpi i bandażów tam miejsce dla Sióstr miłosierdzia. . .

— Ja mam dość siły — zawołała — żeby tu zastąpić rannych naszych i poległych, rąk jest mało. . . W tej chwili niebezpieczeństwa wysiedziećbym w murach nie potrafiła zamknięta — chcę być tam, gdzie się nasze rozstrzygną losy. . . . Dajcie mi co zrobić. . .

To mówiąc rzuciła taczkę.

— Weźcie na siebie karmienie głodnych, to lepiiej, odpowiedziałem jej — ludzie po całych dniach nic nie mają i siły tracą.

Chciałem ją w ten sposób przynajmniej oderwać od niepotrzebnego wysiłku. . .

Z twarzy czytałem . . . wyniszczenie, chorobę, gorączkę. . .

— Na Boga — rzekłem zbliżając się — posłuchajcie mnie . . . jesteście chorzy. . .

— Ja? nie! jestem nieszczęśliwą jak wszyscy — tych kilka dni mnie zniszczyły. W taką przepaść bezdenną i niewolę znowu iść na wieki!! — dodała płacząc. . .

— Lecz my się jeszcze obronić możemy! przerwałem.

— Nie — zaprzeczyła — my tylko umrzeć możemy godnie Polski i bohatersko. . .

Patrz pan . . . zwierzęta i ludzie mają przecucia. . . — rzuć okiem na te twarze . . . posłuchaj mowy . . . ani jeden człowiek nie ma nadziei . . . ponure wejrzenia . . . westchnienia słysząc i jęk . . .

Tak było w istocie — żadna siła natchnąć już nie mogła wiarą w przyszłość. . .

Tego dnia potrafiłem skłonić Jutę, aby wróciła do domu; była tak osłabłą, że gdy znalazłszy wózek pomagał jej wsiąść, padła nań złamana znużeniem. — Nazajutrz jednak znalazłem ją tu znowu przybywającą z żywnością dla ludzi, chlebem, wódką i mięsiwem, które poczęła rozdawać między zgłodniałych robotników. Nie pytałem jej, z kąd wzięła te zapasy, byłem bowiem pewny i tak się okazało później, że je z własnego kupiła grosza. Około południa nadbiegł jej na-

rzeczony, chcąc ją jakimkolwiek sposobem odwieść ztąd i uprosić, aby chora spoczęła w domu.

Odprawiła go łagodnie ale stanowczo, zapowiadając mu, że obowiązek spełnia. Miało to ten skutek, że Michał też poszedł do sypania okopów.

Z każdym dniem robota dla chłodu i pory brzydkiej stawała się trudniejszą. Na prędcę, słabo i niedostatecznie oszańcowano Saską kępę i kawał Pragi. Wiele można było zapewne rachować na rozpaczliwą obronę żołnierza i mieszkańców, lecz każdy inżynier łatwo mógł osądzić, iż to, cośmy do końca października przez tych parę niedziel zrobić mogli, było nie nie znaczącem i dla nieprzyjaciela, któregośmy mieli przeciwno sobie, igraszką.

Widzieli to wszyscy — rozumiał to pewnie Zajączek i Jasiński i inni; nikt nie mówił słowa, bo nie było w naszej mocy uczynić inaczej.

Spełniłszy obowiązek... — Bóg miał dokonać reszty...

Warszawa wystawiała obraz smutku i trwogi zwiększającej się z dniem każdym.

Wysiłki tych, którzy w pomoc jeszcze chcieli wewsząć terrorizm, już były zapóźne... paraliżowała je większość ludzi przeciwna daremnemu rzucaniu się do gwałtów, któreby powieść się nie mogły.

W miarę, jak partya patryotyczna traciła siły a rewolucyjna przekonywała, iż nie znajdzie poparcia, na zamku wracało wyraźniej coraz życie, nadzieja, czynność... Król z ostrożnością ale się zaczynał odzywać i poruszać... Rodzina jego nie tała się z tém już przed zaufanymi, że przebywszy dni trwogi spodziewała znaleźć opiekę u dawniej znajomych i przyjaznych Moskali. Karety zajeżdżały na zamek, łudniej zrobiło się tu znowu...

W dali za Pragę dymił zgliszcza kilku wiosek spalonych, po ulicach ciągnęły wozy ciężkie, wojsko przesuwano się ku Pradze, budowano drugi most na Wiśle...

Na wybrzeżach ruch był wielki, ale ruch z musu nakazany, nie chętny, niemy. Postacie jakieś nieznane snuły się wśród tłumów i czyniły wrażenie obcych,

nieprzyjaznych... wypatrujących nasze nieszczęście ludzi....

O Suworowie, który ciągnął pod Warszawę, opowiadano już ostatnich dni października dziwne szczegóły życia i charakteru... Znanym był z dzikości i szalów, któremi bawił żołnierzy... surowym bez miary... pół obłąkanym słynął od Izmailowa.

Z trzeciego na czwarty listopada wojska nasze stały w okopach na Pradze... byłem z niemi... Jeszcze na brzask się nie brało, gdy działa się odezwały i kłaść nas zaczęły źle osłoniętych... bezbronnym prawie....

Ogień był straszny... Poprzedziło go kilka rakiet puszczonych z pod Radzimina... Wśród trzasku strzałów bernardyński dzwonek wołał na modlitwę.

O szóstej rozpoczęty bój... skończył się niemal o ósmej... Z prawej strony od koszar gwardyi nad Wisłą wdarli się Suworowscy naprzód na Pragę, zaczęli palić domy... i mordować ludzi.... Tu najmniej może spodziewano się ich napadu... Przy rogatkach Grochowskich stojący Jasiński bronił się mężnie jak lew i padł zabity.

Obrona nasza była krótka... nawała Moskali zła mała, zgniotła... obaliła garść mężnych, dzieci nieszczęśliwej Polski.

Straciliśmy przytomność wszyscy; kapitan Bars, który stał przy rogatce u mostu, nie puszczał chcących się ratować ku Warszawie... Walcząc i odcinając się z garścią żołnierza, obłąkanemi oczyma patrzałem na ten obraz piekła, jaki przedstawiało zdobyte przedmieście. Któż go odmalować potrafi?... Ogień obejmujący domy, walące się z łoskotem, rozjuszony żołdactwo, mordujące starców, kobiety, niemowlęta, pastwiące się i urągające.... zakonnicy i zakonnice wychodzące z krzyżem klóci spisami... jęki konających, śmiechy dziczy... ogień... śmierć.

To był ostatni widok, na który zamknęły się powieki... kula przeszła mi piersi... padłem... czułem jeszcze obalające się na mnie ciało żołnierza zabitego obok... słyszałem chwilę jęk i wrzawę... potem czarna noc i milczenie....

Z uczuciem palącego pragnienia i zeschłymi usty obudziłem się... otrzeźwiony z długiego letargu chłodem nocy.... Byłem nagi prawie, osłaniał mnie tylko trup, który na nogach i biodrach ciążył.... Z ciężkością otworzyłem oczy.... Była noc — zdawała się jakaś niezrozumiała wrzawa, dzikie śpiewy i wybuchy radosne....

Dym napelniał powietrze. Nizko po nad ziemią wśród ciemności gorzały krwawo głównie obalonych domostw.... Gdzieś tam poruszały się jakby cienie jakieś na pobojuwisku. Potrzebowałem czasu długo, aby sobie przypomnieć, eo się ze mną działo, gdzie byłem. Zwolna wracała pamięć wypadków.

Żyłem więc... lecz zdawało mi się, że w tej kupie zabitych, którą byłem otoczony, umrzeć muszę. — Nie miałem siły ani się podźwignąć, ni ruszyć.... Jęknąć i odezwać się było to sprowadzić tylko śmierć przedszą.... Na pobojuwisku pili zwycięzcy, leżąc na trupach....

Jedna z rąk moich wolną była, próbowałem ją podnieść, skostniała, zdrętwiała... drgnęła... i nie rychło mogłem ją poruszyć.

Dotykając, co mnie otaczało, znalazłem tylko nagie ciała.... Instynkt zmusił mnie potem uwolnić się od ciężaru uciskającego, który może uratował mi życie. Byłem słaby, jednakże rozpaczliwy wysiłek... dowiodł, że jeszcze mi zostało tyle życia, żem mógł się choć zapragnąć wydobyć....

Wydobyć?... nie miałem ani myśli, ani pojęcia, co potem pocznę, zwierzęca jakaś chęć ocalenia kierowała mną.... Z wielką trudnością potrafiłem wysliznąć się z objęć zabitego, leżącego na mnie żołnierza. Sunąc się po ziemi poczułem sukno pod sobą, był to w błoto wbity płaszcz podarty.... Siły mi wracały, niepokój ogarniał... w piersi paliła rana... kości jak pogruchotane bolały, ale ból zwiastował resztkę życia.... Przejmujące zimno prawdziwym darem Opatrzności uczyniło ten lachman, który znalazłem pod sobą. Leżał jednak przywalony tak ciężkim stosem ciał, iż wyrwać go z pod nich nie podolałem.

Wśród tego znoju... dolatywały mnie ciągle pic-

śni zawodzących nie zbyt daleko żołnierzy.... Ognisko ich roztaczało łunę czerwoną... na świetle jej... rozpoznałem pikę kozacką z wbitym na nią dziecięciem, którego rączęta... wisiały bezwładne ku ziemi. Było to godło rycerzy dnia tego.... Ośłupiałem okiem patrzałem na nie długo... nim odgadnąć mogłem to okrucieństwo, chlubiące się nie ludzkim morderstwem.

Oczy powoli oswajać się poczynają z ciemnością nocy.... Od ogniska padały blaski aż ku mnie... i oświecały plac ułany bez przerwy trupami.... Stósy ciał ludzkich, zabite konie, woły... psy... wszystko to razem wal trupi składało.

Zwróciłem oczy na drugą stronę Wisły... na zamku były światła... miasto stało jak wymarłe.... Na wodach Wisły łamały się słabo odbłaski łuny pożarnej. — Oprócz śpiewu żołdaków nie słysząc było nic. — Wiatr niekiedy ślizgał się, świszcząc po ziemi i uchodził gdzieś daleko.

Powietrze pełne było zgorzelizny, w której zgadnąć tylko mogłem płonące ciała... dym włókł się po ziemi. Na niebie wśród chmur czarnych... błysła niekiedy gwiazdeczka.

Wiele rzeczy się w życiu zapomina... lecz są godziny, których obraz tak się wypiętnuje w pamięci, iż z niego ona nigdy najmniejszego szczegółu nie uroni....

Udało mi się zwlec saniemu i otulić kawalem wyrwanego łachmana... siadłem na trupach... nie wiedząc, co począć z sobą.... Rozglądałem się do koła. Po za mną stał węgiel niedopalonej chaty, w której ścianie okno jeszcze sterczało.

Przez nie słaby promyk od ogniska niedalekiego aż ku mnie się wdzierał.... Usłyszałem stłumione głosy ciche.... Wkrótce potem rozeznałem w nich rosyjską mowę. Byłem więc zgubionym.

Ci, co rozmawiali tak blisko, nie wesoło jakoś mieniali rzadkie słowa.... Nie byli to żołnierze... których wrzaski pijane dochodziły mnie zdala.

Na kolanach pełzając dowlókłem się pod okienko. W osłonionym od wiatru kącie spostrzegłem kilku w płaszcze poobwijanych wojskowych.... Jeden z nich

leżał na ziemi... ranny znać był, drudzy krzatali się około niego. Błada twarz konającego już trupią przybrała barwę. Klęczał nad nim towarzysz i usiłował mu w usta wlać jakiś napój, którego one przyjąć nie mogły.... Dwóch jeszcze siedziało z boku. Szkliste oczy rannego... parę razy błysnęły przedśmiertnym wzrokiem i oblókły się, jakby mgłą. Patrzałem osłupiały, dzieląc się z nim tém konaniem....

Ten, który klęczał przy rannym, wstał i usiadł opodal... ratunek był daremny.... Płaszczem zakryto twarz.... Uczułem w sobie w téj chwili omdlenie i osunąłem się na ścianę.

Uderzenie upadającego ciała musiało zwrócić uwagę wojskowych, poczułem bowiem wkrótce światło około powiek i, otworzywszy je z trudnością, postrzegłem zwieszono nademną tego samego, który przed chwilą ratował towarzysza. — Człowiek był stary z wąsem siwym, twarz miał pomarszczoną, smutną, zboląłą...

Dotknął się dłonią głowy mojej, otworzyłem oczy, spojrzałem na niego i, machinalnie odsłaniając piersi, słabym głosem rzekłem:

— Dobij...

Stary się wzdrygnął i cofnął — zawahał i wrócił szybko do swoich.

Słyszałem, jak się naradzali... los mój rozstrzygał się, był mi już obojętnym. — Wrócili we trzech wkrótce i dźwignęli pod ręce ciągnąc do chaty. Tu położyli mnie na słomie i jeden z nich zdjął płaszcz z umarłego, rzucając go na mnie. Drugi od ognia odstawił napój jakiś, — spróbował go sam i przyniósł mi do ust.

Pochwyciłem go z chciwością zwierzęcą...

Byli to owi litościwi Samarytanie, których i wśród najsroźszej dzicy czasem się spotyka...

Żaden z nich nie przemówił do mnie, zdawali się naradzać z sobą, co począć mieli. Jeden z nich wyszedł za węgiel, słyszałem go kroczącego ku brzegowi rzeki... Milczenie panowało w chacie... Wrócił jakby z daremnej wycieczki i siedł znowu u ognia i szeptali. — Niepodobnem to być może do wiary,

lecz znać natura dopominała się spoczynku, bom usnął mimo niebezpieczeństwa... Słyszałem kilka razy nad sobą szepty i nasłuchiwanie oddechu.

Trwało to, nie wiem, jak długo... gdym się obudził znowu, jeden tylko Samarytanin stał nademną, drugich już nie było... brzask dnia rozwidniał niebo szare...

— Wstań, jeśli możesz — odezwał się po cichu — wstań... chodź...

Byłem posłuszny... czułem się pokrzepionym..., podniosłem z wysiłeniem, zatoczyłem i byłbym padł, gdyby mnie Samarytanin nie wstrzymał.

— Chodź — powtórzył.

Włókłem się nieprzytomny. — Szliśmy, był dzień, wiatr smagał zimny... Widok straszny miałem znowu przed oczyma... coś nakształt snu gorączkowego... Iść trzeba było po trupach... stopy ziemi nie znalazłem wolnej, szukając jej, by nogą nie deptać zwłok męczeńskich... W nieładzie, obnażone, poranione, zsiniałe, krwawe leżały pospołu trupy niewiast, żołnierzy, dzieci, zwierząt... Gdzieniedzie kupą się wznosiły, to rozkładały pomostem.

Z pod spalonych belek wyglądały resztki ludzi zczerniałe...

Z przestraczem zatoczyłem oczyma... jak zajrzeć, ziemia była usłana a u brzegu Wisły wznosił się niby wał ciał tych, którzy uciekali, potonęli lub w ucieczce zamordowani zostali...

Na tém pobojożywie, jeżeli je tak nazwać można, cicho było... straży nawet nie spostrzegłem... po cóż było umarłych pilnować? — Na jaśniejszem niebie szarzały mi wieże kościołów Warszawy. Szliśmy ciągle ku brzegowi. Wojskowy, który mnie wiodł, szukał czegoś oczyma... Nieopodal już stało czołno a w niem leżał człowiek...

O kilka kroków od niego Samarytanin się obejrzał za siebie i popchnął mnie ku brzegowi... Rybak leżący w czołnie podniósł się i dał mi rękę, miałem tyle siły, że padłem na dno wysłane słomą skrwawioną... Chciałem choć dłonią i słowem dziękować wybawcy mojemu, ale go już nie było...

Rybak patrzył na mnie chwilę... i począł robić wiosłem.... Płynęliśmy ku Warszawie.... W pół rzeki usłyszałem głosy i plusk wody... niedaleko, podniosłem głowę... Od strony miasta płynęła naprzeciwko nam łódź pędzona przez kilku wiosłarzy... Stał na niej z rękami założonemi na piersi człowiek blady, smutny jak posąg zmartwiał. Patrzył oczyma załzawionemi na Pragę, ale nie widział nic. W twarzy jego było coś heroicznego, coś rzymskiego, powaga obudzająca cześć i zdumienie. Był to człowiek jadący dobrowolnie na stracenie...

Poznałem w nim Ignacego Potockiego... kończył, jako zakładnik oddając się w ręce Suworowa, swój zawód patryoty koronując go ofiarą... Mimo bólu własnego zapominałem o wszystkiem, ścigając oczyma tego męża godnego dawniej Polski... żegnając go, jakby szedł na stracenie...

Łódka moja przybiła do brzegu... Gromada ludzi stała, siedziała, płakała patrząc na Pragę... Jacyś ludzie nie znani... razem prawie ze mną przywieźli czołno pełne dzieci wykupionych z rąk kozaków... Splakane, zziębłe, pół żywe, odarte sieroty tuliły się do siebie jęcząc... Wysadzano je na ląd a mieszczaństwo szukało wśród nich krewnych... znajomych i tulili zachodząc się od ryku...

Cały brzeg Wisły przedstawiał ten sam widok gromady jakby pokutującego ludu nad nurtami Babilońskiej rzeki... Ludzie chodzili łamiąc ręce... płacz dzieci rozlegał się straszliwie... Niektórzy stali martwi z osłupiałemi oczyma jak skamieniali... nie słysząc wołania... nie czując, że ich targano i odciągano... Mnóstwo czolen kręciło się między Pragą a Warszawą... W ulicach wszędzie było pełno ludu odrętwiałego z bólu... Ciszę nad miastem przerywał tylko dzwonek kościelny.

Gdy czołno moje do lądu przybiło, rybak wystąpił na brzeg, kilku ludzi przybiegło i schyliło się nade mną... Lecz nawet bratby może nie rozpoznał w zczerniałych, wykrzywionych bólem rysach moich twarzy brata... Postrzegłem nad sobą... kilku mieszczan znajomych... Chciałem się odezwać do jednego

z nich, głosu mi brakło... Naradzano się, co zrobić ze mną... Z dała mignęła mi czarna suknia kobiety, która biegła brzegiem. Była to Juta... Wyciągnąłem ręce ku niej i krzyknąłem... W téjże chwili spostrzegłem ją klęczącą przy mnie... kilku ludzi przyszło z noszami, na które mnie litościwe ręce włożyły... Słabym głosem prosiłem, aby mnie odniesiono do domu na Miodową ulicę... Juta szła przy mnie... milcząca... straszna bólem, który przeżyła... nie miała słów, aby się odezwać do mnie. Ocalone naówczas życie możnaż było nazwać szczęściem?

Aż do bramy dworku Karasia... towarzyszyła mi dodając wzrokiem męztwa... Po drodze wybiegano z domów, zatrzymywano, litościwe ręce niosły okrycia, napój... ofiary... Plakali wszyscy... Zdało mi się, że mnie niesiono do grobu, tak ten mój orszak podobnym był do żałobnego... Nickiedy stawali znużeni ludzie, mieniali się i szli dalej... Gdyśmy stanęli u bramy... Juta podała mi rękę zimną... wyciągnąłem z trudnością z pod płaszcza skrwawioną dłoń... i widziałem, jak ten uścisk mój zostawił po sobie ślad krwi zgęstniałej na jój białym ręku. Ona popatrzała nań i okiem żegnając mnie odeszła...

Długo potrzeba było dobijać się do bramy, otwarto wreszcie, gdy z za okiennic przekonano się, że rannego tylko przyniesiono. Staruszka wybiegła pierwsza do mnie... popatrzyła i krzyknęła... Żyłem wprawdzie, lecz nie mogłem ani ja sam ani nikt z tych, co mnie widzieli, wróżyć wyzdrowienia... Dziadkowi zdawało się, że mnie przyniesiono na to, ażeby tu skończył wygodnie. Posłano po kapucyna, aby mnie wypowiadał... Tymczasem krzątano się nieco, aby mi choć ulżyć cierpienia... Zjawił się dawny mój znajomy felczer i ze strachem przystąpił do łóżka, na którym mnie złożono. Zażądano doktora, lecz tego naówczas dostać nie było podobna...

W gorączce i marzeniach spędziłem ten dzień... rzeź, trupy, Juta, bitwa, czółno i woda... noc i pożar, wszystko, com widział, com doznał, zmieszało się w mój wyobraźni na straszny, potworny kalejdoskop. Zdawało mi się, że umarłem, że leżę w grobie i śnię o

życiu. . . . Niekiedy porywałem się, jakby chcąc walczyć i bronić, płakałem i śmiałem się i dziecinne dni moje i dworek wiejski rodziców i gaj brzozowy, w którym biegałem chłopięciem, migały mi w uroczém świetle majowym.

Rana moja nie była tak straszną, jak się zdawała w początkach, kula prześliznęła się po żebrach i wyszła nie nadwierżywszy nie niezbędnego do życia. Utrata krwi, znieczucie, chłód, noc spędzona na pobojowisku więcej może groźne spowodzić mogły następstwa niż ona. — Ale siły młodości, dopominającej się życia są olbrzymie — przebywszy gorączkę, osłabiony tylko czułem, że jeszcze ocaleję.

Drugiego dnia rano, gdym leżał jeszcze ledwie na pół przytomny, obudził mnie głos i rozmowa, dziwnie brzmiąca w uszach i sercu; poznałem głos Juty, której surowo i ostro odpowiadała zgorszona pani Mańkiewiczowa, nie mogąc pojąć zuchwalstwa dziewczyny jakiegós. . . . która śmiała bezwstydnie dowiadywać się o mnie.

Spadała wina i na mnie.

— Cóż waćpannie do tego, słyszałem głos starszki, czy on żyje czy nie żyje. . . .

Jak się waćpanna nie wstydzisz. . . .

— Czegoż się mam wstydzić? spokojnie odpowiedziała Juta. . . . Poznałani porucznika w kwietniu, razem z nim nosząc papiery, które przez nas posyłano. Mam dla niego szacunek a nie słusznie mnie pani posądza i jego, bo w tém nic nie ma, do czegobym jawnie się przyznać nie mogła. . . . Jestem narzeczoną, wychodzę za mąż i nie możesz się pani obawiać.

Pani Mańkiewiczowa mruczała.

— Będzie zdrów, rzekła — felczer powiada, że mu tam się nic nie stanie. . . .

— Nie mogłabym go widzieć?

— A to po co? po co? zawołała Mańkiewiczowa. — Waćpanna nie doktor, a ten leży i majaczy z gorączki. . . .

Słuchając téj rozmowy, nie mogłem się wstrzymać, dobyłem głosu i zawołałem:

— Jest mi lepiej. . . .

Posłyszawszy te słowa, Juta prawie gwałtem wciśnęła się na próg drzwi, popatrzyła, skinęła głową tylko, skłoniła się milczącej staruszce i odeszła.

Chociaż chorego mnie mogła się ulitować pani Mańkiewiczowa; nie przebaczyła mi tych odwiedzin... przyszła zaraz do mnie z wyrzutami.

— Co za jedna znowu, żeby się tu przeć do domu... aby acana zobaczyć.... Taż to, wstyd! ale to ta Warszawa i ta młodzież... i za to cię pan Bóg pokarał.... Pfe....

Anim się już tłumaczył, stary Mańkiewicz krzywił się nic nie mówiąc.

Tegoż dnia pod wieczór, czując się lżej, zażądałem, aby mnie zaniesiono na górę lub choćby do lazaretu....

Jéjmość uczuła, dla czego to czynił, i siadła przy mojem łóżku, żeby mnie pocieszyć i rozstroić.

Nie odpowiadałem zrazu nic — ale w końcu w kilku prostych słowach wytłumaczyłem, że w stosunku tym nic nie było zdrożnego i że m słusznie się czuł dotknięty nie własną obrazą, ale pokrzywdzeniem ważnej i godnej szacunku kobiety.

— Dziękuję państwu za gościnność, odezwałem się, ale nie chcę być dla nich ani ciężarem ani zgorzeniem....

Drugiego dnia byłem prawie tak silnym, iż z pomocą dwóch ludzi mogłem się przenieść na górę. Rana goiła się szybko, siły powracały, lecz do życia nie miałem ochoty.

Co było począć z sobą?... jaka nas przyszłość czekać mogła?...

Dowiedziawszy się o ocaleniu mojem od Juty, Kiliniski... którego Wawrzecki wyprawił do Wielkopolski dla wywołania powstania i który zaraz po rzezi powrócił do miasta, przyszedł mnie odwiedzić.

Plakał biedny i połykał łzy. — Czuł on, że z innymi zapewne pójdzie podzielać więzienie.... Ostatnie chwile spędzał, narzekając na nieszczęśliwe losy Polski. Od niego się dowiedziałem, że w tych dniach miały wejść wojska rosyjskie do Warszawy.... Miasto się poddało.... Suworow traktował z królem, na

zamku żywiono nadzieję powrotu do dawnego stanu przed powstaniem.

Całe wojsko polskie oprócz dwóch set ludzi, zostawionych dla straży honorowej królowi — wyciągało z Warszawy pod dowództwem Wawrzeckiego — Kiliński stał już ze swymi pod Królikarnią i wybierał się ciągnąć do Końskich. W mieście już panowali Rosyanie. Wszyscy ci, których postawiła na czele rewolucya, uciekali za granicę lub starali się wymknąć ze stolicy.

W kilka dni potem wśród ciszy i trągi, przy pozamykanych domach, w puste ulice miasta weszły z muzyką i rozwiniętymi chorągwiami wojska Suworowa. Zatarasowano bramy i okna dolnych mieszkań, nie z dobrej woli ale z rozkazu. Sam pono dowódzący nie był pewien, aby rozhulany żołnierz nie powtórzył scen Pragi... Wojska rozciągnięte szeroko ciągnęły z wolna wszystkimi ulicami jakby dla przerażenia mieszkańców. Trwoga i smutek nie potrzebowały już rosnać, wyczerpały wszystkie siły...

Wkrótce potem dowiedziałem się o wzięciu Potockiego, Zakrzewskiego, Kapostasa i mego pocziwego przyjaciela Kilińskiego, który zdawał się, żegnając mnie, los swój przeczuwać.

Myślałem, co począć z sobą...

Warszawa, która mi była tak miłą, tak drogą, tylu wspomnieniami uświęconą — stała się smutną jak cmentarz...

Zmieniło się wszystko... panami byli obcy, swei służyć im tylko musieli; co było najlepszego, rozpieczęchło się lub pokutowało po więzieniach, — cośmy wśród siebie najobrzydliwszego mieli, teraz powychodziło na wierzch i natrzasało się podle — szydersko z ogólnej niedoli. Nic smutniejszego wystawić sobie nie można nad te dni pokuty, które po krótkim rozpromienieniu naszem nadeszły. Kirem i żalobą pokryło się miasto. Cisza w ulicach, smutek na twarzach, ból w sercach... Wielu wynosić się chciało... dokąd?? z pod tego żelaznego jarzma nie mieliśmy gdzie iść,

chyba na wygnanie — był tylko wybór ze trojga niewoli...

Nie miałem tu co czynić, dom mnie ubogi ciągnął ku sobie — na wsi jeszcze nigdzie tak nieustannie, widomie, boleśnie, ucisk nie dosięgnął. Są chwile, że na niebo nie przez kraty spojrzeć można, — że się czuje swobodny wiatru powiew i śpiew wolnego ptaka i choć cudzą — natury widzi swobodę. — Zdało mi się, że tam codziennego uniknę widoku obcych twarzy, grózb, naigrawania...

Mańkiewicz też, przebywszy tu długi czas w ciągłej obawie i niepewności, — chcieli powracać na Litwę.

Warszawa była jak trumna...

Trochę życia odezwało się na zamku, bo tam jeszcze Suworów z uszanowaniem jeździł a skrwawionego rzezią Pragi bohatera z brylantowym wieniec na szyszaku król niezmiernie czule przyjmował. Jenerał zaś czczył w nim majestat pomazańca Bożego i bił przed nim pokłony...

Wiedzieliśmy, że na zamku teraz nie tajono się wcale z narzekaniami na rewolucyę, rewolucjonistów, na Kościuszkę nawet i patriotów. Rodzina króla zabiegała około Rosyan, ażeby dawne u nich łaski odzyskać, szerząc się z opowiadaniem ucisków, jakich doznawała, i wycierpianej doli.

Trudno było wyjść w ulicę, wszędzie panował żołnierz... oficerowie zalegali kawiarnie, rosyjskie warty przebiegały miasto... za łada co wieszano, ścinano, więziono i wysyłano, bo i smutek buntem się nazywał. Ludność spokoju i pociechy szukała po kościołach... te były pełne ciągle... a nieraz jęk i łkanie przerywały nabożeństwo...

Zaczawszy z domu wychodzić, o Jutę zapytać nie śmiałem, tém mniej pójść do niej. — Niespokojny kręciłem się po mieście, przechodziłem pod jej oknami niby przypadkiem, sam się przed sobą tłumacząc... i kłamiąc konieczność téj drogi.

Jednego dnia, gdym tak błędził, pochwycił mię za rękę Michał, narzeczony Juty. Biedny chłopak zmieniony był bardzo, i w twarzy jego malował się dzie-

cięcy, nieposkramiany smutek i ból. Przywitałem go zmieszany.

— Mój panie poruczniku, rzekł, jeśli go mogę prosić... niech pan ze mną pójdzie do panny Juty.

Zdziwiłem się niezmiernie temu żądaniu.

— Proszę pana, dodał Michał — od téj nieszczęśliwój Pragi już zupełnie straciła zdrowie i ochotę do życia. Nie ma na to rady, siedzi, płacze albo psalmy czyta. Sprowadziłem doktora, powiada, że chora, że bardzo źle jest. Niechby się choć rozerwała. Ja, choć Bóg widzi kocham pannę Jutę, ale ja jestem prosty człowiek, ani powiedzieć, ani pocieszyć jęj nie potrafię. Bywało z panem całemi godzinami rozprawiła. Teraz sama jedna siedzi w oknie i męczy się. Chodź pan do nięj.

Ciągnął mnie za rękę.

— Najchętniejbym poszedł, panie Michale, rzekłem, lecz ona sama może sobie tego nie życzy. Rozumiesz to, że są w życiu chwile, gdy człowiek chce i potrzebuje być sam.

— Jakżeż nie — odparł Michał, a no dosyć téj samotności. Już i doktor mówił, że potrzeba rozrywki. A jaka tu teraz rozrywka, kiedy nie można nosa wytknąć, żebyś Moskala niespotkał.

Spuścił biedak głowę.

— Chodź pan, powtórzył — ja to się tam pójść boję, ale ona pana lubiła. Ja nie jestem edukowany, ze mną nie ma co pogadać chyba z rzemiosła.. a tego ona nie lubi.

Zmieszany szedłem za Michałem, którego dobre serce szukało we mnie lekarstwa dla téj, którą kochało.. Michał miał klucz od czeladniej izby, weszliśmy więc nie pukając... poprzedził mnie on i oznajmił.

Słyszałem zdziwienie, z jakiém Jutta przyjęła to oznajmienie narzeczonego, który jęj tłumaczył, że mnie spotkał i przyprowadził.

Wszedłem więc. Jutta siedziała czarno ubrana w oknie. Twarz odsłonią dozwoliła mi teraz dojrzeć straszną, groźną zmiany rysów, która zwiastowała niszczącą chorobę. Oczy miała wpadłe a gorączkowo świejące, na twarzy dwie ciemne plamy, usta blade..

uśmiech nawet, którym mnie przywitała, był smutny. Michał był rozradowany widząc, że się przecież trochę ożywiła.

Podawała mu rękę dziękując.

— Widzisz pan, rzekła, jaki to dobry mój Michał, zrozumiał to, że o wasze zdrowie była niespokojna i nie wziął mi tego za złe. Nasza przyjaźń nie jest dlań podejrzaną, bo on sam jest zacny i pocziwy.

Michał aż w rękę ją pocałował, nie znajdując wyrazów na podziękowanie, łzy mu się w oczach kręciły. Juta udawała wesołą.

— Onby mnie chciał rozerwać i dawny mój humor i spokój mi przywrócić, ale dziś — jakże to może być... Polakiem będąc... rozśmiać się niepodobna, trupy na Pradze w oczach stoją. Trąbka i bęben moskiewski odzywa się z ulicy... naszych kochanych nie ma. Spią w mogiłach albo jęczą w więzieniach...

Spuściła głowę.

— O ciężkie życie nasze! dodała.

Michał także chciał się do rozmowy przyczynić.

— Już ja i mówić nie chcę, co po mieście gadają, boć to nie może być, szepnął... Króla, słyszę, koniecznie chcą ztąd wywieść, a gdy jego nie będzie, miasto wyrzną...

— W spokojny czas na bezbronnych rzucić się nie mogą, rzekłem...

— Dla czego? spytała Juta — niepokój sami wywołać mogą, gdy im będzie potrzebny... Wszystko możliwe. Warszawa raz wybiła się z ich jarzma, zechcą może osłabić ją, aby im to już drugi raz nie groziło...

— A! nie, zawołałem — są dosyć mocni, by nas osłabłych się nie lękać.

Z dziwną delikatnością Michał pod pozorem zajrzenia do czeladzi wyszedł do bocznej izby, zostawując nas samych...

Juta spojrzała za nim z wdzięcznością i prawie rozrzwienieniem. Łzy się jej zakręciły w oczach.

— W nieszcześciu nawet można mieć szczęścia trochę, odezwiała się — mogłam w tym człowieku nieznanym znaleźć prześladowcę, znalazłam przyjaciela...

Zniżyła głos...

— Biedny chłopak marzy, iż przebolewwszy wyzdrowieję; ja dobrze czuję, że nie... nie mam w sobie sił do życia... trzeba umierać... umrę spokojna...

Ostatnie słowa były prawie niedosłyszonym szmerem... Podniosła głowę — A wy? cóż wy myślicie z sobą?

— Wrócę do rodziców — pójde na rolę, zakopię się w domu, odpowiedziałem...

— A! nie, przerwała mi — jakto? zwątpiliście o Polskę? o ojczyznę? o przyszłości? Mnie to wolno, bo ja jej nie zobaczę odrodzoną i szczęśliwszą — wam, nie! Mówią, że człowiek w chorobie ma czasem sny i widzenia prorocze... mnie się też zdaje, jakbym przyszłość widziała!... Długie boje! długie boje! Jeszcze nie jeden raz będzie Warszawa niewolnicą jak dziś i wolną jak była wczoraj! Wy żołnierzem jesteście... wy służyć możecie Polsce... A! nie!! byłżeby Bog, sprawiedliwość na ziemi, gdybyśmy my upadli złamani?... A! nie, pokuta przyjdzie... ale i koniec pokuty...

— Bądźcie, pewni, odpowiedziałem, że ile razy ojczyzna wezwie — ja stanę... lecz będziez komu wzywać i prowadzić?

Łzy się nam kręciły w oczach...

Mówiliśmy po cichu o wszystkiem, zwróciłem umyślnie rozmowę naszą na ludzi, na różne sprawy, aby spełnić to, co chciał Michał, aby rozerwać Jutę i odżywić ją nieco.

Próżne to jednak było staranie... na chwilę weselsza wpadała znowu w zamyślenie i łzy się jej w oczach kręciły.

— Widzicie, odezwała się w końcu, gdym się żegnał, aby odejść, macie pozwolenie od tego pocziwego Michała... przyjdźcie tu czasem... dopóki nie wyjdziecie. Żal mi tego Michała, któremu tylko troskę przyniosłam... będzie mnie musiał pochować narzeczoną i pożałuje zawiedzionych nadziei... Nim się skończy żałoba, i życie z nią się zakończy.

Nie wiedziałem, jak ją z tych smutnych myśli wyprowadzić, sam też nie weselszym będąc; wyszedłem

jak obłąkany. Michał mnie jeszcze w progu pożegnał, przypominając, ażebym czasem Jutę odwiedził.

Musiąłem długo chodzić po zimnie i rozbijać się w ulicach opustoszałych, nim oprzytomniawszy powróciłem do domu. — Obraz chorej tój stał mi przed oczyma...

Nazajutrz po bezsennój nocy... zwlókłem się, nie mogąc wytrzymać w mieszkaniu; ruch był dla mnie potrzebą i lekarstwem. Zdziwiłem się niezmiernie zastawszy ulice, szczególnież około zamku pełne natłoczonego ludu; nie mogłem zrozumieć, co się stało.... Moskiewskie warty patrzyły, pod bronią stojąc, na te milczące gromady, które opasywały zamek do koła.

Były to ostatnie dni grudnia, święta przeszły niepostrzeżone, ciche, modlono się tylko po kościołach.... Spytałem stojących koło mnie mieszczan... co to znaczyć miało....

— Króla wywożą — szepnął mi — a jak jego nie stanie, zrobią z miastem, co zechcą... wojska już nie ma, my bezbronni, ostatnie karabiny i szable po domach pozabierali.

W dziedzińcu zamkowym istotnie widać było powozy i przygotowane, ale niezaprężone.... Ruch pannał na wschodach i w bramie. Lud się ku nim ciśnał. Nie było w nim nigdy miłości wielkiej dla króla, ale z nim korona, Rzeczpospolita, sama idea Polski — zabraną być miała.

Czuli wszyscy instynktowo, że tracili ostatniego pantującego, który jeszcze Polski królem miał jakieś prawo się nazywać, że po nim następowała niewola obca.... owo straszne finis Poloniae, włożone w usta Kościuszcze a zrodzone nie w jego sercu ale w głowach tych ludzi, co chcieli, ażeby Polska nie wstała z maciejowieckiego pobojo-wiska.

Bliżej zamku stojący płakali, słychać było jęki i wołania i wykrzyki:

— Nie puścimy! niech po naszych trupach jedzie.

Niekiedy z okien zamkowych ukazywały się głowy dworzan i rodziny króla.... Przez ścisk przedarł się jakiś generał rosyjski do zamku. Marszałek dworu Kicki wyszedł na wschody i począł namawiać lud, aby

się rozszedł, że król dziś nie jedzie. Nic to nie pomogło... tłumy stały uparcie do nocy... ku wieczorowi zinniejszyło się nieco, bo patrole rozpędzać zaczęły, lecz garść została przy bramie na straży u powozów i bryk królewskich.

Nazajutrz i parę dni następnych powtórzyły się te same sceny. Być bardzo może, iż z otoczenia królewskiego osoby próbowały w ten sposób powstrzymać wyjazd nakazany i ocalić Poniatowskiego, lecz i miasto napępiała obawa rzezi... o której ciągle chodziły wieści.

Rok nowy nie zmienił położenia... ani czuć było, że przyszedł — bo nie przyniósł z sobą żadnej nadziei.

W parę dni po nim tylko doboasz z pachotkiem obchodził ulice i czytano wszędzie po rogach ogłoszenie Suworowa imieniem imperatorowej do mieszkańców, iż chociaż król wyjedzie ze stolicy, zaręcza się całość życia i majątków obywatelom^o Warszawy. — Wojsko próbowało rozpędzać z pod zamku tłumy... lecz siły użyć nie chciano...

Szóstego wieczorem felczer, który do mnie czasami przychodził, oznajmił mi, iż nazajutrz bądź co bądź król wyjechać musi, że przygotowania poczyniono i rozkaz imperatorowej przyszedł... aby go choć siłą porwać.

Do dnia nazajutrz byłem na nogach i kto mógł, też chciał być świadkiem ostatniego gwałtu.. Pomimo dnia mroźnego tysiące napępiała ulice... wszystko to przybite, martwe, milczące, ponure... Zdawa widać było przygotowane powozy i furgony, Moskali kręciło się dosyć, nie dopuszczając bliżej ludu, który się parł milczący.

Długo staliśmy tak w oczekiwaniu, naostatek poruszyło się coś na zamku... na wschody wyległ tłum kobiet i mężczyzn, którzy żegnali króla. Stanisław August ukazał się odziany sobotową szubą, okrytą aksamitem zielonym, w czapce futrzanej, chustkę trzymał przy oczach... Kicki podtrzymywał go i pomagał wsiąść do karety, do której sam wskoczył za królem.. Do innych powozów udało się szczupłe gronko ludzi,

które zabrać mu z sobą dozwolono. Nikomu z rodziny jechać nie było wolno. Dwór i służba pozostająca, dla której król był aż nadto dobrym i pobłażającym, głośnym płaczem ryczała. — Na wschodach siostry króla, rodzina... pełno kobiet padały z płaczu i rozpacz.

W chwili, gdy powóz miał ruszać, lud jęknął, mruczenie dziwne dało się słyszeć, król się wychylił, jakby coś chciał mówić do ludu... ale Moskal dodany do konwoju począł nagle i krzyczeć — Paszoł, a woźnice z miejsca ruszyli i król padł w głąb powozu...

Ścisł był taki w ulicach, iż cały ten szereg powozów jak orszak pogrzebowy musiał postępować krok za krokiem... Z obu stron przy powozach jechali oficerowie rosyjscy, nikomu więc przystąpić nie było wolno... Z ciekawością dziwną zaglądano do karcy, w której ostatni król jechał na wygnanie i śmierć... Błada, niegdyś piękna twarz jego, jakby woskową powleczone żółtością, nieruchoma... spoczywała w poduszkach... oczy patrzyły i nie wiedziały nic... jechał martwy... czuł, że nie wróci, że nie zobaczy nigdy tego teatru swych męczeństw i rozrywk... pełnego wspomnień zgrozy i smutku i chwilowych nasycień i omamień.

Długo jeszcze po przeciągnięciu tego orszaku stały tłumy i ściagały go oczyma... i powoli ze spuszczonej głowy, milczący poczęli rozchodzić się wszyscy. — Stałem u kolumny Zygmunta, dzieląc z innymi uczucie bólesci dziwne, niewytłumaczone, dojmujące. Co potem miało nastąpić? — bezkrólewie... zagłada!... śmierć czy życie nowe...

Z tych myśli rozbudziło mnie westchnienie i powitanie...

Spojrzałem, przedemną stał człowiek, którego z razu twarzy nie mogłem sobie przypomnieć; był to ten ksiądz, z którym spotkałem się na zamku owęj nocy, gdy mnie Niesiołowski posłał, ażeby do ucieczki dopomagał, która przyjść nie mogła do skutku. Oczy miał zaczerwienione, patrzył ku Pradze. Po chwili ujął mnie za rękę.

— Pereunt felicia regna!

rzekł z cicha.

Są to, jak wiadomo, ostatnie wyrazy proroctwa ty-
czące się Polski, przypisywanego Erykowi, pochodzą-
cego jakoby z XII. wieku a często po rękopismach
końca XVII. spotykanego.

— Ostatni król Rzeczypospolitej, dodał z west-
chnieniem. Nie powiem, jakim był królem, to pewna,
że najnieszczęśliwszym dla siebie i najnieszczęśliwszym
dla Polski, lecz jako po człowieku płacząc.

Ujął mnie pod rękę. — Chodź — rzekł, mam prawo
wnieść jeszcze na zamek królów, który jutro będzie
kwaterą generała lub szpitalem... Jeszcze dziś na nim
czuć majestat' Zygmuntów i Władysławów... jeszcze
nie zataite ślady Sobieskich... chodź... Szliśmy...

Na zamku zamęt był, jakby zeń wszystko wynieść
i zabrać miano. W podwórzach, po wschodach stały
paki i sprzęty, ludzie kręcili się na pół nieprzytomni.
Od pokoiów królewskich schodziły płacząc jeszcze pani
Krakowska, Zamoyska, Grabowska, Mnischowie... po-
nure i blade twarze... Ustąpiliśmy z drogi nieszczę-
ściu i żalości...

Książdz prowadził mnie do sali audyencyonalnej,
która stała ze swemi popiersiami i portretami nie tknę-
ta. Marmurowy biust cesarzowej Katarzyny uśmie-
chał się ruinie... Gabinet króla był otwarty... stał
zarzucony pomietami papierami, rozsypanemi książkami,
z których część sznurami była powiązaną... Na ka-
napce leżał mundur korpusu kadetów stary, który król
często nosił. Na ścianie znać było miejsce, z którego
zdjęto ulubiony królowi obrazek Magdaleny Battonie-
go... Około kałamarza kilkanaście piór świadczyło,
że w ostatniej chwili coś mu podpisywać kazano...

Wszystko to tragicznym obleczone było smutkiem.
Tron w sali audyencyonalnej ktoś szarém płótnem na-
rzucił jakby brudnym całunem...

Książdz wiódł mnie do sali portretów, które nie-
tknięte wisiały szeregiem... Bolesławy, Mieczysławy,
Jagiellonowie... a w końcu na ogromnym płótnie Bac-
ciarellego król... z klepsydrą w rękę, patrzący na
chmurne niebo...

Cienie dawnych panów zdawały się patrzeć zdumione na osieroconą pustkę...

W bibliotece połowy książek brakło... paki stały niektóre nabite niemi, inne próżne. W pośrodku sławny ów posąg Voltaira, pomnik, który mu król, wielbiciel jego, wystawił, śmiał się szydersko, okrutnie niebezpieczeństwu Polski, której zagłady witał powinszowaniami do Fryderyka Wielkiego.

W sali jadalnej wisiały jeszcze pastele Marteau, wystawujące gości obiadów czwartkowych, wesole twarze współbiesiadników dowcipnych.

Razem z nani kilka osób jak my ciekawych, milczących, wylękłych pielgrzymowało po gmachu, w którym najcichszy krok się rozlegał szeroko... Zegnaliśmy zamek królów... Za nami słysząc już było niecierpliwy chód i głośnie rozkazy rosyjskich generałów, którzy opatrywali spuściznę, śmiejąc się swobodnie z tego uroczystego smutku i ruiny.

Sale sejmowe miały się zamknąć na zawsze... cień Rejtana został tu ostatni na straży cnoty narodowej.

— Chodźmy — rzekłem znużony i rozdrażniony tym widokiem, to siły odejmuje... pieścić się taką żałobą... Zapomnijmy przeszłość, gotujmy przyszłość.

Książd się uśmiechnął.

— Nie my, Bóg ją zgotuje — rzekł, a jaką będzie, On wie... Chciałem, byście widzieli dziś jeszcze zamek i zapamiętali tę godzinę pogrzebową, jutro przyniesie inne widoki i myśli. Ścisnąłem jego rękę... Malemi wschody spuściliśmy się w podwórze... Tu wozy i furgony mające iść za królem ładowano jeszcze, niektóre już upakowane przychodziły z Łazienek; służba spieszenie kończyła przygotowania do swęj podróży, niemal wesolo.

Książd podniósł głowę i wskazał mi ganki, które wiodły do łoży królewskiej w kolegiacie św. Jana.

— I tedy, rzekł, nikt już chodzić nie będzie, któż wie, jakiego Boga nam czcić każą?

Ostatni raz może przeszedł je król, idąc Rogu

dziękować za kwietniowe zwycięstwo, choć pełną trwogi miał duszę.

Po kilku słowach rozstaliśmy się.

— Dokąd wy? zapytał mnie ksiądz.

— Na Litwę, do rodziny — a wy?

— Do klasztoru, który jest mi też rodziną. Niosę ze sobą spory zapas do rozmyślań na życie całe. Nie każdemu człowiekowi widzieć się dostało upadającą tysiącletnią przeszłość... Fuimus Troes!

Rozstaliśmy się w bramie... W ulicach rozchodziły się powoli gromady... szmerząc... Zegary wybijały południe a dzwony wołały na Anioł pański... za dusze poległych w bojach...

Za Wisłą — gdzieś szlakiem ku Grodnu, gdzie ostatni rozbiór podpisał... jechał król otoczony strażą honorową... i — płakał.

Płakał całe życie... gdyby miał mężstwo wylać trochę krwi, ileżby sobie był leż oszczędził!!

Powracając z pod zamku, zdawało mi się, że spotkał drugą twarz znajomą, która mi z oczów bardzo prędko znikła... Nie miała ona czasu wrazić mi się bardzo w pamięć, dla tego pewnym nawet nie byłem, czy mnie jakie podobieństwo nie złudziło.

Zdało mi się, że to był ów oficer Müller, którego spotkałem w refektarzu u Kapucynów w czasie posiedzenia patryotów klubistów i z którym tak nieprzyjemne miałem zajście. Tym razem przedstawił mi się on w jakimś dziwacznym mundurze, mignął i zniknął. On to był czy nie on? nie byłem pewny, ale mi go przypominał... Odwróciwszy się razy parę, idąc zdało mi się jeszcze, że go spostrzegł na zakrętach ulic... idącego zwolna za mną, miałem to wszakże za przywidzenie i zapomniawszy o nim dostałem się do domu.

Tu pakowali się także Mańkiewiczowie i ja nie miałem nic innego do zrobienia, tylko tłumoczeki pościagać i wybierać się z Warszawy.

Myśl o biednej chorągwi wstrzymywała mnie tylko.

Mańkiewicz, który był przywykł bardzo do swego szambusia, ofiarował mu na wsi u siebie mieszkanie i życie, starowina się wahał jeszcze. . . . Nadto nawykł do bruku tego i sądził zapewne, że zawsze znajdzie przy kim do końca życia dworować. Było już ciemnowo, gdy do bramy wcześniej zamkniętej pukać zaczęto. . . .

Mańkiewicz się uląkł, zaczęliśmy się śmiać z niego, gdy wszedł chłopak przestraszony i oznajmił mi na ucho, że dwóch żołnierzy z oficerem pytają się o mnie.

Nie mogłem zrozumieć, coby to znaczyć miało, nie mówiąc jednak nic dziadkowi, wyszedłem do sieni. — Oficer właśnie się wdzierał do pokojów.

— Wy pan Syruć? zapytał grubiańsko.

— Ja jestem. . .

— Stupajcie za mnoju!

Byłem tak spokojny w sumieniu, że m się tém nie zatrwożył wcale; oświadczyłem gotowość towarzyszenia mu, ale zapytałem tylko, o coby chodziło?

Szydersko odpowiedział mi:

— Już to się o tém u jenerała Buxhöwdena dowiedziecie.

Buxhöwden był naówczas jenerałem komendantem miasta Warszawy.

Co on mógł mieć do mnie? — nie pojmowałem. Podano mi płaszcz; nie żegnając się nawet z Mańkiewiczami, do których za parę godzin spodziewałem się wrócić, poszedłem.

Oficer naprzód, dwaj żołnierze po bokach . . . Szliśmy do komendanta. Byłem widocznie aresztowanym.

Mimowolnie spotkanie z Millerem, nic wiedzieć dla czego, przyszło mi na myśl.

W pałacu, który komendant zajmował, tak było ludno, iż ledwie się dla nas miejsce znalazło. Zamiast wprost do jenerała zaprowadzono mnie do obszernej izby, w której podobnie jak ja pobranych różnych osób mnóstwo siedziało, stało i przechadzało się. Kilku księży, mieszczan kilku i wojskowych zastałem, znajomego nikogo.

Było już późno dosyć — siadłem na ławie blisko

pieca, bo sala mało opalona była chłodna, ale i piec był wystygły... We drzwiach stojąca warta pilnowała nas.

W nocy już poczęto wyprowadzać towarzyszków moich, czekałem cierpliwie kolei.

Jednego z ostatnich wzięto i mnie przez korytáře do rodzaju kancelaryi, w której znalazłem na kanapie siedzącego z fajką i podkurczonemi pod siebie nogami jenerała. — U stołu przy nim dwaj urzędnicy czy sekretarze milcząc skrobali pióra. Jeden z nich począł szukać w papierach powtarzając moje nazwisko. Jenerał koso i dziko spojrzał na mnie.

— Syruć?

— Tak jest...

— Poruczczyk pułku Działyńskiego?

Potwierdziłem.

— Należał do rewolucyi?

— Nie przeczę, rzekłem, służyłem w wojsku, szedłem z pułkiem...

Zaczęto mi wyliczać bardzo szczegółowo wszystkie moje zbrodnie i zasługi.

— Przyjaciół Kilińskiego? ptaszek! zawołał jenerał... — Zmilczałem...

— Chodził po klubach, po Kapucynach... a broził pana Kościuszka...

Zmilczałem już dając mu się wygadać do syta... Pomruczawszy trochę, zapytał mnie — czy chcę służyć w wojsku imperatorowej Jójmości...

Bez namysłu odpowiedziałem, że nie mogę.

— Tak, jakby w rewolucyi, pod Kostiuszkieną toby pan służył, a jak pod feldmarszałem Suworowem to nie... bo pan Polak i patriota?

Milczałem nie chcąc go drażnić.

— Pan masz do wyboru, zawołał, albo do wojska w tym samym stopniu a to jest wielka łaska w pobiedonośnym służyć wojsku cesarskiemu, albo... na Sybir...

Miałem tyle odwagi, bo się we mnie zburzyło wszystko, że odpowiedział głośno...

— Na Syberyi jest już naszych tak wielu, panie jenerale, że wolę być z nimi niż iść do wojska, do

którego się nie zdałem. Rękę mam strzaskaną, żołnierz już ze mnie nie będzie.

— Pozwaj doktor! krzyknął generał.

Natychmiast jeden z pisarzy zerwał się i wybiegł, ja stałem i czekałem... Drugi tymczasem spisywał pędzące protokoły z tego, co mówiłem... Generał palił fajkę i herbatę popijał, kiedy niekiedy rzucił na mnie wzrokiem i mruczał.

— Choraszy młody człowiek!

Pochwała ta wcale mnie nie uradowała. W dobry kwadrans wsunęła się mała figurka, zaspana, czerwona, niepozorna, ocierająca nos ręką w niedostatek właściwszego narzędzia...

— Opatrz mi rękę — zawołał generał... Zmierz mi doktor oczyma i kazał się rozbierać... Chwilę to trwało... Kula i kartacz zostawiły mi po sobie tak widoczne ślady przejścia, iż najmniej wprawne oko dostrzedz je mogło z łatwością. Rękę tę mam wychudłą do dziś dnia i jakby przyschłą od pierwszej rany... Z pilnością przypatrywał się jej doktor, kazał nią i palcami poruszać, wyciągnął, aż krzyknąłem z bólu, z czego się generał z satelitami rozśmiał... Rewizja była skończoną, doktor po łysiej głowie się skrobał, usta wydał, kręcił niemi i nareszcie przystępując do stolika, rzekł po cichu — ku generałowi — Kiepska ręka!

— Bardzo? zapytał generał.

Potwierdził to głową i ramionami.

— Widzisz, odezwał się prezydent, pan doktor powiada, że ręka zdrowa... Kłamiesz pan porucznik, możesz służyć w wojsku imperatorów, tylko — nie chcesz...

Nie odpowiedziałem już nic. Panowie ei śmiali się — było z czego. Doktor począł ziewać okrutnie, ogromną ręką czerwoną zatulając sobie usta.

— Ja nie jestem taki okrutny, rzekł generał, żebym zaraz stał na Sybir, ja tobie daję dni kilka do namysłu... Jak posiedzisz na chlebie i wodzie, może rozum przyjdzie... U nas służba honorowa i sławna!!

Na tem skończyło się śledztwo; na skinienie generała odprowadzono mnie ale tym razem do innej izby, w której znalazłem na łóżku usypiających kilku jak

ja nieszcześliwych więźniów... Wyszukawszy sobie legowisko, położyłem się obok nich. Sen jednak nie brał weale... i dopiero nad ranem zdrzemnąłem się. Zmiana warty i leżenie więźniów, których oficer nogą kopiące rachował, zbudziło mnie ze snu przerywanego. W kilka godzin potem żołnierze wnieśli z kociołkiem krupnik, którego sami nie dojedli, i dali nam po kawałku suchego chleba... Wstaliśmy wszyscy, lecz jeden tylko, który tu już siedział od dni dziesięciu, złakomił się na krupnik... Reszta gryzła chleb i popiła wodą, która zamarzała w kacie... Spojrzeliśmy na siebie... Jeden Bernardyn, kilku mieszczan... czeladnik, którego poznałem... i staruszek dosyć porządnie odziany składali nasze towarzystwo. Około południa zapalono trochę mokré drzewem w piecu, które syczało długo i zgasło.

Dano nam jeszcze raz krupnik z kaitoflami, położyliśmy się spać o mroku, bo światła żadnego nie było. Dojmujący mróz do kości nas przechodził... W piecu możebyśmy byli mogli podpalić słomą, na której leżeliśmy, ale téj było nie wiele... a stanowiła i pościel i ogrzanie, bośmy się nią obwijali.

Noc jednak zesła snem głębokim, snem tak twardym, że staruszek ów już się z niego nie przebudził. Gdy żołnierze przyszedli z krupnikiem a on nie wstawał, poczęli go budzić, kopiące nogami znowu; okazało się dopiero, że nie żył. Mróz przyspieszył zgon jego.

Pierwszym i najpilniejszym obowiązkiem stróżów naszych było natychmiast obrewidować kieszenie, zdjąć buty, sygnet z palca, porozpinać go do koszuli i zostawić tylko w bieliznie i wierzchniu przyodziewku. Odbyło się to z taką zręcznością, pospiechem, artystyczną umiejętnością i wprawą, że nimeśmy się obejrżeli — był gotów.

Teraz już mógł przyjść lekarz dla poświadczenia śmierci i pisarz dla protokołu. Znać wszakże spuścizna po zmarłym tak spiesźnie przywłaszczona urzędownie komu innemu należeć musiała, gdyż pisarz się oburzył niezmiernie na odarcie trupa — i żołnierze uniewiniając siebie nas jako winowajców wskazali.

Jednakże na hałaśliwy krzyk oburzenia nasz i je-

dnogłośne wskazanie winowajców żołnierze musieli parlamentować. Jeden z nich mileżąc oddał sygnet, drugi jakąś część pieniędzy, a gdy pisarz o zegarek się gwałtownie upominał, zwrócono i ten, oderwawszy łańcuszek. Reszta rzeczy została przy rabusiach. Pod wieczór wyniesiono ciało. Żołnierze się nam odgrzali, ale ich nazajutrz zmieniono.

Takie były pierwsze dni mojego więzienia. Zamiast kilku danych mi do namysłu upłynął miesiąc a nikt się nie zgłaszał do mnie ni po mnie. Wreszcie zawezwany zostałem z kolei po innych więźniach do kancelaryi.

Jakież było zdziwienie moje, gdy tu zapytano mnie — za co byłem wzięty i trzymany?

Odpowiedziałem nazwiskiem mojem i tłumaczyłem się nieświadomością zupełną przyczyny uwięzienia. — Zaczęto szukać w papierach. — Nigdzie nie można było nic znaleźć. Szczęściem, chociaż się już wszyscy zmienili w kancelaryi, doktor mnie sobie przypomniał i opowiedział, co pamiętał, że miał do służby nie zdatną rękę.

Znowu tedy szukano po papierach.

Doktor wyszedł; jeden z pisarzów, wyciągnawszy się jakby po długim śnie, usunął się także, został niepoczesny skrybent w mundurze...

Ten wstał zaraz ze stolka i żywo podszedł ku mnie.

— Słuchaj, pan poruczyk, rzekł cicho — może ty masz trochę pieniędzy, ja ciebie uwolnię... Słowo daję, ja honorowy człowiek, uwolnię, a nie... to pójdiesz w Sybir.

Miałem przechowanych pięć dukatów w zlocie — ostatni mój ratunek na wypadek wywiezienia — cóż miałem począć, dobyteń je.

— To ostatnie — rzekłem — i oddałem mu je.

— Mało! odpowiedział przeliczywszy.

— Nie mam więcej — rzekłem spokojnie.

Pomyślał chwilę...

— Czort cię bierz! zaklnij się na Boga, że więcej nie masz.

— Mogę przysiądz — odezwałem się — nie mam ani grosza.

Poklepał mnie po ramieniu.

— Niechaj tak będzie! A milczeć! — rozumiesz!..

» Siadł tedy prędko coś pisać, zasypał piaskiem, zadzwonił, wszedł żołnierz... oddał mu papier i usiadł za stołem.

Jakim sposobem w godzinę później znalazłem się w ulicy, wolnym w istocie z papierem pod pieczęcią nakazującym mi we dwadzieścia cztery godzin wyjeżdżać z miasta na preżnie żyłiszczce (miejsce dawnego zamieszkania), z tegoby mi trudno się było wytłumaczyć.

Wprost ztamtąd pobiegłem na Miodową.

Mańkiewiczów nie było już ani śladu, moich tłumoczków także... stróż mi nic o nich powiedzieć nie umiał. Zostałem więc na ulicy, bez mieszkania, bez grosza, głodny, źle odziany, zupełnie nie wiedząc, co pocznę...

Szukając w głowie środków ratunku — musiałem pójść na Stare miasto...

Ciemno już było, gdym zapukał do znajomych mi drzwi na drugim piętrze. Długo mi nic nie odpowiadało. Naostatek powolny krok zbliżył się ku nim, okienko się odemknęło — poznałem głowę poczcziwego Michała, który krzyknął z podziwienia zobaczywszy mnie i drzwi co najprędzej otworzył.

Rzucił mi się na szyję płacząc.

Nie śmiałem go pytać o nic.

Biedne chłopczysko blade było i wyżółkłe.

— Co się u was dzieje? zawołałem wchodząc po cichu.

Załamął ręce z rozpaczą.

— Panie — krzyknął z wyrazem prawdziwej boleści i jękiem — panie, już jej nie ma... już nie ma tej świętej panny mojej... Tydzień, jakeśmy ją pochowali.

Sparłem się o ścianę nie mogąc iść dalej — zdało mi się, że serce pęknie...

— A! do ostatniej godziny pytała się o was, do-

bra siostra... posyłała mnie, chodziłem po ratuszach i więzieniach, nigdzie znaleźć nie mogąc. Powiedzieli nam, że was na Sybir wzięto. Jak ona płakała za wami a jak się modliła... ot — i tak — wyszła dusza ze łzami.

Dziewięć dni temu wieczorem przyprowadziłem księdza wikarego od Panny Maryi... dowiedziecie się do niego... on ją spowiadał, jemu ostatnią wolę swoją oddał... Nazajutrz rano wstała spokojniejsza, usiadła w oknie, uśmiechnęła mi się i dobrą słowem pocieszyła... Siedziała tak do wieczora... a gdy Barbara przyszła dopomódz jej przejść do łóżka, bo o swojej sile chodzić już nie mogła, znalazła ją już nie żywą.

Michał płakał.

— Gdybyś ją był widział na katafalku, jakieśmy ją obłożyli kwiatami do koła... Wyglądała gdyby śpiąca, uśmiechnięta i szczęśliwa... gdyby święta w raju...

Znów mu łzy przerwały mowę... Poszliśmy do jej pokoju. Stało tam wszystko jak było, bo Michał tknął się nie nie ważył... krzesło w murze pod oknem, robótka... rozłożony Tomasz à Kempis i Ołtarzyk złoty...

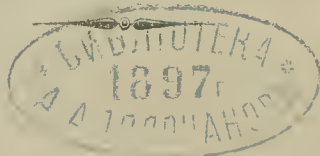
Nie mogłem płakać z Michałem — łez mi zabrakło — późno w noc po rozmowie zrywanej ciągle i znowu powracającej do zmarłej nam drogiej chciałem odejść nie wiedząc dokąd... Michał zabrał mnie z sobą na górę... Powiedziałem mu, w jakim się znalazłem położeniu... Anim wątpił, że mi pomoże, abym się miał o czem dostać do domu; nie zawiodłem się też, bo mi daleko chciał dać więcej, niżeli potrzebowalem... Nazajutrz poszliśmy do staruszka wikarego u Panny Maryi... Przypomniawszy Jutę, jakkolwiek obyty ze śmiercią, nawykły do tych widoków chwil ostatnich — stary się rozrzewnił... — Nie spodziewałem się spełnić jej woli — odezwał się, bom waćpana widzieć też nie spodziewał tak rychło, a moje dni policzone... Dzięki Bogu za to, że mogę oddać mu jej pożegnanie.

Poszedł do stolika, dobył z niego zawiniętą w papier obrączkę... i milcząc mi ją oddał. — Włożyłem na palec — rzekł Syruć smutnie, podnosząc rękę i po-

kazując nam pierścione — „a odtąd zaślubiwszy umarła, nie zrzuciłem go nigdy — wiernym mu będę do śmierci. . .“

Takiem było opowiadanie Syrucia, którego dalszy ciąg życia poprowadził na nowe boje; służył on potem w legionach, bił się pod Napoleonem, wrócił do wskrzeszonej owój Polski, co tak wielkie obudziła nadzieje spełzłe na niczym. . . Wkrótce potem podał się do dymisyi i zamieszkał na wsi.

Ze wspomnień swych wiele pewnie równie zajmujących mógł wydobyć powieści, przecież jedną tę epokę Kościuszkowską zdawał się na starość pamiętać, bo w niej jednej żył młodzieńczem wspomnieniem.



m
4749.